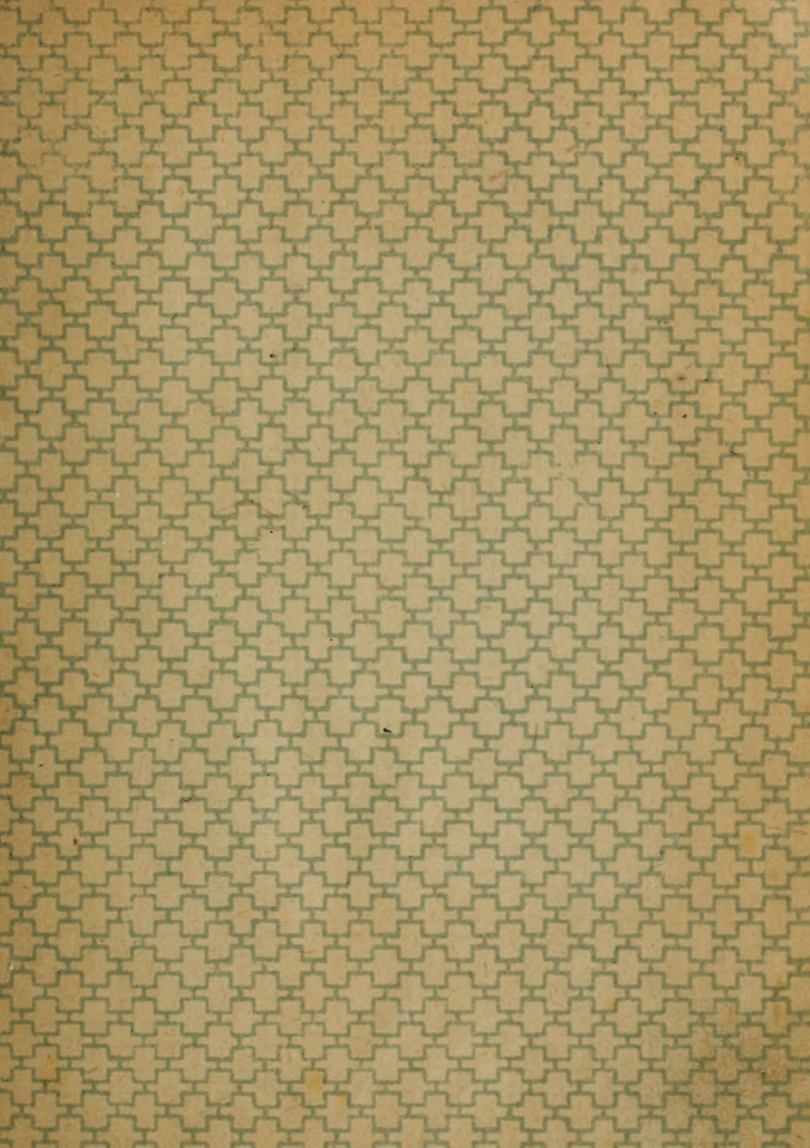




ŻYWOT I MYŚLI

ZYGMUNTA PODFILIPSKIEGO

Wytłoczono w własnych zakładach graficznych w Bydgosz

JÓZEF WEYSSENHOFF

Żywot i Myśli Zygmunta Podfilipskiego

WARSZAWA 1920
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLJOTEKA POLSKA“

WSTĘP.

Gazety doniosły niedawno tym, którzy je pilnie czytają, o śmierci pana Zygmunta Podfilipskiego, zmarłego w Paryżu, w wieku lat 46, na apopleksję, czy anewryzm serca.

Pokolenie nasze, jeżeli nie osobiście, to pośrednio znało tego człowieka wybitnego, trochę już u nas zapomnianego z powodu, że od lat paru stale mieszkał we Francji. Mało kto jednak znał go tak dobrze, jak ja, zaszczycał mnie bowiem stałą przyjaźnią i, chociaż starszy, lubił ze mną rozmawiać poufnie. Z rozpraw naszych powstał cały szereg teorji i poglądów, powstał, rzec można, między nami, bo spieraliśmy się często, a docierając z obu stron coraz bliżej do rzeczy, przez samą młockę wzajemnych argumentów wyłuszczyliśmy niejedno ziarno prawdy z plew ją otaczających.

Chodzi mi o to, aby te ziarna nie przepadły.

Jeszcze za życia pana Zygmunta przyszła mi do głowy myśl, którą wyraziłem mu niegdyś temi słowy:

— Gdybym chciał pisać powieść obyczajową współczesną, przypatrzyłbym się najprzód panu. Wmieszany we wszystkie nasze dzienne sprawy, uczestnicząc w naszych potrzebach, cechach, a nawet błędach, pozostaje pan mimo to indywidualnym i wznosi się przez teorję wysoko ponad tłum. Pańska przeciętność jest pozorną tylko, bo w gruncie jest wyższością. Jest pan zarazem legją i jej dowódcą. Wsadzę pana żywcem do powieści.

Oczywiście żartowałem, a Podfilipski był nadto rozumny, aby żart brać dosłownie. Owszem — chwytał w lot tę „połowę prawdy“, śmiał się, lub dyskutował.

Obecnie, dotkliwa strata, którą ponieśliśmy, zmienia mój żartobliwy zamiar w poważne zadanie. Postać Zygmunta Podfilipskiego czeka na drugie swe wcielenie, kołacze do bram literatury i historji, Jest to postać wymowna, przesiąknięta nami samymi, postać, której nie można pominąć w rocznikach naszej cywilizacji. Pamiętniki takich ludzi, życiorysy ich — służyć mogą przyszłemu historykowi epoki lepiej, niż pamiętniki sławnych, których pełne są gazety i usta współczesnych.

Nietyle sam przez się, lecz jako wyraz swych czasów, jako okaz swego stylu, Zygmunt Podfilipski

zasługuje na więcej, niż na prosty nekrolog. Postaram się więc odbudować go z mioch wspomnień, przedłużyć jego istnienie na ziemi, która go wydała, w tej samej atmosferze subtelnych półtonów moralnych, w których się lubował.

Chociaż nie piszę panegiryku, muszę jednak powstać przeciw nieoświeconym i przez zazdrosnych rozpuszczanym powieściom, jakoby rodzina Podfilipskich była ze świeżej szlachty, lub, jak mówią niektórzy, pochodziła z żydów.

O rodzie Podfilipskich herbu Pilawa pisze już Paprocki, jako o „starodawnym i znacznym“ [1]). W początkach XVI-go wieku zasiadali w senacie, a chociaż nigdy nie dorównali świetnością takim Potockim, z którymi jednego używają herbu, pełnili różne obywatelskie funkcje w Małopolsce, gnieździe swem pierwotnem.

Z jakiej właściwie gałęzi tego szczepu pochodzi Zygmunt, urodzony w r. 1850, i brat jego, Tomasz, o pięć lat młodszy, — dociec nie mogłem z notat genealogicznych, których mi niegdyś udzielił ś. p. Podfilipski. Ruchliwy jego umysł bawił się w chwilach wolnych zbieraniem wiadomości o rodzinie swej, jakoteż o szwedzkim (?) tytule hrabiowskim,

---

[1]) „Herby rycerstwa“ wyd. Turowskiego str. 383.

należącym się podobno panom Podfilipskim. Pan Zygmunt, doszedłszy w wywodach do pradziada swego, podsędka łukowskiego, a nie mogąc z dokumentów nawiązać dalszej filiacji, ani związku z owym senatorem z początku XVI wieku, przekreślił całe drzewo genealogiczne i napisał nad niem: „Stare przesądy“ [1]).

Rodzice Zygmunta i Tomasza trzymali dzierżawę w Lubelskiem i byli dość zamożni, aby dać synom staranne wychowanie. Zygmunt, przebywszy pierwsze klasy gimnazjalne na prowincji, średnie w Warszawie, pojechał dalej kształcić się za granicą, czując już wówczas, — jak mi powiadał później — że „rutyna jednej szkoły nie zdoła zadowolić jego niespokojnej natury.“ Zdaje się, że żadnych świadectw nie uzyskał, mimo masy wiedzy, której nabył w różnych zakładach naukowych i innych.

Tomasz, zamiłowany łacinnik, trochę poeta, skończył gimnazjum w Warszawie i wydział filologiczny na uniwersytecie w Lipsku i w Dorpacie.

Tę część życia Zygmunta, którą znam niedokładnie i tylko z jego wspomnień, traktuję pobieżnie. Zaznaczam też, że jak tutaj, tak w dalszym ciągu książki odnosić się będę do słów i działań mego bohatera objektywnie, po kronikarsku. Poję-

---

[1]) Podaję ten szczegół, jako drobny dowód wyższości ś. p. Zygmunta nad przesądami, którym sam z uśmiechem ulegał.

cia moralne są giętkie i względne, jak sam mawiał pan Zygmunt, a nie chciałbym wstępować w rozterkę ani z nim, ani z czytelnikiem, przykładając do czynów Podfilipskiego jakiekolwiek zasady. Te wyłonią się same z wiernego odwzorowania całej postaci, zaokrąglą się razem z nią i nabiorą ciała.

Bo pan Zygmunt nie był w pierwszej młodości tej dobrej i zadowolonej tuszy, w której niejeden z nas oglądał go jeszcze w zaprzeszłym roku. Fotografja z roku 1870 pokazuje go nam chudego i bez zarostu. Czy to pierwotność ówczesnej sztuki fotograficznej, czy inne powody — młodzieniec podobny jest na tym obrazku do głodnego wilka.

Nie odrazu bowiem działo mu się dobrze.

Miał zawsze dobry apetyt, nie ten pospolity apetyt na mięso i sen, który cechuje gminne natury, ale na śmietankę w każdem tego słowa znaczeniu. Lubił życie w jego najwybujalszych okazach, a czując się godnym wszelkich przywilejów losu, oburzał się, gdy te przywileje były mu odmawiane, lub po prostu niedostępne.

Miał podówczas zamało pieniędzy i uważał to za niesprawiedliwość społeczną. Za czasów nauk swych w Paryżu skłaniał się już do socjalizmu, ale bystrem okiem dostrzegł, że te utopje daleko nie prowadzą — najdalej do stanowiska redaktora krzykliwej gazety. Wcześnie więc jął się innych sposobów, niebezpiecznych w ręku nierozważnych, ale w jego

zwrotnej dłoni, czarodziejskich i prawie pewnych. Wziął się do gry i spekulacji. Nie badałem, w co i kiedy grał, tylko to jest faktem, że z pensji 1500 rubli rocznie, którą mu rodzice na studja dawali, nie mógł zaoszczędzić przez lat dziesięć kilkudziesięciu tysięcy, z którymi zjawił się w Warszawie około r. 1876-go. Tutaj miał także niezmierne szczęście w karty i na giełdzie, tak, że, gdym go poznał, był to już człowiek zamożny, właściciel folwarków i kamienic, nie rachujący groszy i oczywiście poważany coraz bardziej.

Czy go lubiono? To inne pytanie. Tłum, a nawet tłum wykwintny, nie czuje pociągu do ludzi wyższych, zimnych, którym się wiedzie w życiu. Taki pan ze swojem zdaniem, promieniejący powodzeniem, wzbudza zazdrość jednych, drugich drażni, trzecim wydaje się podejrzanym.

I wkrótce pan Zygmunt miał się gorzko zawieść na życzliwości swoich ziomków. Miał wtedy lat trzydzieści, był „dobrze urodzony“, zasłużył się już społeczeństwu przez sprowadzanie z zagranicy do kraju obcych kapitałów — i chciał się żenić.

Kiedym się dowiedział, że hrabina *** odmówiła mu stanowczo ręki swej córki, zadziwiłem się. Nie z powodu odmowy hrabiny — każdej matce wolno zapatrywać się, jak chce, na przyszłość i szczęście córki, — ale zadziwił mnie wybór Podfipskiego. Panna była zupełnie brzydka i nieposażna, należała

jednak, po mieczu i po kądzieli, do historycznej, bardzo szanownej rodziny.

Nie mogłem wówczas, jako znacznie młodszy i nie tak jeszcze dobrze znajomy, zagadnąć pana Zygmunta o psychologję tego romansu; ale ze zdań i uwag, które wkrótce potem wygłaszał, pamiętam takie:

— Niema u nas cienia solidarności, nawet w jednej i tej samej sferze.

Albo:

— Pójdziesz raz za popędem serca, natrafisz raz jeszcze na zimny rachunek i samolubstwo. Ja wam mówię, instynkty, płynące z tak zwanego serca, są tylko przebraną głupotą. Serce, to ten osieł pierworodny, który tkwi w każdym z nas. Ja nawet uderzam się w piersi.

Przyznawał się przez uprzejmość do nieswoich błędów. Jeżeli zaś nosił w sobie tego osła, zaraz dowiódł, że potrafi się go pozbyć, bo w tym samym jeszcze karnawale zwrócił starania ku bardzo bogatej i ładnej córce fabrykanta ***.

Tu nie otrzymał „kosza“, ale wycofał się: panna go nie kochała, a rodzice nie pragnęli.

Zawody nie złamały hartu jego duszy. Prawdziwy ten filozof korzystał na doświadczeniu tam, gdzie korzystać nie mógł inaczej, — i widzieliśmy go wszyscy po owym karnawale równie pogodnego, równie zaufanego w swoją gwiazdę, grającego z równym spo-

kojem w karty, uprzejmego przy kolacji, na ulicy i w salonie.

— Możecie sobie wyobrazić mnie, wyrywającego sobie włosy? — mawiał. — Zanadto je szanuję, jako najbliższe mej głowy, — nie cierpię też ludzi rozczochranych.

Te wzmianki biograficzne o panu Zygmuncie wystarczą. Życie jego popłynęło odtąd aż do końca jednostajną, wspaniałą, ujętą w europejskie bulwary rzeką, zmienną zaledwie na powierzchni. Długi jego pobyt w kraju, liczne podróże, wzrost ciągły jego majątku i filozofji nie obfitują w sceny dramatyczne, przełomowe. „Kwitnął tymi czasy między nami“ — jak mówi Niesiecki.

Chodzi mi głównie o to kwitnienie, o to *codzień* pana Zygmunta, tak wymowne i nauczające. Więc, porzucając formę biograficzną, chcę dać czytelnikowi kilka przekrojów naszych czasów i ludzi, a Podfilipski będzie mną i opowiadaniem mojem kierował.

Wielki jego cień rzuci może pewną powagę na te drobne obrazki.

Jacek Ligęza.

NA PROWINCJI.

Pociąg wlókł się rozpaczliwie, nocą, przez puste równiny. Ruch czasami słabł, ostatecznie zamierał, a wtedy kilka mętych świateł i głos dzwonka, jakby poziewający, znamionował przystanki, na których nikt nie wsiadał, ani wysiadał.

Leżąc dosyć wygodnie w osobnym przedziale wagonu, zasnąć jednak nie mogłem: brzęczały mi w głowie jakieś rytmy bez słów i bez treści. Gorączkowo oczekiwałem rana i świeżego powietrza. Zdrzemnąłem się nareszcie. Po paru godzinach, otworzywszy oczy, zobaczyłem jasną już szybę wagonu, więc, chociaż zmęczony i połamany specjalnie, można powiedzieć „skolejony“, usiadłem i patrzyłem przez okno.

Szarych słów nie wystarczy na oddanie wielkiej, cichej szarości mgły, co się rozesłała po mazowieckiej równinie przed wschodem słońca. Zalewa łąki zwartą chmurą, nad suchem polem przeciąga

rzadką, leniwą powłoka, a lasy zatapia do połowy: widnieją tylko wierzchołki sosen czarne, jaśniejsze dębów, zielone brzóz. Już widać wszystko dobrze, bo anim się spostrzegł, kiedy wykradło się na niebo słońce. Tkwi teraz we mgle, niekształtne, znacząc tylko swe miejsce rozlaną, różową plamą.

„Wsi spokojna, wsi wesoła!“ Trzeba świeżości ranka i świeżości serca, żeby cię odczuć i pokochać, bo piękna nie jesteś, wedlug tego, co pospolicie za piękne ludzie uznają w przyrodzie. Nie zwabisz żadnego turysty; rozkochasz chyba marzyciela, co lubi oko puszczać po gładkich, bezgranicznych przestrzeniach, malowanych zbożami, zielonością i słońcem. Czuje cię jednak taki Chełmoński, najbardziej mazowiecki z malarzy, czują cię także może ci dwaj młodzi, co wyjechali konno z flintami przez plecy i ciągną drożyną polną, wązką, jak międza, milcząc. Konie ich także zdają się marzyć.

Wybrnęło słońce ze mgieł, coraz więcej złote na polach i w powietrzu. Kraj trochę zmienił się, zafalował. Są tu wąwozy zielone i folwarki z czerwonymi dachami, i ogrody żyzne. Piękne holenderskie krowy poważnie przyglądają się przechodzącemu pociągowi, myśląc, że te pędzące machiny zakłócają spokój pól, a nie wiedząc, że właśnie w pociągu siedzi ktoś, który ten spokój wciąga przez otwarte okno wagonu i opisuje ozdobną polszczyzną.

Ma się pod koniec lata; na polach już trochę tęskno, po zżętem zbożu zalegają żółto i różowo cieniowane ściernie, ale kartofle jeszcze zielone, nasienne koniczyny pałają nie panieńskim już, zawsze jednak świeżym rumieńcem, a do prosa, strojnego w kity o miedzianych błyskach, zbiedz się musiały wszystkie przepiórki i kuropatwy. Może też są i cietrzewie w tych prosach na nowinie? Aż tu, mimo swąd lokomotywy, pachnie polowaniem.

Wychodząc z przedziału mego na korytarz, spotykam nagle pana Zygmunta Podfilipskiego, z którym, nie wiedząc o tem, podróżowałem całą noc od Warszawy.

— Jakto! pan jedzie w kierunku Lublina? Kiedyż pan wrócił z zagranicy?

— Przed paru dniami; teraz zaś jadę do Lublina, gdzie mam interesa, a potem do brata mego, Tomasza.

— Ja także.

— Bardzo się cieszę — ozwał się uprzejmie Podfilipski — że będę miał z pana towarzysza w Lublinie, bo przyznam się, że tych naszych „kompatrjotów“, których zresztą cenię, będzie tam zawiele.

— A za kogóż mnie pan ma?

— No, no, nie wyciągaj mnie pan na komplimenty — odrzekł pan Zygmunt, śmiejąc się i po przyjacielsku biorąc mnie za łokieć.

Nie zgadłem, w czem właściwie zawierał się kompliment.

Przeszliśmy do przedziału, sąsiadującego z moim. Konduktor, oddając ukłon służbowy, zapytał Podfilipskiego:

— Czy pan hrabia rozkaże sprzątnąć?

— Nie. Proszę mi zawołać mego strzelca.

Zjawił się brodaty Hans, wspaniały okaz tego pokolenia strzelców-słowian, pochodzących ze Ślązka, z Galicji, niewiadomo skąd, którzy mówią zwykle paru językami, umieją służyć, strzelać, leczyć, informować, są, gdy się udadzą, nieocenionymi „vademecum". Hans był przytem trochę filozofem i perorował nawet wobec pana Zygmunta, na co ten ostatni w chwilach wolnych pozwalał.

W przedziale wagonu pachniało, jak w kobiecej sypialni. Rozłożone przyrządy gotowialniane były dobre, angielskie. Skóra łosiowa pokrywała kanapę wagonową; podróżne ubranie, szare i miękkie, wisiało na haku, żółte buty doskonałej roboty, świeża koszula i bajeczny krawat były przygotowane do włożenia, gdyż pan Zygmunt był dotychczas w rannym stroju i w pantoflach. Przeprosiwszy, zaczął się przy mnie ubierać z pomocą Hansa, gawędząc stosownie do okoliczności, a odkrywając mi coraz nowe, wytworne szczegóły swej tualety.

— Wraca pan z jakiej wystawy ubrania, że tak wszystko około pana i na panu jest — non plus ultra?

— Powiem panu — rzekł — że lubię pewne wyszukanie w czystości i wygodzie. A następnie sądzę, że dla samego przykładu trzeba dbać u nas o te rzeczy. Nie dziw, że Zabłocki źle u nas wyszedł na mydle: przecie nikt mydła nie używa. Brud nasz przeszedł w przysłowie, i to jedna z pierwszych reform do przeprowadzenia w naszej cywilizacji, czyli w naszym braku cywilizacji. Bo cóż to jest ta wytworność francuska, albo lepiej angielska, którą nasi gardzą, mieszając ją z tak zwaną zgnilizną obyczajów? Poprostu — higjena, doprowadzona do artyzmu.

Higjena, doprowadzona do artyzmu, zaimponowała mi. Sam brudu nie cierpię, ale na „ostatni krzyk“ elegancji, mimo usiłowań, nigdy zdobyć się nie mogłem. Teraz, wobec wykładu pana Zygmunta, rzuciłem po sobie ukradkiem spojrzenie. Ubranie miałem niezłe, ale nie podróżne, kapelusz miejski, zamiast koniecznej angielskiej czapki. Poprawiłem krawat, a on ciągnął dalej:

— Wyobraź pan sobie — niedaleko od miejsc, któremi przenosi nas ten „*rapide*“, zaproszony byłem w przeszłym roku na wiejską fetę — imieniny, czy coś podobnego. Napatrzyłem się ja tam naszych urządzeń tualetowych i innych. Trwało to tydzień, z tańcami, polowaniem, fajerwerkami... Czy ma pan pojęcie o takich splendorach na wsi?

— Mam. Nigdzie nawet lepiej nie bawiłem się, jak w podobnych warunkach.

— Bawiłem się i ja — nie tańcami, bo nie tańczę, nie polowaniem, bo było liche — ale obserwacją. Przyjeżdżamy zatem z Warszawy na noc w wigilję owego wielkiego dnia. Siedzi już mnóstwo osób — kolacja. Pomieszane fraki, surduty, nawet ranne ubrania. Panie jedne półwygorsowane, drugie zaszyte w czarne lub fjoletowe worki. Hałas, służba traci głowę, gospodarz sam nalewa wino... Było tam jedno wino, warte uwagi. — „Sąsiad dobrodziej nie łaskaw... panie sędzio! — panie radco! — panie prezesie!" — „Mamam a de la salade?" „J'ai". — Jednem słowem, wszystko doskonale, humory różowe, i mnie ogarnia jakaś serdeczność, odzywa się pokutująca tam gdzieś jeszcze we mnie szlagońska żyłka. Po krótkich tego dnia tańcach, niby po generalnej próbie — bo to dopiero wigilja *dnia* — idziemy spać. Dwór duży, ale osób na noc ze czterdzieści. Dostaję jednak osobny pokoik w oficynie dla siebie samego. Wdzięczny za tę attencję gospodyni domu (skądinąd miła osóbka), nie myślę już o wieczornych swych przyzwyczajeniach kąpielowych: zmęczony kładę się spać na wcale niezłej bieliźnie z cyfrą pani, pod kołdrą, zrobioną widocznie ze starej sukni jedwabnej. Niech ją tam! do spódnic nigdy nie miałem wstrętu. Ale łóżko haniebne: materac złożony z trzech takich placków — wie pan? Mysz, bestja, chrupie w kącie i tańczy po zmiętych papierach. Nie spałem wcale aż do rana. Nareszcie zabieram ubierać się. Na dużym jakimś meblu z szu-

fladami stoi maleńka miedniczka i dzbanek wielkości nalewki do mleka. Po bezowocnych poszukiwaniach dzwonka, spostrzegam przez okno kogoś ze służby, spoconego już od rana, lecącego na złamanie karku; łapię go i wypraszam sobie konewkę wody. Nie wziąłem ze sobą strzelca Hansa, z którym zawsze jeżdżę, bo mnie uprzedzono, że miejsca będzie mało. Rozwijam więc tub i chcę się zabierać do mycia, gdy stwierdzam znowu nieobecność ręczników. Drugi raz złapać owego rozpędzonego lokaja, wydaje mi się niepodobieństwem; zaczynam więc szukać. Aha — zapewne w tych licznych szufladach umywalni znajdą się ręczniki? Ale szuflady szczelnie zamknięte. Jedną wreszcie otwieram, podważając z dołu i wyciągam z niej przeróżne rzeczy: teczkę, słoik zapieczętowany z napisem „karp dwutygodniowy“, zatłuszczony papier, pokryty cyframi, raport ekonomiczny z dóbr takich to, folwarku takiego — i wreszcie list z nagłówkiem: kochany Tadeuszu...? Tadeuszu? To imię mego gospodarza! Rzucam zdumionem okiem na umywalnię i pękam od śmiechu: to przecie biurko pana domu!! Mieszkałem w jego kancelarji, ergo — myłem się na jego biurku.

Zaśmiałem się i ja, bo pan Zygmunt opowiada dobrze, a realizm tego stylu sprawdziłem niejednokrotnie na wsi. Ponieważ jednak ta scenka zajęła mnie stroną swą obyczajowo-komiczną, wyobrażałem sobie dalej zebranie wiejskie, powabne przez tryska-

jącą swobodę życia, żartów, zdrowej gimnastyki i rozkosznego zmęczenia. Rozweselony pytałem:

— Ale bawiliście się doskonale?

— No, tak, to dobre na jeden dzień i raz na trzy lata. Ja wyniosłem się zaraz po imieninach, rankiem. Widzi pan — te obyczaje mogą się nadawać do opowiadania i anegdot, ale są w gruncie smutne. Kiedy się patrzy na brud naszych chłopów, na brud nieludzki żydów, na brud ulic, domów, mieskań, a nie znajduje się czystości nawet u ludzi zamożnych i osłuchanych o cywilizacji, człowiek zadaje sobie pytanie: toż to są moi rodacy? — no, i wyjeżdża za granicę. Przecie ja we Francji, w Tyrolu, w Prusach mogę od biedy mieszkać u prostego chłopa.

— A cóż pan pocznie we Włoszech?

— Włoch, przyznam się, nie lubię. To nie dla mnie kraj, a nawet te przechwalone zabytki ich dawniejszej cywilizacji — to stara moda.

— Panie! — zaczynałem już mówić, chwytając za miecz estetyczny, kiedy dłuższy świst lokomotywy oznajmił zbliżanie się do Lublina.

Zamąciły się obrazy sielskie. Na widnokręgu dymi kilka kominów fabrycznych, wystrzeliło kilka wież, zapstrokaciło się od kolorowych domów. W porannem świetle wyglądało to żywo, ozdobnie, zamożnie. Chciałem zwrócić uwagę Podfilipskiego na ten widok, ale przypomniałem sobie wnętrze miasta, nadzwyczajne zabytki średniowiecznej architektury

przy biednych uliczkach, — i, nie mając jakoś nic nad to do powiedzenia, zamilkłem.

W Lublinie każdy z nas miał osobne sprawy; spotkaliśmy się dopiero przy póżnem śniadaniu. Dla mieszkańców wsi, przybyłych z okolic, była to pora obiadowa, więc tłum w niewielkich pokojach najlepszej miejscowej restauracji był znaczny. Znalazło się paru znajomych, do których przysiedliśmy się. Kilkanaście osób jechało przez Lublin w powrocie z prowincjonalnych wyścigów, a w niewielkiem mieście, gdy „panowie przyjadą“, czyni się zaraz pełno. Wyrazy *turf, start, finish* wymawiano głośno z pewną arystokratyczną wyższością, czasem znów w kombinacjach angielsko-polskich, jak naprzykład: „szkapa finiszowała siarczyście.“ Te rozmowy prowadzili przeważnie młodsi. Jeden z nich, dziarski, opalony chłopiec, targował się z drugim o konia, przyczem udawał żyda; trwało to pół godziny wśród stałego efektu i wybuchów zdrowego śmiechu.

Nie wiedzieli ci wszyscy, że obok nich, pobłażliwie milcząc, siedzi jeden z najbieglejszych w Polsce znawców koni i wyścigów. Gdyby kto nawet wymówił nazwisko Podfilipskiego, umilkliby.

Towarzysze, którzy nam przypadli w udziale, byli innego gatunku. Obaj z głębokiej prowincji, rzadcy nawet goście w Lublinie. Jeden z nich, pan Apolinary ***, należał do ginącego już typu szlachty

takiej, jaką ją sam Pan Bóg stworzył, zadowolonej z siebie, a nigdy z urodzaju.

— Cóż tam słychać *ex publicis?* — pytał nas.

— Tyle, ile piszą w gazetach. Czas jest dość cichy.

— Kiedy ja, dobrodzieje moi, nie czytuję gazet.

— Jakto! żadnej?

— A żadnej. Chciałem się kiedyś do gazet przekonać, bo mnie pan Jan, obecny tu sąsiad mój i dobrodziej, do tego obligował. Czytam i czytam: same dalsze ciągi! Gdzież początki? Zacząłem raz od nowego roku — znów dalsze ciągi! Więc porzuciłem całą imprezę, dobrodzieje moi, do djabła, i równie dokładnie wiem o wszystkiem. Tu się człowiek zapyta, tam sami ci powiedzą, — wychodzi na jedno.

— Ee, sąsiad tak się tylko chwali — odrzekł pan Jan — sam go często widywałem nad gazetą.

— Tylko kiedy gdzie jaka wojna. Wtedy już pilno mi wiedzieć, dobrodzieju mój; więc łapię gazetę, gdzie się zdarzy, i rżnę przegląd polityczny od a do z.

— Wie pan — rzekł z uśmiechem Podfilipski — że mamy pod tym względem wspólne wstręty. Ja także nie czytuję naszych gazet.

— Pan?! — Szeroko otworzył oczy pan Apolinary i wzniósł do góry ręce, zbrojne w nóż i widelec.

— Tak, panie. Oczywiście przejrzę co rano te-

legramy, kurs giełdy — to są informacje konieczne. Ale żeby tak czytać jaki artykuł wstępny, jaką polemikę dwóch filarów danej instytucji o dach tejże instytucji, to mi do głowy nie przychodzi. Wolę już, nawet w Warszawie, czytywać zagraniczne gazety. A kiedy je czytuję *tam*, sprawiają mi prawdziwą przyjemność, dają mi sumę wszystkich walk, prądów, potrzeb chwili obecnej; są mi niezbędne, jak rozmowa z rozumnym i wszędzie bywającym człowiekiem. U nas zaś — co to jest? Sposób do życia dla ubogich... Szanuję wszelką nędzę, ale wolę się z nią nie spotykać codzień.

— Za pozwoleniem — odezwał się pan Jan, człowiek grzeczny — nie dobrze rozumiem, co pan nazywa nędzą? Nasze gazety bywają nudne. Ale cóż robić? żyjemy tu, trzeba coś wiedzieć, co się tutaj dzieje. A z gazety wyczyta się niejedno: i sprawozdanie targowe, i przepisy obowiązujące, i zawsze coś z polityki, chociażby krajowej.

— Tak — odrzekł Podfilipski — ale co się u nas dzieje? To, co już pierwej działo się gdzieindziej. A potem, gdy się coś dzieje, jak też mi podadzą o tem wiadomość? Z szarym sosem, po polsku. W Paryżu wezmę do ręki takiego „Intransigeant“ i przeczytam z rozkoszą wstępny artykuł Rochefort'a, poszukam nazajutrz, co mu odpowie Cassagnac w „Autorité“ — i będę miał przeciętną chwili, echo debat parlamentarnych, wrażenie sił, ścierających się.

Tam gazeta potrzebna mi jest, bo żyje razem z życiem i ze mną samym; przyjemna, bo czuję w niej rozumną siłę, rzeczywisty motor społeczny.

Szlachcic, zwolennik naszych gazet, coraz trudniej dawał sobie radę z argumentami pana Zygmunta. Drugi, pan Apolinary, słuchał z nabożeństwem, połykając duże kąski mięsa i ciągnąc ze smakiem krajowe mętne piwo. Pan Jan próbował spierać się dalej:

— U nas trudno, szanowny panie, powiedzieć coś dobrze i śmiało. Ale zawsze, co się napisze, to nasze. A nie czytając gazet na prowincji, zapomnisz czasem, że żyjesz i gdzie żyjesz. Ja tam mało znam francuskie gazety. Czasem zobaczę w mieście „Figaro" (akcentował pierwszą sylabę; pan Zygmunt mrugnął ku mnie), ale w niem to też, jak mówi pan Apolinary, same dalsze ciągi. Kiedy kto mieszka we Francji, to je tam rozumie. Każdy kraj ma swoje sprawy. A we Francji zrozumiałby kto naszą gazetę, żeby i mówił po polsku?

— Nie zrozumiałby z pewnością — odrzekł Podfilipski. — Właśnie w tem jest rzecz. Z naszych gazet można zaczerpnąć trochę pierwotnych wiadomości miejscowych, ale znaleźć w nich objaśnienie i dalszy ciąg życia — niepodobna. To są gazety w znaczeniu przedpotopowem: otrąbianie na rynku o zgubionych przedmiotach, o postanowieniach policji z dodatkiem mnóstwa omawiań pseudo-literackich i pseudo-politycznych dla zapełnienia szpalt.

— Bo to trzeba umieć czytać nasze gazety — odparł pan Jan. — Czasem czytasz, panie, wiadomości bieżące, aż znajdujesz raptem jakieś szydełko; albo jest powtórzenie z takich-to a takich gazet, a w samem powtórzeniu już i krytyka. Człowiek czasem się nad tem zamyśli i miałby coś do odpowiedzenia i gada o tem później z innymi, którzy także przeczytali. — A co pan o tem powiesz? — A to i to. — Dobrze, ale... i tak dalej. To także coś warte, panie szanowny. A kiedy naprzykład coś ci chcą zakładać, albo konwersja, panie! — to człowiekowi jednak z naszych gazet dużo się w głowie wyjaśni. Wierzaj mi pan.

— Wierzę panu — rzekł Podfilipski poważnie, z niedostrzegalnym prawie uśmiechem oczu.

Podano nam jakąś potrawę, zamówioną specjalnie przez pana Zygmunta. Osądził, że była niezła, ale wykonana z wielu usterkami; kazał więc zawołać kucharza, wyłożył mu dokładnie, czego brak, odprawił łaskawie. Kucharz pocałował go w rękę i zapewne już nigdy potem nie kładł imbieru, zamiast estragonu, do owego sosu.

Tak rozrzucał Podfilipski drobną monetę i obrączkowe dukaty swych cywilizacyjnych skarbów. Pozostało zaś w nim tyle jeszcze niewydanych zasobów. Te, o ile znam, postaram się rozpowszechnić przy wspomnieniach moich o tym znacznym człowieku, którego wszystkie prawie rozmowy warte były druku.

I wtedy, po wyjściu obu naszych towarzyszów obiadu, odsłonił przedemną niektóre bogactwa swej rozległej myśli. Tamci wstali od stołu szybko po skończeniu jedzenia, pożegnali się z pewnem zakłopotaniem, patrząc w oczy Podfilipskiego, jak w nieswoje i niezbadane głębie. Pan Zygmunt pożegnał ich ze swododną i okazałą grzecznością. Wiejską szlachtę, z której sam ostatecznie pochodził, traktował dobrze; wyższość swą dawał jej raczej odczuwać, niż ją wyraźnie zaznaczał.

Pozostaliśmy we dwóch.

— W tem, co mówił człowiek ten prosty i cichego serca — odezwał się do mnie pan Zygmunt — jest cała nasza rdza i pleśń. Nie obwiniam go: jest niezdolny, ale szczery. Może mu co zapadło w głowę z tego, com mu powiedział.

Broniłem trochę pana Jana, mam go bowiem nietylko za człowieka cichego serca, ale i dobrej woli. W innych okazjach wydał mi się wymowniejszym; tutaj tracił oczywiście na porównaniu ze świetnością Podfilipskiego. I żal mi było, że ludzie więksi, jak oto pan Zygmunt, nie biorą bardziej do serca spraw ogólnych, czy to w publicystyce, czy w działaniu praktycznem.

Powiedziałem mu to, a on przyjaźnie mi się uśmiechnął, ale z właściwym sobie smakiem podniósł tylko lekką krytykę, zawartą w mych prostych słowach, i zawołał:

— Cóż to? przedsięwziął pan moralizować mnie dzisiaj? Ja się przecie nie wypieram swego pochodzenia i w miarę możności tutaj działam. Wydaję trochę pieniędzy za granicą, ale *ich* pieniędzy; to pewna, żem więcej wprowadził do kraju, niż stąd wywiozłem. (Tu uśmiechnął się z wyrazem dumy, jednak bez arogancji). Ale, widzi pan, są natury, jak moja, które trudno nagiąć do służby, a jeżeli służą, to nie w piechocie, tylko w marynarce. Ja potrzebuję jeździć i słuchać pulsu świata tam, gdzie bije najtężej. A wie pan, gdzie ten puls bije najtężej? Stań pan na skrzyżowaniu wielkich bulwarów z „Avenue de l'Opera", na schronieniu dla pieszych — i posłuchaj.

Po drewnianym bruku, na którym kół nie słychać, toczy się wciąż głuchy grzmot podków końskich, ludzkiej mowy, nawoływań, śmiechów; szepty same jużby stanowiły duży głos, gdyby je można było z ogólnej wrzawy wyróżnić. Ale pan już tego nie słyszy, bo ma ten huk w uszach od rana za atmosferę i tło wszystkich wrażeń. Patrzy pan:

Wolno, z ciągle naprężoną uwagą i cuglami, prowadzą furmani przepyszne konie; przejeżdża Alfons Rotschild, prezydent Rzeczypospolitej, Liane de Pougy i tam jeszcze ktoś — aha — król szwedzki. Między morzem krzyżujących się fiakrów, płynących dwoma wstecznymi prądami, reklamowe budy, krzykliwie malowane, i wieloryby tego morza — potworne omnibusy, szczelnie zapełnione aż po dachy. Patrzy

pan na przechodniów. Jak ubrani! jak śpieszą gorączkowo, albo jak rozkosznie „flanują!“ Oczy kobiet błyszczą — wszystkie oczy błyszczą w Paryżu; w powietrzu jest na to jakiś środek, lepszy od belladony.

Teraz pan myśli: Co mam do roboty? Mam czek na „Credit Lyonnais“, najlepszy bank świata, — zaraz na lewo. Jedyna trudność, to przejście ulicy, którą ciągnie nieprzerwana procesja fiakrów i powozów. Ale stoi policjant, zatrzyma ręką cały ich szereg *pour monsieur, qui veut passer.*

Chcę sprowadzić takiego pana, który mieszka aż w cyrkułach pól Elizejskich. Piszę mu depeszę miejską, *un petit bleu.* Biuro obok.

Chciałbym coś wiedzieć o nowym wynalazku Edissona, bo ciągle o nim mówią. Mam o nim wykład popularny, z doświadczeniami, przy restauracji *Café Riche* — kilka domów stąd.

Jeszcze potrzebna mi jakaś informacja. Pójdę do byle jakiego „salonu redakcji“, otwartego na ulicę, gdzie albo przeczytam, albo ustnie się dowiem. Jest ich dosyć na prawo i na lewo.

Kupić mam to, to i to. W promieniu pół kilometra jest do kupienia wszystko, o czem kiedykolwiek pomyślałem, i wiele rzeczy, których jeszcze nie znam.

Pójdę potem na obiad: o kilka kroków jest

Paillard, najlepsza restauracja świata, albo *Café Anglais,* albo *Joseph* — równie dobre.

I wreszcie pójdę sobie na operę, pod której gmachem stoję. Śpiewają Reszkowie.

— Tak, panie — ciągnął dalej Podfilipski przyciszonym głosem, bo zauważył, że mu się przysłuchują od sąsiednich stołów — tam, albo w Londynie, nawet czasem w Berlinie, człowiek czuje się zupełniejszym, bogatszym, wyższym. We wszystkich głównych zdobyczach wieków mam swój udział, za średnie pieniądze dostępne mi jest wszystko od bułki aż do cnoty i sławy. Naprawdę żyję i wiem, że, kiedy umrę, tom się spalił albo złamał, a nie zgnił z braku ruchu i od zamoknięcia. Naturalnie, wszyscy nie mogą mieszkać w Paryżu, ale że się ludzie ruchliwszej myśli i szerszych poglądów garną do takich centrów, to rzecz prosta. Człowiek przywiązany jest instynktownie do rozkoszy; ci, którzy do niej nie dochodzą, są albo grubo nieoświeceni, albo chorzy, albo należą do klas roboczych. To wcale niegłupie przysłowie to „ubi bene, ibi patria".

— Nie, to nie jest głupie...

Ktoś nam przerwał.

EUROPEJSKIE SPOTKANIE.

We drzwiach restauracji ukazała się wysmukła, strojnie, choć czarno ubrana kobieta, szczelnie zakwefiona; za nią szedł mężczyzna, którego obaj poznaliśmy: Henryk Kostka. Ale zjawili się na chwilę w progu i, szybko coś powiedziawszy o przepełnieniu sali, cofnęli się. Doleciał nas lekki zapach, bardzo przyjemnie mieszając się do ciężkiej restauracyjnej atmosfery, — jakby słowa Podfilipskiego o Paryżu zaklęły i wywołały paryskie zjawisko.

Podfilipski podczas tego manewru nie ruszył się z miejsca; natychmiast jednak po zniknięciu tej pary niespodziewanej i zaciekawiającej, wstał, poszedł do bufetu, potem do portjera i wrócił rozpromieniony.

— Wie pan, kto był pod tą woalką? Liza, ta kochana, dobra Liza — rzekł cicho po francusku.

I mnie się tak zdawało.

Wpadł w wyborny humor:

— Przyłapaliśmy ją. Już mi dawno mówiono, że się tam ostatecznie coś popsuło w małżeństwie

R***, i pani szuka protektorów przeciwko mężowi. Tu widzieliśmy jednego na własne oczy.

— Dlaczegóż ma to być koniecznie protektor? jest poprostu znajomy, spotkany przypadkiem, jak jeden z nas.

— Ta-ta-ta — pan nigdy nic nie widzi, nie wie, albo nie chce wiedzieć. Przecie dość na nich spojrzeć, aby zrozumieć. Dlaczegóż się cofnęli? dlaczego nas nie poznali? Eh, panie — zakończył, patrząc na mnie pół szyderczo, pół pobłażliwie.

Mnie to spotkanie sprawiło raczej nieprzyjemność. Znałem dobrze Henryka Kostkę i panią Elizę R***, dla każdego z nich z osobna byłem najprzyjaźniej usposobiony, jednak w tej okoliczności trudno mi było ich obronić od sceptycyzmu pana Zygmunta, który wogóle nie miał wysokiej opinji o kobietach. Mawiał, że główną cechą kobiet jest zalotność, a w tej widział całą ich treść: przez zalotność kobieta staje się bohaterską, albo przewrotną i zdradliwą. Często spierałem się z nim o to. Ale wtedy umilkłem, bo okazja nie wydała mi się stosowną.

Pan Zygmunt chciał koniecznie pójść do pani Elizy.

— Kiedyśmy ją spotkali, grzeczniej nawet jest pójść do niej, niż udawać, że nie wiemy o jej bytności, co w takiej mieścinie jest nieprawdopodobne. A zresztą historja sama jest ciekawa, i ja wogóle

przepadam za Lizą. Ponieważ zostajemy tu do jutra, możemy wieczór razem spędzić, albo razem co urządzić. Ja w każdym razie idę do Lizy.

— No, to i ja także — odrzekłem przekonany.

Zastaliśmy ją samą w pokoju hotelowym, otoczoną kuframi, jak na długą podróż. Była ubrana czarno, co dodawało blasku jej bladej twarzy i jasnym włosom, uwydatniało też piękne linje wyniosłej postaci. Oczy, zwykle niebieskie, świeciły tym razem ciemniej, jakby z nich myśl jakaś czarna nie chciała ustąpić.

Przyjęła nas bez zapału, jednak ze zwykłym swym uśmiechem, nie pozbawionym zalotności.

— Co panią sprowadza do Lublina, do tej stolicy ekonomów? — zaczął Podfilipski.

— Zatrzymałam się tu dla interesów, jadę do Karlsbadu, jestem zupełnie chora.

— Nie wygląda pani na chorą. Ale poco do Karlsbadu? Tam śmiertelne nudy. Lepiej do Ostendy, albo do Trouville. Pani zapewne potrzebuje głównie zmiany klimatu...

— Nie, naprawdę potrzebuję kuracji — odpowiedziała pani Eliza z roztargnieniem.

— Czy pani długo tu zabawi?

— To zależeć będzie... od różnych rzeczy.

— Rozumiem, że pani zostanie tylko dla interesów, bo rozkosze tego miasta są wątpliwe. Chociaż Lublin jest dzisiaj pełen niespodzianek, jakiś

ciąg europejski przepływa tędy: oprócz pani, spotkałem jeszcze hrabiego Sierpskiego z żoną i księcia Stefana i Henryka Kostkę...

Pani Eliza zarumieniła się, ale spojrzała prosto w oczy Podfilipskiemu. On udał, że nic nie zauważył, i mówił dalej:

— Możebyśmy te wszystkie przelotne ptaki zwabili w jedno stadko i urządzili jaką niedorzeczność? Jest tu niezła kapela, weźmiemy ją na wyprawę gdziekolwiek w okolice miasta, na wiejski podwieczorek... Pozwoli pani, to się tem zajmę.

— Nie, ja nie mogę; jestem tu sama; jutro zapewne wyjadę.

— To jutro swoją drogą, ale dzisiaj cóż pani będzie robiła w hotelu? Pogoda jest piękna, wynajdziemy *un porte-respect,* naprzykład panią Sierpską, wracać będziemy przy księżycu; ten poeta przygrywać nam będzie na fujarce pastuszej...

— Nie, panie. Dziękuję za uprzejmość, ale doprawdy nie mogę — rzekła z uśmiechem tak błagalnym, że aż zadziwiła mnie tem wypraszaniem się. Widywałem ją dawniej wesołą i skorą do towarzystwa. Zwróciła się do mnie:

— A pan jedzie z Warszawy?

— Tak, pani.

— A kiedy pan tam powróci?

— Za kilka dni.

— To dobrze. Chciałabym pana prosić o przewiezienie mi jednej paczki, bo nie wiem, czy przez Warszawę pojadę.

— Przecie pani wybiera się do Karlsbadu? — wtrącił Podfilipski.

— Tak, ale może nie zaras i może pojadę na Lwów, gdzie mam także interes — odrzekła pani Eliza z odcieniem niecierpliwości.

Pan Zygmunt, widząc, że nie udają się ani indagacje, ani propozycje, wstał, aby się pożegnać. Wyszliśmy z pokoju, ale pani Eliza zawołała mnie, gdyśmy już byli na korytarzu:

— Może pan jeszcze do mnie wstąpi i weźmie tę paczkę?

Pan Zygmunt, widząc, że pani Eliza zwraca się do mnie, jak do lepiej znajomego, skłonił się dość sucho i odszedł.

Pozostaliśmy we dwoje. Ożywiła się zaraz, a nawet poczęła mówić nieco gorączkowo:

— Nie mam żadnej paczki. Bałam się tylko pańskiego przyjaciela. To podobno bardzo rozumny człowiek, ale go mało znam. Wszystko jedno. Co o mnie mówią w Warszawie?

— Czy mam być zupełnie szczery?

— Proszę, koniecznie proszę, nawet każę, jeżeli to dla pana co znaczy.

— A więc... mówią, że spotykają panią często... z Henrykiem.

— Czy nic więcej?

— Zna kochana pani ludzi! Pokazywać się z człowiekiem, tak uprzywilejowanym od losu, jak Henryk, to daje powód do różnych konjunktur, do obmowy... Czy go pani często widuje? Czy prawda, że podróżowała z nim pani tej wiosny po Włoszech?

— Pierwszy raz go dzisiaj spotykam od pół roku i nigdy we Włoszech nie byłam.

— Aa!

— Zgaduję, że wzięto nas na języki, ale to się skończy.

— Jeżeli mi wolno wyrazić zdanię, bardzo szczerze przyjazne, powinnaby pani unikać spotkań z Henrykiem, choćby takich, jak dzisiejsze. Ludzi w jego rodzaju i w pani rodzaju spostrzegą wszędzie; ręczę, że już w Lublinie wywołaliście państwo sensację, a nawet przyznam się, że mnie samego to spotkanie, mało spodziewane, zadziwiło. Ale mnie to tylko dziwi, innym daje powód do nieprzychylnych objaśnień.

— Nie może pan mnie zrozumieć, bo poprostu pan nie wie; muszę trochę wytłómaczyć. Pan zna mego męża. Przyznaję mu, że jest prawego charakteru, że nikogo nie oszuka, że zdolny do pracy, ale... Panie! ja przecie nie jestem wojownicza? może pan to zaświadczyć — prawda?

I pochyliła się do mnie z serdecznem zaufaniem, biorąc mnie za rękę. Mógłby to kto nazwać kokieterją; jest bardzo ładna, więc sympatja jej pochlebia każdemu mężczyźnie. Mówiła zatem:

— Nie jestem wojownicza, a jednak w ostatnich czasach były między nami takie sceny, takie okropne sceny...

— Takie sceny zazdrości? — pytałem.

— Nawet nie to, ale gnębienie takie, naginanie do swoich wyobrażeń: „Nie pomagasz mi w niczem, nie utrzymujesz moich rodzinnych tradycji (to dlatego, żem przestała prosić co niedziela na obiad najnudniejszego z ludzi, ale sąsiada i przyjaciela domu), po całych dniach czytujesz, nigdy nie jesteś zadowolona... pocoś za mnie wyszła?“ Ach, ta codzienna, cogodzinna wymówka! Nie odpowiadałam nareszcie nic, ale ostatnim razem... Nie opowiem panu szczegółów — dość, że wyjechałam.

Zarumieniła się od wyznania, czy od wspomnienia obelgi. I we mnie zawrzało instynktowe oburzenie mężczyzny na zniewagę, wyrządzoną kobiecie. Rzekłem:

— Teraz rozumiem lepiej, a współczuję pani jeszcze silniej.

— Nie: jeszcze pan nie rozumie. Ale żeby pan był posiedział, tak jak ja, pół zimy i wiosnę, i pół lata w Nastówce na Polesiu, posiedział tak z kobietą nienawistną sobie, jak ja z... tym panem! Nawet

niepodobna, aby pan sobie to wyobraził; mężczyźnie takie położenia nie zdarzają się: wolno mu też uciec od nich, bronić się. Nam nie wolno: zanim poznają sprawę, okrzyczą skandal. Ale ja już i na to zdecydowałam się. Jabym drugiej takiej wiosny, jak tegoroczna, nie przeżyła. Wygląda to na frazes, a jest tylko straszną prawdą. Czy wie pan, że mam kilka siwych włosów na skroni? To pamiątka tej wiosny.

Pochyliła ku mnie śliczną głowę, oprawną w jasny, gruby warkocz — i wionął od niej zapach włosów, najsubtelniejszy z kobiecych zapachów. Z wysiłkiem utrzymywałem się w roli poważnego doradcy.

— Psychologję rozumiem już wybornie, ale praktycznie co będzie?

— To jeszcze tajemnica, ale ją panu powiem, bo nie chcę, aby pan o mnie źle sądził. Tylko pan będzie pamiętał, że to do czasu tajemnica.

Podniosła poważnie rękę do góry, jakby do małej przysięgi.

— Jeżelim w oczach pani godzien zaufania...

— Nie jadę wcale do Karlsbadu, przyjechałam tutaj do konsystorza, a jeżeli gdzie dalej pojadę, to do Rzymu.

— Po rozwód?

— Tak, po rozwód.

— Czy pani da sobie radę?

— Henryk będzie także w Rzymie.

— Ach, tak?

— Co? czy pana w tem co razi? To już konieczność i nasza wspólna sprawa.

Zamyśliłem się na chwilę. Więc bajka niedaleka od prawdy, tylko tak nieprzychylnie oświetlona... Trudno wytłómaczyć ludziom, którzy w złośliwym sceptycyzmie zakładają pewną chlubę i wyższość, że historja jest prawdziwa, tylko nie jest, jak oni mówią, skandalem, lecz dramatem w wysokich sferach serc.

Rozmowa nasza była tak wyjątkowo szczera, że powiedziałem pani Elizie, co myślę. Pytała mnie też, czy dobrze znam Henryka Kostkę, a z jej słów i sposobu słuchania moich szczerych pochwał wniosłem, że to uczucie nie na żarty.

Istotnie, Henryk może podobać się kobiecie. Jest w nim kawał awanturnika, ale w dobrym gatunku. Wykształcony, sławny podróżnik, autor paru dobrych dzieł, nosi on dumnie, ale i dobrze starożytne swe nazwisko. Pani Elizie, która ma głowę łatwo zapalającą się, taki Henryk może się wydawać bohaterem. Nie jest nim w istocie, ale mógłby jeszcze być.

Pożegnawszy panią Elizę życzeniami powodzenia, spotkałem się na obiedzie z Podfilipskim. Tu mnie czekała prawdziwa męka, bom nie mógł zdradzić powierzonej mi tajemnicy, a tak mi było potrzebne to objaśnienie, jako argument!

Zaraz zaczepił mnie pan Zygmunt:

— No cóż? rozwijaliście, zawijaliście paczkę? trwało to dość długo.

— Ee, paczka tam niewielka, ale gadaliśmy trochę. To się wszystko dobrze skończy, mam nadzieję.

— Skończy się zawsze dobrze dla kogoś — odpowiedział pan Zygmunt. — Ale nie w tem rzecz; nie lubię, kiedy kto niezgrabnie udaje. Miałem nawet panią Elizę za sprytniejszą. Co? jedzie do Karlsbadu? chora? i tak nam to podaje? nam? To nie dla nas, panie, to dobre dla innych. My się znamy na kobietach, i onaby to powinna wiedzieć, albo zgadnąć. Gdyby powiedziała: „nie mogłam już wytrzymać na Polesiu i jadę w świat, aby się rozerwać“, pomyślałbym: miła kobietka, może biedna kobieta. Ale tym pospolitym wykrętem przyznała się tylko do pospolitej awanturki.

Siedziałem, jak na rozpalonych węglach, aż Podfilipski to zauważył i zmieniał stopniowo ton rozmowy:

— Ja ją przecie bardzo lubię. Najprzód — pyszna kobieta, według kanonu stworzona. Co za smaczne kształty i jaka w niej lubieżna dystynkcja, a przytem takie to potulne, tak idzie do ręki, tak wyciąga szyję i usta przy rozmowie i patrzy w oczy swemi zadumanemi oczami, jak adeptka, słuchająca mistrza. W tej koronie jasnych włosów widzi się ją zawsze blizko i jakby już, już gotową do nawrócenia.

— Ma widocznie zaufanie do ludzi, z którymi rozmawia, i nie spodziewa się krytyki.

— Czyż ja źle o niej mówię? Owszem — powtarzam, że ją bardzo lubię, wyjątkowo lubię, bo oprócz tego, że ładna, ma kokieterję oryginalną — właśnie ten rodzaj zaufania, który pociąga i do jej postaci, i do umysłu. Tylko jest nieostrożna i trochę dziecinna. Jakże można tak się ciągle afiszować?! Przecie ten Kostka nie pierwszy, o którym mówią; zawsze z kimś rozmawia *à corps perdu*, ma jakieś konszachty artystyczno-sentymentalne, i zawsze z kimś takim — jakby to rzecz? — lepszym, kogo można posądzić.

— Z kim-że ma przestawać? z nudziarzami, albo cały czas z księżmi, albo z tym panem małżonkiem, który ostatecznie...

— Jest gburem i idjotą — dokończył Podfilipski. — Nie, my się tu nie rozumiemy. Czy pan mnie posądza, że nie lubię kobiet ładnych, rozumnych i przystępnych? Przecie ja nie mam pod tymi względami nic do zarzucenia pani Elizie, tylko mówię, właśnie przez życzliwość dla niej, że, szukając przyjemności poza domowem ogniskiem, które, w jej wypadku, jest kopcącym dymem z poleskiego torfowiska — powinnaby być ostrożniejsza. Niech sobie robi, co chce, ale poco mają ludzie tyle gadać?

— Cóż ona takiego robi? — zagadnąłem.

Wybuchnął śmiechem:

— No, panie, co i jak ona robi, tego ja nie wiem. Ale żeby na tylu, co się tam koło niej kręcili, nikt nie dostąpił żadnego zaszczytu, czy to w formie złączenia dusz przez pocałunek, czy w formie zapomnienia podczas burzy, czy przez litość nad namiętnością, czy na złość mężowi, czy wobec konieczności historycznej...

Przerwałem mu:

— Skądże znowu na tę biedną panią Elizę tyle posądzeń?

— Ja nie posądzam, ja przypuszczam. A opieram moje przypuszczenie na znajomości kobiet, których niema tylu rodzajów, jak się wydaje powieściopisarzom, tworzącym „sfinksy“. Sfinksowatość kobiet polega na ich niepewnej i błahej logice, na którą liczyć nie można, ani też warto o niej pisać studja, — ale instynkta mają bardzo podobne.

Przyznaję, że je sądzę w stosunku do mężczyzn, bo to nas głównie obchodzi. Nie idę ja tak daleko, jak Tołstoj, który twierdzi, że stosunek fizyczny między mężczyzną a kobietą jest w gruncie nienawiścią, chęcią zniszczenia jednej płci przez drugą. Wyradzają się i takie typy, ale wogóle jest to walka dwóch egoizmów, dążących do tego samego użycia. Każda strona pragnie rozkoszy dla siebie. Dobrze, kiedy się te pragnienia spotykają, ale skoro mijają się ze sobą,

skoro kolidują, stają się sobie wzajemnie przeciwne i wrogie. Kto kogo wyzyska? — oto cała kwestja. Mężczyzna ma za sobą siłę i rozum, kobieta zaś słabość i zdradę. Wszystko to są narzędzia walki — trzeba o tem pamiętać.

Niech się pan zatem nie dziwi, że ja, sądząc kobiety, przypuszczam najprzód ich wady, czyli właściwości ich natury, skierowane przeciw nam. Zresztą, przyjmując w dziedzinie praktycznej i w sądach o ludziach z dwóch alternatyw ujemną, a raczej opartą na wadach ludzkich, dużo trudniej omylić się, niż wtedy, gdy się przyjmie alternatywę dodatnią, zaufaną w tak zwaną ludzką dobroć. Ja tam w tę ostatnią nie bardzo wierzę. Myślę nawet, że cała mądrość życiowa zależy na liczeniu się z wadami i ułomnościami bliźnich. Poznać je — to nie studjum bezowocne, jak astronomja, to daje siłę i panowanie. Nigdy kombinacje, oparte na próżności, na zmysłowości, na chciwości ludzkiej, nikogo nie zawiodły. Weź pan chociażby za przykład przedsiębiorstwa, które się udają: wydawanie pochlebnych herbarzów, restauracje nocne, loterje. A spróbuj pan założyć z ofiar szkołę, szpital, albo wydawać pismo, poświęcone sztukom pięknym. Świat jest z gruntu zły, trzeba go znać i, o ile kto może, opanować, wyzyskując tę złość, czyli, mówiąc dokładniej, pospolitą, bieżącą naturę ludzką.

Zwiesiłem smutnie głowę.

— Niema w tem nic smutnego — prawił dalej Podfilipski. — Owszem, jest pewna wysoka radość w jasnym poglądzie na świat, w zadowoleniu triumfującego umysłu, w praktycznem powodzeniu teorji, którą sam sobie stworzyłeś i wyrobiłeś.

To samo co do kobiet, o których mówiliśmy. Mnie wcale o to nie chodzi, aby pani Eliza, czy która inna, zachowała swą cnotę, wiarę, i tym podobne właściwości, nie należące do mnie. Chodzi mi o to, abym się nie omylił. Otóż, stawiając na cnotę, niewieścią trzy grosze, może wygram raz na sto razy; stawiając zaś na ich słabości i zdrady pół mego majątku, gram prawie napewno. Chcę poprostu wygrać i wygrywam z kobietami, bo nie liczę na ich wyjątkowe zalety, tylko na pospolite ułomności. Ja panu mówię, gdyby kobieta przestała być zalotną, niepewną i zdradliwą, straciłaby nawet swój urok. Trzeba się tylko tak urządzić, aby z nią być wspól-zdradzającym, a nie przez nią zdradzanym.

Wystąpiłem wówczas z obroną naszych kobiet. Chciałem zwrócić uwagę Podfilipskiego na to, że, oprócz instynktów zmysłowych, istnieją między mężczyzną i kobietą inne spójnie, oparte zapewne na zmysłach, ale inne; istnieją uczucia miłości, poświęcenia, przyjaźni. Mówiłem jednak nieśmiało, bo mnie pan Zygmunt odrazu pobił swą nieubłaganą logiką, a przytem znałem już jego teorję o uczuciu wogóle, które nazywał chorobą mózgu.

HISTORJA TOMASZA.

Z Lublina wyjechaliśmy razem do Cisowa, do państwa Tomaszów Podfilipskich. Zanim jednak opowiem tę wizytę, muszę czytelnika zaznajomić z przyjacielem moim, Tomaszem.

Cała jego postać moralna, jego poglądy na świat, na społeczeństwo i na kobiety są niby odpowiedzią na wyżej przytoczne rozmowy moje z Zygmuntem, odpowiedzią gorącą, przeciwną i słabą. Tomasz bał się starszego brata, nie mógł wytrzymać porównania z nim, ani dyskusji; nie zbudowany, ani uzbrojony do walki tak potężnie, jak Zygmunt, marzyciel ten szukał w życiu urzeczywistnienia różnych mrzonek i naturalnie rzadko je znajdywał. Gnębiło to jego wrażliwą duszę.

Kiedym wstępował do uniwersytetu w Dorpacie, Tomasz był tam „omszałą głową", czyli studentem od lat wielu. Zaczął studja historyczno-filologiczne w Dorpacie, pojechał na dalsze do Lipska i powrócił, aby się magistrować. Poznałem go wtedy, i zawiązała się nasza przyjaźń.

Trudno było nie lubić tego człowieka, stworzonego na przyjaciela młodzieży i kobiet. Umiał bawić się i uczyć, był powagą na fakultecie i w „konwentowem mieszkaniu“ i w tradycji burszowskiej. Znał wszystkie nasze pieśni, niektóre z nich były jego pióra, znał wszystkie gatunki piwa, wszystkie kąty tego miasta, zostającego pod przeważnem panowaniem studentów; znał też i nas wszystkich i każdego niemal stosunki, upodobania, potrzeby. Tam, na gruncie wulkanicznym i urodzajnym, gdzie falowało młode zboże i dojrzewały dziwne, wybujałe rośliny różnego gatunku, w atmosferze poetycznej awantury, Tomasz był naprawdę niepospolitym i pożytecznym człowiekiem. Jako towarzysz, doradca, rozjemca w krwawych często sprzeczkach, zapisał swe imię w tych drobnych, a jednak niebezowocnych dziejach.

Czekało go jednak u wyjścia z progów „almae matris“ twarde i szersze życie. Nie był to już ten światek przyjaznych i przeważnie młodszych kolegów, rozwielmożniony w małem mieście, ale szeroki, zimny świat, który go przyjął, jak każdego, zapytaniem: „skąd przychodzisz? co ze sobą przynosisz w głowie i w kieszeni? ile jesteś dla nas wart? czy mamy się bać ciebie, czy cię wyrzucić poza mury?“ Tomasz nie był na to przygotowany i nie potrafił dać takiej odpowiedzi, jak Zygmunt, który przychodził z szerszej szkoły życia i znał sposoby torowania sobie drogi. Tomasz zaś kochał ludzi i pragnął wielu rze-

czy niepodobnych: wpływu na współczesnych, odmiany przesądów, rozpowszechnienia pięknych i dobrych uczuć. Był poetą w życiu, niepraktycznym idealistą.

Poetą w literaturze naprawdę nie był. Miał niezaprzeczony talent i znowu zamało siły do wykonania swych dużych pomysłów. Zaczynał pisać różne dzieła, ale porzucał je prędko, bo nie mógł znieść rozdźwięku, istniejącego zawsze między dziełem wymarzonem, a napisanem. Ideał jego był zawsze we mgle i w niedościgłem oddaleniu. W literaturze i w życiu miał tę samą nieuleczalną chorobę.

W teorji i w praktyce bracia poszli zupełnie innemi drogami. Spotkali się jednak niegdyś, za młodu, przy jednej i tej samej kobiecie. Zdarzenie to wyjaśni się, gdy dodam, że panna Alina mieszkała w sąsiedztwie starych Podfilipskich, że pałac jej rodziców, Wyżewskich, panował nad kilku parafjami okazałością i znaczeniem, i że panna Alina była dla okolicy tą królewną, o której z urzędu marzyły matki dla synów, a synowie dla siebie.

Zygmunt i Tomasz bywali oddawna w Cisowie u bogatych sąsiadów; przyjmowano ich chętniej, niż ich rodziców, bo Zygmunt był już wówczas paryżaninem bardzo obiecującym, a Tomasz miał wiele wdzięku i słynął jako poeta. Obaj naturalnie „mieli się“ ku pannie Alinie, tylko każdy inaczej. Nie dowiedziałem się nigdy, czy Zygmunt

kochał się naprawdę, ale to wiem napewno, że w owych jeszcze czasach powstało gorące, niezachwiane uczucie Tomasza dla Aliny.

Wtedy nie mogło być jednak mowy o projektach małżeństwa między Podfilipskim, a Wyżewską. Stawała na przeszkodzie różność stanowisk społecznych i jawna niełaska matki, okazywana Zygmuntowi, a przeniesiona trochę i na biednego Tomasza. Pan Wyżewski lubił starszego Pcdfilipskiego, lubił go za jego rozum, za cywilizację zachodnią i za prawdziwy, pełen względów afekt, który Zygmunt mu okazywał. Jegoby może w ostateczności przyjął za zięcia, lecz nie Tomasza, którego miał poprostu za nic — za syna dzierżawcy i poetę.

Położenie zmieniło się zupełnie ze śmiercią pana Wyżewskiego. Śmierć ta ujawniła najgorszy stan majątkowy. Ogłoszono już po okolicy bankructwo i konieczność sprzedaży Cisowa, ale tu wystąpiła na widownię pani Wyżewska, matka Aliny.

Pamiętam tę panią, choć raz ją tylko widziałem. Nie była słodka. Mieszkała w wielkim dworze opustoszałym, bo po śmierci pana Wyżewskiego sprzedano wszystkie kosztowniejsze sprzęty. Stajnia bez koni, wozownie bez powozów, w parku zasiany owies i konopie — wszystko to było smutne, twarde; a pani Wyżewska, ze swą postawą przysadzistą, z siwymi włosami w nieładzie około zwiędłej twarzy, ze wzrokiem jasnym i przenikliwym, krzątała się,

dawała dyspozycje ekonomom, jeździła sama za interesami do Lublina. Opieka, ustanowiona po śmierci męża, orzekła, że długi nieboszczyka przenoszą wartość pozostawionej przez niego ziemi, że niema nic do roboty, jak tylko ziemię sprzedać i długi zapłacić, chociążby niezupełnie. Ale wdowa oparła się temu tak stanowczo, że reszta opiekunów musiała ustąpić od swego zdania. Zaczęła się więc ta „babska gospodarka“, o której słyszałem często od pana Zygmunta.

Dziwny był wstręt wzajemny ku sobie tych ludzi niepospolitych w swoim rodzaju: pani Wyżewskiej i pana Zygmunta Podfilipskiego.

Po śmierci Wyżewskiego nadzieje Tomasza przybrały pozory nieśmiałej prośby. Wtedy on już tylko sam pozostał na placu, jako aspirant do ręki pani Aliny, i chyba tylko raz w życiu odniósł pewne zwycięstwo nad starszym bratem, jedyne małe zwycięstwo w jednem sercu kobiecem, o które przecie Tomasz dbał więcej, niż o wszystkie inne powodzenia życiowe. Niewłaściwie nawet nazywam zwycięstwem tę korzyść, odniesioną przez Tomasza nad Zygmuntem. Zygmnnt, skoro utracił swego stronnika w Cisowie — starego Wyżewskiego, skoro przejrzał bystrem okiem nieprzyjazne usposobienie matki i smutny stan interesów, cofnął swoją kandydaturę.

Tomasz, będąc już zapewne w porozumieniu z Aliną, jak mógł, starał się przypodobać jej matce,

którą czcił, ale też i bał się jej okrutnie. Ofiarował swe usługi do rozgmatwania interesów. Nie przyjęto tej ofiary. Pani Wyżewska nie wierzyła w jego praktyczność i miała może słuszność. Tomasz nie przestawał jednak trzymać się w pobliżu, gotów na każde zawołanie. Wiem nawet, że prawdziwie romantycznych używał sposobów, aby przyjść w pomoc swej ukochanej i jej matce.

Tajemniczo, podziemnie chodził za sprawami Cisowa, wynajdywał, jakie mógł projekty dochodów, starał się o ekonomów, o kupców. Posądzam go nawet nie bez podstawy, że, namawiając jednego kupca na starodrzew w Cisowie, obiecał mu pod sekretem dość dużą sumę od siebie i, gdy kontrakt został zawarty, sumę tę wypłacił. Ponieważ zawsze był biedny, ten wydatek był wielką, nieopłaconą ofiarą.

Kiedyś, znacznie później, posądzenie moje wypowiedziałem panu Zygmuntowi, który mi odrzekł na to:

— Cały Tomasz jest w tym postępku. Zamiast starać się zbogacić i przez to samo stać się potrzebnym, pożądanym tej kobiecie, której pragnął, on swoje mizerne grosze wkłada potajemnie do jej kasy. To niby rozrzewniające, ale gdzież logika? Starasz się o kobietę, — używaj środków do jej otrzymania, a nie działaj wręcz przeciw sobie samemu.

Pan Zygmunt miał słuszność: Tomasz nie był praktyczny, nie umiał się też nigdy ani zbogacić, ani osiągnąć stanowiska w świecie. Przypominam bowiem inne fakta podobne.

Raz pan Zygmunt wszedł do mnie po przyjeździe z Berlina, gdzie znajdował się z Tomaszem, wałęsającym się wówczas po świecie burszowskim i naukowym, pijącym nawet z rozpaczy, bo sprawa jego o rękę panny Aliny nie postąpiła ani na krok. Pani Wyżewska rządziła dalej w Cisowie, interesa polepszyły się znacznie, procenty od długów płacono regularnie. Tomasz, przyjmowany chłodno przez matkę, a nieśmiało przez Alinę, uciekł i żył trochę na łasce brata, który był zawsze dla niego dobry, jak to później jeszcze będę miał sposobność pokazać.

Tego dnia pan Zygmunt wszedł do mnie wzburzony i, po kilku słowach powitania, rzekł mi:

— Już ten Tomasz ostatecznie dostał bzika. Najprzód zadaje się z taką hołotą, że, mówię panu, trudno z nim mieszkać. Ja przecie sam nie stronię od tak zwanej „inteligencji“, ale od prawdziwej, umiejącej żyć, nietylko bazgrać liche książki i pić piwo. A naprowadzają się do hotelu, w którym wspólny mamy salonik, tacy oberwańcy, że... No, ale mniejsza jeszcze z tem. Posłuchaj pan, jakiego mi spłatał figla.

Przychodzi do mnie bankier, mój dobry znajomy, z którym niejeden miewałem interes, i pyta, dlaczego ja odmówiłem mego udziału w puszczeniu w obieg nowych akcyi tramwajowych? Ja? jako żywo, nikt mi o tem nie mówił! — „No, no — odpowiada bankier, (a ma takie oczko jedno mniejsze od ciągłego mrugania) — już to pewno panu obiecał kurtaż mój współzawodnik“ — inny tam jakiś, którego przedsiębiorstwo jest wręcz przeciwne. Nie będę zresztą panu tego tłómaczył, ale niech pan posłucha dalej. Zdziwiony i niezadowolony, tem bardziej, że dbam o tego bankiera, (bardzo porządny i solidny człowiek), dochodzę do takiego odkrycia. Przysłano do mnie nieznajomego agenta, który, spytawszy o pana Podfilipskiego, zastał w hotelu Tomasza i, zamiast do mnie, udał się do niego z propozycją. Chodziło o zareklamowanie, o przemówienie do kilku znajomych mi wpływowych osób. Ofiarowano mi 30.000 marek, które można było wziąć poprostu za nic i to w przeciągu tygodnia. Interes zresztą doskonały, oparty na rachunku, na firmach poważnych i t. d. No, a ten idjota Tomasz odpowiedział, że się nigdy kurtażem nie trudnił i trudnić nie będzie. I wie pan? interes przepadł: użyto kogo innego. Gdym zobaczył tego dnia wieczorem Tomasza, wpadłem na niego: nie, to już zanadto dziecinne, poprostu głupie! Zaczął mi coś przebąkiwać o swoim wstręcie do prędkich zysków, nie opartych na pracy osobistej. Napróżno

tłómaczyłem mu, że im kto rozumniejszy, tem prędzej zyskuje, że te pieniądze, które on (za mnie!) odmówił, weźmie dzisiaj (może już wziął?) książe taki to, lub najczcigodniejsza matrona, że interes jest najuczciwszy i zasługujący na poparcie, że wreszcie każdy procent od kapitału, każde wzięcie spadku albo posagu nie jest niczem innem, jak zabraniem na swoją korzyść pieniędzy, nie zarobionych przecie pracą rąk własnych, a zatem nie różni się i od kurtażu. Co mu tam gadać! Zwiesił uszy i słuchał.

Taki już był Tomasz: pod wielu względami pozostał dzieckiem.

Historja jego miłości trwała przez wiele lat. Już i panna Alina przeszła pierwszą młodość, a matka jej odbudowywała ciągle ze szczątków i ciężką pracą rodzinny majątek, pragnąc oddać córkę w ręce jakiegoś wymarzonego zięcia, a w ręce ich obojga stary Cisów w dawnej ich świetności.

Nie przypatrywałem się stosunkom matki z córką, sądzę jednak, że były dobre. Alina, jak wszyscy, bała się zapewne matki, ale czciła ją i kochała. Może nie rozumiały się zupełnie, bo dzisiejsza pani Alina innej jest natury, łagodniejszej; może też Alina przenosiła zadowolenie matki nad zadowolenie popędów własnego serca? Pozostały do końca nierozłączne, wzorowe, jak dwa posągi Spartanek.

Mówię: do końca, bo przyszła śmierć na panią Wyżewską.

— Strzęsła się baba na bryczce i kłapła — opowiedział mi pan Zygmunt ten wypadek z nietajoną przyjemnością.

Rzeczywiście zaziębiła się, jadąc późną jesienią, jak zwykle, za interesami do miasta, i w kilka dni skonała.

Pamiętam, żem się wtedy zamyślił nad tą kobietą prawie nieznaną, ale imponującą, której życie zeszło bez słodyczy i bez sercowych uniesień, lecz nie bez pożytku, ani bez wielkości. I przyszło mi do głowy wiele uwag o tym rodzaju kobiet naszych, pełniących męskie obowiązki za mężów swych i synów, trzymających rodzinną ziemię i tradycję w garści, stwardniałej od zaparcia siebie samych — i umierających na bryczce. Alem się nie podzielił wówczas temi myślami z Podfilipskim, który nie lubił pani Wyżewskiej.

Śmierć ta usunęła przeszkody pomiędzy Tomaszem a Aliną, wzajemną mu oddawna.

Tomasz płakał szczerze na pogrzebie pani Wyżewskiej. Jakakolwiek była dla niego — zawsze to matka tego arcywzoru — Aliny! Następnie widywał Alinę często, ale nie śmiał jej nawet wspomnieć o swej miłości, otaczał ją tylko dalekiem, pokornem uwielbieniem. Sama nareszcie Alina ofiarowała mu swą rękę w kilka miesięcy po śmierci matki; ofiarowała mu ją chętnie, poważnie, pewna, ze spełnia jedno

z najmilszych zadań kobiecych — uszczęśliwienie mężczyzny.

W istocie nie widziałem nigdy szczęśliwszego człowieka od Tomasza zaręczonego. Działo się to w Warszawie, więc wpadł do mnie tego samego dnia. Oznajmiwszy fakt, nie mógł się dalej wysłowić, on, który mówił płynnie i wyraziście:

— Widzisz — Ona — to nie jest moja miłość, to moje życie... Pocom ja żył dotychczas? I postarzałem się trochę — i pijak ze mnie — i nic wart nie jestem... Ale pomyśl — ona przecie ma wszystko, co tylko kochać można. Ona nie stworzona dla nikogo, albo dla takiego wybrańca losu, że niema co myśleć, abym ja...

Wzruszył ramionami.

— A sama mi powiedziała... niby ręka bogini, wyciągnięta do wskrzeszonego Łazarza — niby święcenie niewolnika na najwyższego kapłana. Czyś ty się kochał kiedy? Nie mogłeś tak — to jest wyjątkowa pozycja dusz względem siebie.

Słuchałem go, jak człowieka obłąkanego szczęściem, a jednak wtedy najwyraźniej odczułem tę duszę idealisty słabą i lotną, tego poetę dla siebie, nie dla świata.

Nie brakowałoby nic do nowoczesnego raju, gdyby nie potrzeba butów i kucharza. Te zaś szczegóły zapowiadały się niepewnie w nowem małżeństwie. Tomasz nie miał majątku, tylko długi; Ci-

sów zaś był piękną fortuną, ale połowa długów pana Wyżewskiego obciążała jeszcze hipotekę. Dopiero po śmierci pani przekonano się, jaki zniknął genialny administrator razem z tą dzielną kobietą: połowa dawnych długów wydawała się niemożliwą do spłacenia bez sprzedaży Cisowa, zwłaszcza, że ostrożni wierzyciele, niepewni teraz procentów, wymówili należytości.

Zaczem młodzi państwo Tomaszowie mogli zostać się odrazu bez dachu, Ale tu wystąpił równie wspaniale, jak serdecznie pan Zygmunt: pożyczył bratu potrzebną sumę 75.000 rubli, stał się prawdziwym jego dobroczyńcą.

Po upływie rocznej żałoby odbył się ślub Tomasza z Aliną, i siedmioletnie ich pożycie było pogodne, zasłużone dla obojga, bo on był najlepszym i najserdeczniejszym chłopcem aż do śmierci, a pani Alina — bardzo miłą i niepospolitą kobietą. Jedynie kłopoty pieniężne zachmurzały czasem to życie wiejskie, wzorowe pod względem moralnym Tomasz bowiem, choć nie był rozrzutny, nie umiał robić pieniędzy; oceniła go niegdyś trafnie pani Wyżewska, nie chcąc przyjąć jego usług w zarządzie Cisowa.

Dzisiaj Tomasz już nie żyje. Jakby zanadto szczęścia i spokoju było w Cisowie, suchoty gardlane zabrały Tomasza rodzinie. Umarł niedawno, przed śmiercią starszego brata.

Zatem pani Alina skazana jest znowu, jak jej dzielna matka, na samotną pracę około majątku i około wychowania dwóch córeczek. I rządzi w Cisowie dobrze, spełnia bez rozgłosu jedną z tych cichych ofiar, nienagrodzonych na ziemi, zastępuje nieobecną siłę męskiej ręki przez skrzętną kobiecą zręczność, tak niedocenianą u nas, że nawet ludzie z najwyższych sfer myśli, jak pan Zygmunt, nie przyznają tych zasług naszym kobietom.

Cisów ma jakby przeznaczenie osłaniać obowiązkową mierność i najtrudniejsze — niepozorne bohaterstwo.

— — — —

NA ŁONIE RODZINY.

Wyjechaliśmy z Lublina bardzo rano, mając przed sobą do przebycia kilka mil szosy i kilka mil bocznej drogi. Cisów leży głęboko na prowincji. Ponieważ jednak dzień był pogodny i niezbyt gorący, podróż nie była uciążliwa. Pan Zygmunt przed tygodniem był jeszcze zagranicą, ale porównanie tamtych szos i tamtych powozów z naszymi nie drażniło go tym razem, wywoływało tylko stosowny uśmiech i uwagi. Lubił też wracać do Cisowa dla wspomnień pierwszej młodości i miał tam swoje pomieszkanie, skoro zdarzyło mu się być latem w kraju. W żadnym z własnych folwarków nie mieszkał, bo były to głównie przestrzenie i fabryki leśne, bez domów odpowiednio zagospodarowanych; w Cisowie zaś urządzono dla niego osobną oficynę i otaczano go wszelkimi względami. Oczywiście — należało mu się to.

Z prawdziwą przyjemnością zajechałem przed kolumny Cisowskiego dworu. Krótkie dawne moje

wrażenie tej siedziby było smutne; teraz dostrzegłem różne szczegóły, jakby uśmiechnięte do nowego życia: budynki otynkowane, ogród przystrojony kwiatami i jakiś szmer i ruch, świadczący, że są pszczoły w ulu, a nie sama tylko matka siedzi w nim samotna.

Oboje państwo Tomaszowie stali przed drzwiami i powitali najprzód mnie, bo pierwszy wyskoczyłem z powozu. Pani Alinie bardzo do twarzy z uśmiechem, którego dawniej prawie nie znałem. Poczem Tomasz podszedł do stopnia i przywitał starszego brata z nieśmiałą serdecznością. Pan Zygmunt rzekł mu tylko:

— No, mój Tomku, jak się masz?

Ale w tych prostych wyrazach było dużo patrjarchalnej powagi, o której naczelnik rodu Podfilipskich nigdy nie zapominał. Z bratową przywitał się weselej, całując ją w twarz. Pani Alina pochyliła ku niemu twarz z pewnem zakłopotaniem.

Zasiedliśmy zaraz do śniadania; podano wszystkie wiejskie nalewki, wszystkie gatunki owoców; śniadanie było smaczne, a przedewszystkiem wesołe.

Cóż robi gość na wsi, gdy niema sąsiedzkiego zjazdu, albo polowania? Je, pije, ogląda i obowiązkowo podziwia pokoje, budynki, konie, spacery. Wieczorem zaś rozmawia dopóty, aż ktoś skorzysta z żartu, który się udał w rozmowie, aby dać hasło do snu. Miałbym ja wprawdzie o czem mówić,

i długo, z Tomaszem, nie był jednak rozmowny, jak zwykle; wolał słuchać.

Po pierwszem „dobranoc“ zadawałem sobie pytanie, co mu jest. Czyżby tak się kochał, że aż zgłupiał? — i to się zdarza. Czy może przestał już żyć mózgiem i gorączką, a chce tylko spokoju, skoro go osiągnał nareszcie razem z tą swą jedyną kobietą?

Nazajutrz dopiero zmiarkowałem, że nie te powody przygasiły jego humor, ale obecność starszego brata. Dziwna rzecz, jak go się Tomasz bał. Pan Zygmunt nie był przecie ludożerca, miał charakter przyjemny, umysł pełen wdzięku. Ale widocznie wyższość jego pod każdym względem tak ciążyła na słabej i wrażliwej duszy Tomasza, że uszanowanie dla brata zabijało w nim swobodę myśli.

W gościnie na wsi, po wyczerpaniu słodyczy przyrody, pozostaje jedno prawdziwie zabawne zajęcie: obserwować ludzi w pantoflach i w szlafroku, poznawać ich drobne przyzwyczajenia, wglądać w stosunki wzajemne kilku osób. Żyjąc ciągle razem, będąc świadkiem od rana do nocy wszystkich niemal ruchów i słów, nabierasz mnóstwa drobnych spostrzeżeń, które dają ci obraz człowieka dokładniejszy; wszelka poza jest utrudniona. Gościa wiejskiego trzeba się strzedz. Nie potrzebowali jadnak wystrzegać się mnie państwo Podfilipscy, o których nikt nic mógłby powiedzieć czegoś na niekorzyść.

Ponieważ obaj z Tomaszem lubimy polowanie, zaraz na drugi dzień mieliśmy bardzo rano wyjść na dubelty. Nie będzie dubeltów — to będą kszyki, a w braku tych, choćby kurki wodne, lub gołębie. Byle trochę powłóczyć się wśród wilgotnych zapachów łąk. Wstaliśmy więc rano i piliśmy kawę w jadalnym pokoju cicho, aby nie obudzić pani.

Ale usłyszałem w korytarzu szmer sukni i przyciszony głos kobiecy, wydający jakieś rozporządzenia.

— O, już Alinka wstała — odezwał się Tomasz, i oczy zaiskrzyły mu się miłosnem rozrzewnieniem.

— To ruszajmy prędko — odpowiedziałem — im wcześniej, tem lepiej.

— Zaraz, poczekajmy parę minut na Zygmunta — rzekł Tomasz.

— A czy on idzie z nami?

— Nie — tylko, widzisz, łąka, od której zaczniemy, jest blizko domu, a jeżeli będziemy strzelali... on nie znosi hałasu przy obudzeniu — dostaje bólu głowy.

— Aha.

Zawsze uprzejmy pan Zygmunt ukazał się jednak niebawem, pogodny. Innemi drzwiami weszła pani Alina, w rannej sukience, świeża i miła. Chociaż podobna do matki, ma wiele wdzięku, tego osobnego wdzięku bardzo uczciwej kobiety.

— Odemnie nikt nigdy raniej nie wstanie — rzekła wchodząc.

Pan Zygmunt ujął bratową za obie ręce, wyrażając bardzo ciepło uznanie dla dobrego wyboru sukni — i pocałował ją znowu. Należało to widocznie do jego patrjarchalnych przyzwyczajeń.

Wybraliśmy się na dubelty, których okazało się mnóstwo. Kanonada trwała do południa, a gdyśmy zasiedli do śniadania, jeszcze echa naszych bajecznych strzałów brzmiały w opowiadaniach.

Ale spostrzegłem, że pan Zygmunt nie jest w najlepszym humorze, a pani Alina także wydaje cię czemś rozdrażnioną. Podczas gdyśmy polowali, zaszła zapewne pomiędzy nimi jakaś sprzeczka. Wkrótce i Tomasz spochmurniał, więc, chociaż kawę podano w ogrodzie, w ślicznem miejscu między lipami, tworzącemi ogromną altanę, milczeliśmy wszyscy. Rozkosz wsi i trawienia służyły nam za wymówkę.

Bywają takie dni, zwłaszcza na wsi, gdzie wszystko idzie na opak i drażni nerwy. Zaledwie usiedliśmy w altanie, przyniesiono panu Zygmuntowi telegram, znacznie spóźniony. A chodziło tam o coś ważnego, bo pan Zygmunt począł się zżymać:

— Naturalnie! depesza wysłana wczoraj rano, ale jak zaczęła się błąkać po wiejskich stacjach, jak zaczęli szukać pieszego posłańca... A mówiłem ci, Tomku, żebyś lepiej urządził odbiór poczty i telegramów, bo te niedokładności mogą narazić na duże straty, zwłaszcza kiedy ja tu jestem. Teraz

muszę natychmiast wysłać depeszę terminową. Masz kogoś pod ręką?

— Jeszcze trwa odpoczynek południowy — powiedział Tomasz przez roztargnienie.

Pan Zygmunt zerwał się nerwowo z krzesła i zawołał:

— Otóż to! wszystko u nas jest niepodobieństwem! Już sam kraj zapadły, a jeszcze ludzie do niczego!

— Ale nie — zaraz! Daj tę depeszę — poślę stajennego chłopca na mojej klaczy — dojedzie do stacji telegrafu za godzinę.

I wybiegł Tomasz, aby dać rozkaz, pani też odeszła; pan Zygmunt poszedł pisać telegram, a ja już pierwej oddaliłem się nieco dla obejrzenia rosnącego w pobliżu żywopłotu z dzikich róż.

Lubię bardzo dzikie róże.

Popołudniu mieliśmy jechać do lasu na rydze. Zajechały przed dom dwie bryczki, bo po wązkich leśnych dróżkach nie można było jeździć powozem.

Pan Zygmunt odezwał się do mnie:

— Może pan pojedzie z Tomaszem?

I zwracając się do pani Aliny z komicznym, nizkim ukłonem:

— A łaskawa pani może pozwoli sobie towarzyszyć?

Ale pani Alina, rozejrzawszy się szybko po nas wszystkich i po bryczkach, jakby szukając natchnienia, odpowiedziała:

— Najlepicj wpakujemy się wszyscy na jedną bryczkę — tak będzie weselej — wszyscy razem.

Nie czekając długo, wskoczyła na kozioł bryczki, na której siedziałem już ja z Tomaszem, i ujęła lejce.

Panu Zygmuntowi uśmiech wykrzywił się jakoś zagadkowo. Skończyło się na tem, że pozostał w domu, bo przypomniał sobie, że ma dużo listów do pisania.

Pani Tomaszowa nie doceniała szwagra i nie ulegała jego wdziękowi. Widocznie istnieją antypatje we krwi, w instynkcie — i te bywają dziedziczne. Pani Alina, jak niegdyś jej matka, przyznawała starszemu Podfilipskiemu zaledwie niektóre zasługi. Instynkty kobiece nie zawsze są uzasadnione. Przeciwnie, pan Zygmunt nie tylko był dobroczyńcą brata, ale i szczerym przyjacielem bratowej. Słyszałem od niego często gorące dla niej pochwały, zwłaszcza dawniej. Następnie mawiał, że ta kobieta rdzewieje w „parafjalnem nabożeństwie“. Wzajemne o sobie zdania tych państwa przytaczam tylko, aby uwydatnić, jak natury bogate i wybitne indywidua odpychają się często od siebie, dla braku pospolitego łącznika jakiegoś fizycznego pokrewieństwa.

Pojechaliśmy tedy do lasu bez pana Zygmunta, i choć rydzów znaleziono tylko dwa, rozłożyliśmy ogromny ogień, aby te rydze upiec. Tomasz rozwe-

selił się, zaczął improwizować zabawne wiersze. Skakaliśmy potem przez ogień, pani Alina także i nie gorzej od nas. Pierwszy raz widziałem ją tak rozbawioną: była ładniejsza jeszcze, niż zwykle, zupełnie ponętna. Pocałowała przy mnie Tomasza w same usta, mnie uderzyła silnie po ramieniu. Nie spodziewając się po niej takiej „gamineryi", wspomniałem teorje pana Zygmunta o zalotności kobiet. Pomyślawszy jednak chwilę, nie znalazłem zastosowania tych teorji do pani Aliny. Jej wesoła zalotność jest poprostu wdziękiem, i pewny jestem, że w nieobecności męża nie pozwoliłaby sobie nawet na tak niewinną kokieterję.

Znów po obiedzie, wieczorem, wystąpiła sprawa opóźnionego telegramu. Widocznie sprawa była ważna, skoro nią pan Zygmunt tak długo nas zajmował.

Tomasz milczał, ale pani słuchała coraz mniej cierpliwie.

— Już to przyznać trzeba — mówił poszkodowany — że to wasze wiejskie ustronie bardziej nadaje się do sielanki, niż do interesów.

— Musiał o tem Zygmunt wiedzieć — odcięła się pani Alina — przecie nie pierwszy raz tu przyjeżdża.

— Może za często? — odrzekł starszy brat, i twarz jego przybrała szlachetny wyraz cierpienia.

— Ależ Alinko! — ale mój Zygmuncie! — łagodził Tomasz.

Nie powiedziano już nic więcej. Pani Alina wcześniej poszła do swego pokoju, i pozostaliśmy we trzech.

Miałem tu nową sposobność podziwiania taktu i smaku Zygmunta Podfilipskiego. Jego wybornie wychowana dusza nie znosiła przykrych starć, a potężny umysł umiał zawsze opanować zły humor lub niesmak. Skoro doszedł do wniosku, że bez tak zwanej „sceny“ byłoby lepiej albo piękniej, omijał scenę. I wtedy zauważył może zbytni nacisk, położony na swoje potrzeby, w domu, bądź co bądź, cudzym, chociaż braterskim i zobowiązanym tylu dobrodziejstwami; chciał mi dowieść, jakim być umie i jak wszelkie jego czyny i słowa nie są rezultatem przypadku, lecz namysłu.

— Tomku! każ dać wina — tego, co ci przywiozłem z Francji — pogawędzimy trochę. Poco sobie psuć krew napróżno? Z kobietami, nawet najmilszemi, nie można rozmawiać poważnie. Kto nawykł do filozofii, wie o tem. Ale myśmy ze sobą niejedną już kwestję przenicowali i tak i napowrót — prawdą, panie? Pan jest młodszy, ma pan często poglądy, które i ja miewałem dawniej, nie zawsze bywamy jednego zdania, ale ostatecznie wyświetli się nam przez dyskusję niejedno — prawda?

Stał się odrazu miłym i podniosłym.

— Teorji nie można wypowiedzieć nagle, bez powodu. Gdyby kto wszedł do pana i, stanąwszy

we drzwiach, bez przywitania, palnął jaki moralny aforyzm, wziąłby go pan za warjata. Ale przy sposobności zwracać uwagę otaczających na niektóre rzeczy, mówić prawdę, moralizować, apostołować — powinno być zadaniem ludzi wytrawniejszych. Te słowa wydają się panu za duże? Użyjmy mniejszych. Ci ludzie powinni poprawiać, gderać. Ile razy mówiliśmy o brakach naszej cywilizacji! Mówi się to — a życie płynie po staremu, ledwo się rusza. Dlatego przy codziennych szczegółach, niemal dotykalnie trzeba wskazywać palcam i nauczać: o tu — mogłeś wygodniej się urządzić, łatwiej skorzystać. Z takich drobiazgów, gdy je kto ma w głowie ujęte w pewien system, składa się umiejętność życia.

Nie trzeba wpadać w pedanterję i nudzić. Jeżeli was dziś znudziłem, to omyłka. Ale rozwinąwszy myśl od pojedynczego zdarzenia do teorji, — systematyczny wpływ na otoczenie, na towarzystwo, na kraj, jest zadaniem, o którem ja często i bardzo mozolnie myślałem.

Tu przerwał i pociągnał wina.

Tomasz połykał kieliszek po kieliszku. Pan Zygmunt rzekł z uśmiechem:

— Nie umiesz pić.

Tomasz bywał przy winie śmielszy nawet z bratem. Odpowiedział wesoło:

— To zależy, czy człowiek stworzony dla wina, czy wino dla człowieka. Ja wolę wino pić, niż je cenić i rozmyślać nad teorją picia.

— Tak? — uśmiechnął się pan Zygmunt ironicznie. — Ty zapewne, patrząc na wino, masz jakieś poetyczne wrażenie? Przyznaj się, że zamiast w butelce, zamykasz wino w jakiejś formułce, naprzykład: „wino, kobieta i śpiew“.

— Nie. Formułka ta zestarzała się; zmieniłem ją pod wpływem nowszych prądów cywilizacyjnych na „sport, kokota i paradoks“.

— Zaczynamy być dowcipni — przebąknął pan Zygmunt.

Odezwałem się ja:

— Wracając do naszej rozmowy — pan umie doprowadzać do doskonałości wszelkie wyrafinowanie życia. Choćby i to wino, które pijemy, a które pan podobno kupił we Francji, jest doskonałe.

— A co pan myśli? Tomek, który niby wino lubi, kupiłby je pewnie w Warszawie, gdziekolwiek, i dostałby lurę za podwójną cenę. Życie składa się ze szczegółów. Trzeba rozpocząć od drobiazgów, żeby je przerobić. A gwałtownie potrzebuje u nas przerobienia. Czegóż nam zresztą potrzeba przedewszystkiem? Ulepszeń praktycznych. Trzeba całą siłą rąk i nóg doganiać inne kraje, które nas wyprzedziły o cały wiek, o pół wieku. A skoro będziemy mieli dobre urządzenia praktyczne, wygodę, gdzie potrzeba, oszczędność i zbytek na swojem miejscu, reszta dodana nam będzie: staniemy się nareszcie Europejczykami.

— Ale mój Zygmuncie — odezwał się Tomasz — mieszkamy przecie w Europie, nawet w samym środku. Nie przeczę, że każdy kraj powinien dążyć do wzbogacenia się; żeby jednak każdy miał za cel ostateczny przerobić się na Francję lub Anglję, to mi się w głowie nie mieści. My mamy swoje zwyczaje, swoją przeszłość dość dawną, ażeby na jej podstawie samoistnie rozwijać się. Po co zawsze doganiać kogoś, to jest innemi słowy — naśladować?

— Nasze zwyczaje! toś dopiero wystąpił z argumentem! winszuję ci, Tomku. Gdybyśmy mogli pozbyć się wszystkich swoich zwyczajów i nie mieć żadnych, bylibyśmy dopiero gotowi do przyjęcia cywilizacji. Nasze zwyczaje — to niedbałość, brud, niesforność i tym podobne tradycje, które wątpię, abyś chciał uprawiać i rozwijać. Naśladować narody cywilizowane, to nie upokorzenie, to trudny i szczytny obowiązek. O cóż nam zresztą może chodzić? Nie jesteśmy narodem; powiem więcej: nie byliśmy nigdy narodem w znaczeniu nowożytnem, to jest takim, od któregoby jakieś wielkie ognisko cywilizacyjne rozszerzyło się po całym świecie, jak sztuka od Włoch, elegancja od Francji, praktyczność od Anglji itd. Mamy naturalnie swoją przeszłość — nie możemy jej nie mieć — a w tej przeszłości niektóre pierwiastki cywilizacyjne, wspólne z innymi narodami. Te właśnie pierwiastki potęgować, zamiast marzyć o rzeczach niepodobnych i absolutnie w historji zakończonych.

— Teorja twoja tak jest szeroka — odrzekł Tomasz — że jej nie obejmuję; a co gorsza, nie widzę żadnego jej zastosowania do potrzeb ogólnych, tylko do potrzeb pojedynczych ludzi.

Pan Zygmunt poruszył się żywo na krześle.

— To właśnie! Przypadkiem powiedziałeś wielką prawdę, boś rozwinął moją myśl. Jesteśmy zbiorem pojedynczych ludzi; cały świat będzie kiedyś taki, ale my przez okoliczności jesteśmy tem już dzisiaj. Zrozumiejmy więc to. Niech każdy z nas (mówię naturalnie o warstwach wyższych) stanie się bogatszym, wytworniejszym, oświeceńszym, a gdyby to się dokonało, mamy przed sobą bardzo piękną rolę: tę, którą Grecy mieli w państwie Rzymskiem.

— To nie myśl społeczna — mruknął Tomasz — to prosty indyferentyzm.

— *Die Gleichgültigkeit ist die Unterlage meines philosophischen Schaffens* — rzekł pan Zygmunt w stylu Schopenhauera.

FALBANKA.

Rozmawiając z panem Zygmuntem dużo i o wszystkiem, co się życia tyczy, często zastanawialiśmy się nad kobietą. Pobłażliwy dla kobiet w życiu, Podfilipski nader był surowy dla nich w teorji; lecz, choć nie podzielałem w zupełności tych jego poglądów, widzę teraz ich doniosłość, ich niezbędne miejsce w całokształcie jego filozofji. Im bliżej przyglądam się spiżowej postaci Podfilipskiego, im dokładniej odtwarzam ją z rozpierzchłych wspomnień i rysów, tem bardziej rośnie mi ona w posąg jednolity, pełen harmonji.

Gdyby naprzykład pan Zygmunt cenił te władze, które pospolicie nazywamy sercem, możeby kochał kobietę dla niej samej, dla piękności uczucia, dla wewnętrznej rozkoszy odnalezienia swojego piękna w innej duszy ludzkiej. Ale pan Zygmunt nazywał serce „pierworodnym osłem, którego w sobie nosimy“.

Gdyby zwykłe zasady dobra i obowiązku były jego zasadami, szanowałby niektóre kobiety. Ale on miał własną, indywidualnie wyrobioną moralność.

Gdyby się sam czuł niedoskonałym, przebaczałby może innym błędom. Ale on z pewną słusznością mógł się uważać za doskonałego w swoim rodzaju. Pospolite więc poglądy nie miały przystępu do tej niepospolitej głowy, i nie można go mierzyć zwykłą miarą. Hasłem jego było: „wyższy ponad wszystko".

Szczególniej często wracała rozmowa między nami o pani Elizie. Ten wybitny okaz lubił brać Podfilipski za ilustrację do swoich teoryj o kobietach.

W roku następującym po powyżej opowiedzianych zdarzeniach, rozwód pani Elizy z pierwszym mężem i małżeństwo jej z Henrykiem Kostką zostały urzędownie ogłoszone. Skoro tylko Podfilipski wrócił jesienią do Warszawy, skorzystałem z pierwszego z nim spotkania, aby mu powiedzieć:

— A widzi pan, że historja pani Elizy nie jest tak mętna, jak pan przypuszczał.

— Dzielna kobietka, niema co mówić — odrzekł pan Zygmunt, — zwracam jej mój szacunek co do sprytu. Zamieniła lichego gbura na pokaźnego i bogatego człowieka. Brava Lisa! — Ale to, panie, moich poglądów na kobiety nie zmienia bynajmniej, moich teoryi nie narusza ani trochę. Ta pani potrafiła zlegalizować swoje popędy, — bardzo się dla niej cieszę. Cóż to jednak dowodzi o jej przeszłości, o charak-

terze kobiet wogóle? Teraz tylko powstaje pytanie, jak pójdzie nowe stadło? Z początku pójdzie dobrze, *s'ils n'ont pas pris trop d'acomptes.* Ale później czy Kostka potrafi tę kobietę opanować? A ja panu mówię, że kobieta tyle tylko jest warta, ile wart mężczyzna, który ją ma. Trzeba ją ujarzmić, odjąć jej indywidualność.

— To się nie zawsze udaje. A przytem — cóż z tego za korzyść? Chyba zadowolenie miłości własnej?

— Zadowolenie wogóle. — Zna pan Falbankę?

— Panią Darnowską? Spotykam ją tylko na ulicy i zatrzymuję się zawsze, aby na nią popatrzeć, ale osobiście jej nie znam.

— No, to niech się pan jutro ubierze o wpół do 10-tej w smoking — nie we frak — i przyjdzie do mnie. Pójdziemy do niej na herbatę.

— Czy to tak można?

— Już skoro ja panu to powiadam...

Wiedziałem, że pan Zygmunt nie omyli się w sprawach przyzwoitości, ani jest w stanie narazić mnie na rzecz niestosowną; przyjąłem więc zaproszenie.

Pani Anna Darnowska, z domu Falb, pochodzi z zamożnej i wykształconej rodziny mieszczańskiej. Mąż jej, niegdyś osiadły szlachcic, dzisiaj spekulant niewyraźnego gatunku, po niecałym roku pożycia z żoną, opuścił ją zupełnie i nie troszczył

się o nią wcale. Ona zaś mieszkała sama w Warszawie i bez męża jeździła za granicę. Wiedziałem, że pan Zygmunt bywał u niej często, rozciągał nad nią prawie urzędową opiekę i poufałym żartem nazywał „Falb-anką“ tę młodą kobietę, którą znał, gdy była jeszcze panną Anną Falb. Obecnie pani Darnowska nie należała właściwie do żadnej warszawskiej koterji. Rodzice jej już nie żyli, mąż ulotnił się gdzieś, podobno do Ameryki. Głównem jej towarzystwem był Podfilipski i ci, których on do niej wprowadził.

Wszedłem z panem Zygmuntem do ładnego saloniku, gdzie już około pani domu siedziało kilku mężczyzn. W pokoju panował półcień różowy od lamp, przyćmionych czerwonymi abażurami. Uderzył mnie zapach tego wnętrza, i myślałem przez chwilę, co mi przypomina; poznałem niebawem tę samą woń, której pan Zygmunt używał do skrapiania swych mebli — coś bardzo subtelnie pachnącego nicejską roślinnością.

Podfilipski przywitał wesoło gospodynią, podając jej lewą rękę, i równie wesoło przedstawił mnie. Zauważyłem odrazu wielką fizyczną wytworność tej zagadkowej dla mnie postaci. Ubrana była strojnie i skromnie. Ciemne włosy, uczesane w półkola na skroniach i przykrywające górną część uszu, okalały twarz zupełnie idealną, o drobnych, regularnych rysach, niby jakiś portret francuski z r. 1830;

usta dość duże, przybierały w ruchu kształty czerwonego roztulającego się kwiatu. Była prześliczna. Gdym się trochę zapatrzył po przywitaniu, pan Zygmunt uśmiechnął się do mnie, jakby mówił:

— A co?!

Zwrócił się potem do niej i, biorąc jej drobną rączkę w obie dłonie, rzekł:

— I znowu zapięliśmy się pod szyję i wykrygowaliśmy się w gorsecie, jak na popołudniowe wizyty?

Rzucił po niej wzrokiem krytycznym, choć zadowolonym, a ona patrzyła mu w oczy, podnosząc trochę brwi, stropiona, jak zganione dziecko, aż zaczerwieniła się tak mocno, że mimo czerwone światło lamp, dostrzegłem jej rumieniec.

— Pan dawniej chwalił tę suknię...

— Niema nieszczęścia, niema — uspokoił ją Podfilipski, pieszcząc ciągle jej rękę.

Zaczem siedliśmy w półkole i rozmawialiśmy. Jeden z gości, malarz, mówił o przeszłym paryskim „Salonie". Mówił dość zajmująco i ze znajomością rzeczy; wyliczył też polskie obrazy, które tam były wystawione, i żałował, że Chełmoński nic w tym roku nie posłał do Paryża.

— Był za to Chełmiński — odezwał się Podfilipski. — Ja bardzo lubię Chełmińskiego; jego obrazy są zawsze ozdobne i nadają się do upiększenia mieszkań. Może to stanowisko trochę prak-

tyczne, jednak trzeba malować tak, aby innym zrobić przyjemność i znęcić nabywcę. Te wieczne pejzaże mazowieckie, błota, czajki...

— Ach, jak ja lubię Chełmońskiego! — odezwała się pani Darnowska, jakby zbudzona z zapatrzenia się na rozprawiającego pana Zygmunta.

— Chełmońskiego czy Chełmińskiego? — zapytał Podfilipski z uśmiechem, ale patrząc jej prosto w oczy.

Pani Anna nie mogła się dobrze wytłómaczyć. Lubiła błota i czajki, ale lubiła też i Chełmińskiego. Pod wzrokiem pana Zygmunta sądy jej o obrazach pomieszały się. Wyszło prawie na to, że Chełmiński malował rozpędzone, jak wiatr, konie i nasze łąki i lasy.

Niektórzy zaśmieli się. Malarz umilkł. Rozmowa rozpierzchła się w rozmaitych kierunkach. Ci, którzy siedzieli obok pani Darnowskiej, korzystali z chwilowego gwaru, by się przechylić ku jej fotelowi i szeptać zapewne jakieś uwielbienia o jej oczach.

Pan Zygmunt nie lubił tego — nie przez zazdrość, której nie ulegał, jako uczuciu właściwemu słabym i niezaufanym w sobie, ale dla przyzwoitości. Gdy zauważył teraz jakieś zwierzenie, czynione pani Darnowskiej przez je sąsiada, zwierzenie, pełne ruchów admiracyjnych i załamywania rąk, wstał i ozezwał się głośno:

— Chciałem Falbance coś powiedzieć.

Ona zerwała się natychmiast i pobiegła ku niemu. Nie słyszałem ich przyciszonej rozmowy, ale nie było tam z pewnością żadnych wymówek. Wpadło mi tylko w ucho imię „Fred“, więc pomyślałem o młodym księciu Zbarazkim, arcy-miłym urwisie, i wniosłem, że go oczekują tutaj.

Pani Anna wyszła z salonu i wróciła po chwili. Wkrótce potem otworzono na rozcież drzwi do jadalnego pokoju, i służący skłonił się na progu. Gospodyni prosiła uprzejmie o przejście do jadalni na kieliszek wina, podając mi rękę, jako pierwszy raz ją odwiedzającemu.

Zasiedliśmy do stołu. Było nas dziewięciu mężczyzn, pani Darnowska i jakaś pani Malwina, niewyraźnie wyglądająca osoba w średnim wieku. Zjawiła się dopiero przy siadaniu do stołu. Pan Zygmunt zajął miejsce naprzeciwko pani domu.

Pokój jadalny był rzęsiście oświetlony, a że miał jasne ściany i meble, światło w nim było ostre. Dostrzegłem teraz pewne wady w piękności pani Anny: twarzy brakło trochę ruchliwości i wyrazu; ustawiczne wpatrzenie w Podfilipskiego nadawało jej pozór kobiety, magnetycznie uśpionej.

Przychodząc tu, nie spodziewałem się kolacji, a trafiłem na lukullusową ucztę. Znać było rękę i smak Podfilipskiego w zastawieniu stołu, w podaniu lekkich i wytwornych potraw, w doborze win.

Byliśmy pogrążeni w milczeniu i w doskonałych tuczonych ostrygach, gdy obudziło nas silne uderzenie w dzwonek. Wszedł służący z oznajmieniem:

— Książę pan przyjechał.

Podfilipski surowo spojrzał na lokaja. Znaczyło to zapewne:

— Nie mówi się: „książę pan przyjechał“, ale trzeba anonsować: „książę Zbarazki“.

Ukazał się zaraz we drzwiach Fred w szarem, podróżnem ubraniu. Wszedł z wybornie udaną nieśmiałością i tłómaczył się:

— Bardzo przepraszam, że przychodzę tak późno. Wracam z polowania: nawet kufry jeszcze nie przyszły. Ale zastałem w domu fioletowy bilecik z zaproszeniem, nie mogłem wytrzymać — przyszedłem tak, jak stoję.

Pocałował panią Annę w dłoń, odwróciwszy jej rękę, zaczął się witać z nami, śmiejąc się przytem tak wesoło, że wszyscy chórem mu odpowiedzieli:

— Ależ siadaj, siadaj, już dobrze, wybaczymy.

— Falbanka mi przebacza?

Pani Anna spojrzała na Podfilipskiego, jakby w jego oczach wyczytać stosowną odpowiedź; poczem uprzejmie skinęła głową księciu Zbarazkiemu.

— W takim razie — hop la! — zawołał Fred i, gimnastycznym skokiem przesadziwszy poręcz pustego krzesła, usiadł tak prędko pomiędzy nami, że

niektórzy wcale nie zauważyli, jakim sposobem znalazł się przy stole.

Zaczął opowiadać o jakichś awanturach z dzikami. Mówił żywo i zabawnie, paliło mu się w ciemnych oczach, w żyłach, w głowie, a zachowywał mimo to w ruchach i w głosie pewne estetyczne umiarkowanie.

Podfilipski kiwał głową potakująco i uśmiechał się do niego, jak starszy, ale bardzo przyjaźnie. Odezwał się:

— Strzelaliśmy i my za młodu... dziki.

— Chcesz powiedzieć: bąki — zaśmiał się Fred. Nie, tyś nigdy w życiu bąka nie strzelił, mój Filipku. Tyś już pewno w pieluszkach filozofował z mamką.

Tu zawinął się w serwetę, wytknął z niej jeden palec i, udając dobrze giest i głos Podfilipskiego, mówił:

— Patrzcie — musiało być tak: „ja ci powiem, mamko, że z naszym brakiem cywilizacji nawet porządnego mleka dostać nie można“. O!

Wszyscy parsknęli śmiechem, pan Zygmunt razem z innymi. Fred zaś ujął kieliszek i przymilnie spojrzawszy na Podfilipskiego, rzekł:

— Za twoje zdrowie, Zygmuncie!

I wychylił duszkiem.

Kolacja, już od początku wesoła, stała się jeszcze weselszą z przybyciem Zbarazkiego. Piliśmy też dużo doskonałego wina. Nareszcie gwar tak urósł, że już ogólna rozmowa stała się niepodobną.

Siedząc przy pani Annie, próbowałem z nią rozmawiać, ale nie szło jakoś. Roztargniona, zwracała się często do Podfilipskiego, a czasem do Freda. Zygmunt panował nad nią niepodzielnie i kierował nawet, zdawało się, jej spojrzeniami; kierunek ku Zbarazkiemu był widocznie panu Zygmuntowi po myśli. Zadziwiło mnie trochę, że Fred nazywa ją, narówni z Podfilipskim, „Falbanką“. Nikomu innemu do głowy nie przychodziła taka poufałość z panią Anną, która w salonie i przy rozpoczęciu kolacji . utrzymywała się najswobodniej w roli pani domu, prawdziwej pani; można jej było prawić komplimenty, ale nie zapominając o uszanowaniu. Z kilku zamienionych z nią zdań przekonałem się też, że otrzymała wychowanie staranne; o jej osobistych zasobach umysłowych mało co mogłem wnioskować. Wyglądała mi też na osobę, nie wdrożoną bynajmniej w ten lekki ton, panujący zwykle przy kolacjach, gdzie kilku mężczyzn otacza jedną ładną kobietę. (Zapominam umyślnie o pani Malwinie.)

Pod koniec kolacji pani Anna rozruszała się. Zaczęła najprzód śmiać się głośniej i częściej; może też miała trochę, w swym ładnym czubku, bo wypiła kilka kieliszków. Sam Podfilipski zachęcał ją do picia. Stała się rozmowniejszą; już i Podfilipskiego i Zbarazkiego nazywała po imieniu. Ktoś zanucił. Pani Anna spojrzała na tego gościa zdziwiona, ale po chwili roześmiała się tylko.

Kolacja dana była widocznie dla Zbarazkiego, który, po długich polowaniach, dorwał się do miasta, do wesołej kompanji i był w doskonałym humorze. Kiedy zabawił znów całe towarzystwo jakimś udatnym żartem, powstał śmiech ogólny, i w chwili ciszy, która potem zapanowała, ozwał się ochrypły głos pani Malwiny, zwracającej rozrzewnione spojrzenie ku Zbarazkiemu:

— Jaki ten książę dzisiaj czarujący!

— Podobam się pani? Niech pani wyjdzie za mnie! — zawołał Fred, zerwał się z miejsca i komicznie ukląkł przed starą kwoką. Gdy ta, rozbawiona, zaczęła stroić dziwaczne miny, wstał znowu Zbarazki, pobiegł do pani Anny, rzucił się jej do kolan i ze szczerszym dużo zapałem mówił:

— Ręka Malwiny pewno od ciebie zależy. Daj mi ją, Falbanko; uczyń dwoje szczęśliwych!

Tymczasem zaś całował Annę po rękach, i patrzyli tak chwilę na siebie, myśląc zapewne o czem innem.

Nie zauważyłem wtedy w oczach pana Zygmunta owego stanowczego spojrzenia, którem zwykle przerywał zbyt blizbie uwielbienia, skierowane ku Falbance. Miał bowiem dla Freda wyjątkową pobłażliwość. Znał go nie od bardzo dawna, bo wtedy Fred zaledwie przestał być dzieckiem. Na rumianej, jeszcze trochę dziecinnej, chociaż nerwowej twarzy, sypał mu się zaledwie ciemny wą-

sik. Ale Podfilipski polubił go niezwykle; mawiał, że takich ludzi, jak młody Zbarazki, trzeba koniecznie wyróżniać i pielęgnować, jak szczepy szlachetne, zabłąkane w sadzie, pełnym dziczek i ulęgałek. Wróżył mu przyszłość nietylko w kraju, gdzie rodzice jego mieli ogromny majątek, ale i za granicą. „Takiego Zbarazkiego można wszędzie pokazać“ — mawiał. „I z nim pokazać się można“ — myślał zapewne.

Pan Zygmunt lubił młodzież pokaźną, obdarzoną przywilejami urodzenia i majątku. Między nią upatrywał rekrutów do swej przyszłej armji cywilizacyjnej, która miała nas zbliżyć do Europy. Dlatego Alfred Zbarazki był jego ulubieńcem. Nie miał on wprawdzie jeszcze osobistego majątku, bo rodzice nie oddali mu nic na własność ze swych posiadłości, a nawet nie byli zupełnie zadowoleni ze sposobu przecierania się Freda między ludźmi. Nosił jednak wielkie nazwisko, był jedynym spadkobiercą starych książąt i miał ogromny kredyt. Podfilipski, wiedząc, że młody musi wyszumieć, dopełniał przestarzałe poglądy wychowawcze rodziców, otaczając Freda swą przyjaźnią i dyskretną protekcją. Wdzięczny mu był za to Fred, który rwał się do życia szerszego, niż familijne i uniwersyteckie. Musiała go też przyciągać Falbanka do pana Zygmunta, jej opiekuna.

Oczywiście, człowiek starszy, nie krewny, aby mieć wpływ na młodego chłopca, musiał go czemś

specjalnie do siebie pociągać. Fred był nadto jeszcze młody, aby lgnąć do Podfilipskiego jedynie dla jego zalet towarzyskich i umysłowych. Pan Zygmunt nie zniżał się też nigdy do pochlebstwa, a jednak dbał o Zbarazkiego i umiał go przy sobie trzymać przez tę delikatną pobłażliwość, którą mu okazywał, wyróżniając go w gronie swych przyjaciół i znajomych swej pupilki. Czynił to dla wpływu na wybitną młodzież krajową.

— Cóż pan powie o Falbance? — zagadnął mnie nazajutrz Podfilipski.

— Prześliczna! — odpowiedziałem — ładniejsza jeszcze zblizka, niż zdaleka; i — na śmierć w panu zakochana.

Pan Zygmunt nie uśmiechnął się nawet; zaledwie lekkie zadowolenie odbiło się na jego twarzy. Rzekł:

— Kobieta powinna być zakochana. Jeżeli ten, który ją... formuje, nie jest potworem ani idjotą, doprowadzi ją łatwo do tego stanu. Jest to sugestja, potrzebna do działania na kobietę. Jak panu zawsze mówię — trzeba jej odjąć indywidualność, to jest okrzesać ją z różnych niepotrzebnych zachcianek, nierozumnych aspiracji, skoro te nie należą do modelu, według którego chcesz ją sobie urobić. Falbanka była dawniej podobna do pani Elizy: także nieszczęśliwa, sentymentalna — tylko nie umiała sobie poradzić. Że ją znam od

panieńskich czasów i jest mi bardzo sympatyczna, więc pomyślałem: dajmy jej ten kierunek, którego sama sobie nie nada, weźmy ją w palce i ulepmy sobie przyjaciółkę na obraz i podobieństwo swoje. Inaczej byłaby niewykończoną lalką, mogłaby też wpaść w czyje niezgrabne i brutalne ręce. A teraz kobietka miła, i prawie, że umie obracać się w życiu niezależnem, wydaje się prawie osobą — co? A żeby ją pan widział dawniej, zanim zacząłem się nią zajmować! Nieśmiała, niezaradna, bez najmniejszej „cranerie“, niezbędnej w jej położeniu. Teraz coraz lepiej.

— Dobrze, ale co będzie później? — zapytałem.

— Później! Panie, życie jest zakrótkie, zanadto przeciążone zadaniami chwili obecnej, aby się troszczyć o historję przyszłego wieku. Później, kiedy się zestarzeje, nie będzie już na wysokości swego powołania, stanie się nieużytkiem, jak każda mniej więcej kobieta stara, a najwyżej jakąś istotą dodatkową, jak ta pani Malwina, którą umieściłem przy niej dla towarzystwa. Dzisiaj staram się nią kierować i uprzyjemnić jej życie. Później? — to jeszcze daleko: ma dopiero 23 lata. Za dziesięć lat i ja już będę starszy. Zresztą nie usunę się od roli przyjaznego doradcy.

Widzi pan — to tylko słabsze męskie indywidua zajmują się losem kobiety tak, że wszystkie siły swe oddadzą na usługi tej istocie, której brak siły. Mój brat Tomasz jest taki. Ja nie mogę; mam zanadto innej roboty w życiu. Gdybym naprzykład, jak Kostka

panią Elizę, rozwiódł panią Annę i ożenił się z nią — palnąłbym głupstwo. Najprzód o kobiecie rozwiedzionej mówią zawsze to i owo, a na żony trzeba wybierać kobiety, o których nic nie mówią — no i osoby zupełnie ze swojej sfery. Powtóre — nie chcę się żenić: dla ludzi czynu małżeństwo jest groźne. Potrzecie — kocham Falbankę, jak siebie samego i wolę, żeby za mnie nie wyszła. W stosunku towarzysko-przyjaźnym, w którym obecnie względem siebie pozostajemy, jest wiele obustronnej wygody i przyjemności: obowiązki istnieją te tylko, do których naprawdę *poczuwamy się*. Gdyby zaś została moją żoną (uśmiechnął się), wymagałbym od niej więcej — nie miłości, ale reprezentacji. I możeby mnie nie zadawalniała? Może stałaby się poprostu ciężarem? A nużby jej strzeliło do głowy, tak około trzydziestki, zakochać się w jakim „przeznaczonym“? Toby dopiero była awantura, gdybym jej wtedy nie mógł pozbyć się odrazu!

Roześmiał się na dobre.

— Mówimy o rzeczach niemożliwych. Ale wracam do niej. Stanowi ona nowy u nas typ kobiety niezależnej, uczciwej bez pedanterji, wolnej od wielu przesądów. Salonik jej nabiera coraz więcej charakteru. Nie zalecam ja, aby ten typ rozpowszechniać, ale w naszych skomplikowanych czasach są sytuacje życiowe, z których inaczej wybrnąć niepodobna. I zamiast być zapłakaną, uciemiężoną,

pani Anna jest sobie dzisiaj osóbką zajmującą, której niejedna siedząca na gnieździe kwoczka może pozazdrościć poloru i cywilizacyjnej wartości. Trzeba ją widzieć za granicą: podróżuje sobie, jak wielka pani, wywiera najkorzystniejsze wrażenie — jest na wierzchu społeczeństwa. Tam, naturalnie, nikt się nie dziwi, że niema przy niej męża. Tam sprawy osobiste — cudze — nie zajmują publiczności, która ma co innego do roboty. Człowieka oceniają według jego pozoru, środków i form towarzyskich — i rzadziej się mylą, niż u nas, gdzie starają się przeniknąć, czy po śmierci ten a ten, ta a ta pójdzie prosto do nieba, czy zabawi czas jakiś w czyścu.

Tak mówił Zygmunt Podfilipski.

Z ODDALENIA.

Z lat, kiedy Podfilipski przekroczył czterdziestkę, z tej epoki przełomowej, którą nazywamy u mężczyzny siłą wieku, najmniej mam o nim wspomnień osobistych. Coraz dłużej przesiadywał zagranicą, coraz rzadziej mogłem z nim obcować. Jednak zajmował mnie ciągle, widziałem w nim bowiem — nie człowieka przyszłości (tytuł ten, często zawodny, nie kwadruje z jego postacią moralną), ale człowieka doby obecnej. Nie śmiałbym twierdzić, że takich ludzi nam potrzeba, bo wstąpiłbym w zakres moralistyki i zboczył ze skromnej ścieżki moich zamiarów; ale Podfilipski był typowo taki, jacy my jesteśmy w Warszawie na pewnych wyżynach społecznych; dlatego nazywam go człowiekiem doby obecnej. Umysł jego, nie przeładowany zbytnim balastem nauki teoretycznej, szybował swobodnie we wszystkich sferach myśli; sumienie jego, nie skrępowane dogmatyzmem, dawało sobie radę z życiem; a szczęście, zakreślone w obrębie rzeczy dostępnych i realnych, było mu

wierne. Nie mogę powiedzieć, że nie znałem ludzi od niego mądrzejszych, wyżej stojących moralnie, albo inaczej szczęśliwych, ale nie spotkałem tak doskonale wcielonego powodzenia „złotej mierności“, jak życie pana Zygmunta. Skądinąd przymiotniki: mierny, średni nie przystoją mu bynajmniej. Im bliżej chcieć tego człowieka określić słowami, tem bardziej wymyka się z pod formuły. Nazywajmy go więc raczej tak, jak się nazywa. Możnaby innych nazwać Podfilipskimi, gdyby zdołali tak zrozumieć życie, jak pan Zygmunt.

Wspominam tu czasy, kiedy go rzadko spotykałem. Wtedy tylko przychodziły mi do głowy pytania: kto to jest? do jakiej należy kategorji? Gdym go widział z blizka, wątpliwości te nikły; tak był sam w sobie doskonały i skończony, tak zastosowany wybornie do swego sposobu życia, tak słusznie zadowolony z roli, odgrywanej w tej komedji, którą, zdawało się, sam dla siebie napisał.

Kiedy bawił zagranicą, dochodziły mnie o nim wieści. Ale te wieści były jednostajne: zrobił taki interes, tyle wygrał, tam i tam go widziano w gronie wytwornych mężczyzn i przyjemnych kobiet... Miał dar czynienia ozdobnie i naturalnie tych samych rzeczy, które inni czynią niezgrabnie, wywołując wrzenie opinji. Nigdy nie krzyczano na niego, nie oburzano się na jego postępki. Wieść o nim nie wpadała do Warszawy w postaci burzy, przychodziła

owszem rzadko i w formie przyjemnej, jak fata morgana. Widywano u nas, niby odbitego na zachodnich blaskach chmur, pana Zygmunta, siedzącego przy zielonym stole w „Épatant“, albo w gabinecie u Paillard'a; widywano jego ozdobną sylwetkę na trybunach wyścigowych, na wielkich schodach giełdy paryskiej; widywano go w towarzystwie takiej a takiej pani bez męża, w takiej a takiej ekscentrycznej wyprawie. Ale gdyby go zobaczono nawet w lichej kompanji, lub zaaresztowanego przez policję (co jest niepodobieństwem), powiedzianoby jeszcze, jak zwykle:

— Ten szelma Zygmunt umiał sobie życie urządzić!

I na tem westchnieniu, raczej zazdrosnem, niż oburzonem, skończyłoby się opowiadanie o Podfilipskim.

„Umiał sobie życie urządzić“... Te proste słowa zawierają może więcej mądrości, niż cały traktat Cycerona „de officiis“ i „pan Podstoli“, którego nam Krasicki chciał narzucić jako wzór obywatela.

Jak urządzał życie swe zagranicą, mniej to nas obchodzi, bo mniejszą ma wartość przykładu. Ale, siedząc nawet w Paryżu lub u wód, zajmował się pan Zygmunt sprawami swojemi w kraju, a nawet i sprawą ogólną. Miał wówczas rozsiane po prowincji i po Warszawie nieruchomości, powierzone rządcom; zwierzchni jednak nadzór i kon-

trolę prowadził sam. Tylko w epoce, o której mówię, kiedy właściwie mieszkał zagranicą — nadzór ten powierzył bratu Tomaszowi. Znał on ludzi i wiedział, że Tomasz nie przysporzy mu dochodów przez swe finansowe pomysły, ale wiedział także o jego bezwzględnej, drobiazgowej uczciwości. Tę siłę brata potrafił zużytkować. Tak wódz biegły nie odda oficerowi komendy, ale z korzyścią użyje go w swej kancelarji.

Powierzał tedy Tomaszowi rachunki swych tartaków leśnych, zestawienie budżetów gospodarczych, zbieranie komornego z domów warszawskich, chów koni, na którym Tomasz się znał itp. Młodszy brat miał sobie wypełnienie zleceń pana Zygmunta za obowiązek, pomny zawsze otrzymanych dobrodziejstw. Często te zlecenia były długie, wymagały dużo czasu i licznych podróży. Zygmunt pisywał do Tomasza manifesty w rodzaju rozkazów dziennych, a przynajmniej tygodniowych. Takich parę dokumentów zdarzyło mi się widzieć, bo zwykle Tomasz przyjeżdżał z nimi do Warszawy.

Pamiętam jeden, który przepisywał: 1) sprzedaż akcji po oznaczonym minimalnym kursie i nabycie innych, przyczem oznaczał maximum oferty; 2) skasowanie obory w folwarku X i przeprowadzenie jej na zimę do Cisowa; 3) zrobienie kosztorysu na sklepy w jednej z kamieniec warszawskich; 4) zawierał żądanie przetłómaczenia na język

polski broszury niemieckiej o przetworach smolnych, które wyrabiano w jednym z folwarków pana Zygmunta. Po paru jeszcze punktach następowała część teoretyczna o ubiorze parobków i służących folwarcznych, który powinienby być ozdobniejszy i jednostajny. Pan Zygmunt opisywał ubiór w Tyrolu, w Bretanji, dawał współobywatelom pomysły do reform.

W innych listach bywały nawet ustępy ogólniejsze o cywilizacji, których, mocno żałuję, że nie mam dzisiaj pod ręką, dla dopełnienia mych wspomnień.

Tomasz najdokładniej spełniał zlecenia określone, praktyczne, tyczące się posiadłości brata; teorje zaś oderwane i pomysły, rzucane w kilku słowach dla dobra ogólnego, traktował lekko. Robota dla brata zabierała mu jednak wiele czasu i sprawy Cisowa mogłyby na tem cierpieć, gdyby pani Alina nie zaproponowała mu wtedy objęcia majątku w zarząd. Tomasz zgodził się bez najmniejszego oporu: wszystko w tem małżeństwie szło gładko. Tym sposobem został wilk syty i koza cała: pan Zygmunt miał plenipotenta w kraju, a Cisów zyskał może nawet na zmianie zarządu.

Tak, chociaż nieobecny, działał u nas Podfilipski z oddalenia. A że przytem wiodło mu się, że miał szczęśliwą rękę, wzrastał stale w majątku i w poszanowaniu u ludzi. Jeżeli różne były o nim zdania, to tylko przypisać można „platonicznej

naszej zazdrości“, której tak trafnie dopatrzono między błędami narodowymi, a także chwiejności opinji. Wobec historji jednak Podfilipski zostanie wybitnym okazem pokolenia „pracy organicznej“.

Pilno mi przejść do bliższych dnia dzisiejszego wspomnień, do owego roku, który pan Zygmunt przepędził prawie cały w Warszawie. Ostatecznie już sformułowany — jeżeli tak o człowieku można się wyrazić — poważny zasługą i tą pewnością siebie, którą daje powodzenie, zaszczytnie znany, niemal sławny — zabłysnął wtedy całym swym blaskiem. I ja też wówczas, nie opuszczając go prawie, przebyłem jakby drugi uniwersytet w nauczającej jego kompanji. Nigdy tyle nie skorzystałem w szkole życia.

Po trzech prawie latach rozłączenia, z których mam zaledwie jeden od niego list i to w interesie, spotkaliśmy się w Warszawie w porze wyścigów jesiennych.

— Mój stały odbiorca filozofji! — zawołał pan Zygmunt, spotykając mnie — jakże się pan miewa? Cóż, będziemy znowu filozofowali? Ale tymczasem siadaj pan ze mną do doróżki, bo przecie dzisiaj wyścigi.

Wspominam z rozrzewnieniem tę chwilę. Równa się ona dla mnie uniwersyteckiej immatrykulacji, gdy mi podał rękę „Rector magnificus“.

WYŚCIGI.

Pan Zygmunt nie posiadał stajni wyścigowej i zawsze go to korciło. Nie miał stałej wiejskiej siedziby, w którejby mógł chować stado poważne. Wyborny znawca końskiego sportu, członek wszystkich większych towarzystw wyścigowych, miewał zwykle po parę koni na torze warszawskim, które stały u Tomasza w Cisowie, pielęgnowane jak koń-konsul Kaliguli, ale nie biegały ani pod nazwiskiem, ani w barwach Podfilipskiego. Chciał on bowiem kiedyś wystąpić ze stajnią pierwszorzędną, taką, któraby podniosła znaczenie warszawskiego toru do wysokości chociażby wiedeńskiego.

Chciał to zrobić dla kraju.

— Wprowadziłem do kraju obce kapitały — mawiał — działam tu, jak mogę: drwię, budzę, otwieram niejedne oczy na rzeczywiste zadania życia; pragnąłbym jeszcze zapisać się w pamięci społeczeństwa, które dziwnym wypadkiem mnie wydało — i wystąpić z taką stajnią, o jakiej się do-

tąd naszym hodowcom nie śniło. Kiedy moje barwy ukażą się przy starcie, to już tam nie będzie gadania: muszą być pierwsze i będą pierwsze. Ja znam konia tak, jak człowieka — a to dużo powiedziałem; klimat nasz jest dla chowu koni wcale niezły, choć nie tak wyborny, jak angielski, albo francuski; dlaczego nie mielibyśmy zająć trzeciego miejsca w Europie? W ostatnich latach postąpiliśmy znacznie pod tym względem. Jest w tem, choć może nieprzyznana, choć nie dla wszystkich widzialna, cząstka mojej roboty. Ale możemy pójść jeszcze dużo wyżej.

Jedną z tych rozmów toczyliśmy z panem Zygmuntem, jadąc na jesienne wyścigi roku 189...

Piękny dzień wrześniowy. Powietrze rzadkie, błękitnawe ponad dachami domów Nowego Świata. Miga na chwilę długa, spadająca perspektywa ulicy Książęcej; tu niebo trochę złote, jakby zabarwione odblaskiem żółkniejących ogrodów. Zamknąwszy oczy na kościół św. Aleksandra, na którym odnowiono zburzone w Rzymie „ośle uszy Berniniego“, wyjeżdżamy tęgim kłusem w Aleję Ujazdowską, warszawski „Prater“. Mimo, że jedziemy dobrze, prześciga nas kilka powozów, zaprzężonych kłusakami; panowie powożą sami, kłaniają się zręcznym ruchem bata. Szereg powozów gęstnieje w miarę zbliżania się do skrętu na pole wyścigów. Wszystko strojne: powozy, konie i ludzie. Czasem tylko jakaś krzywa jednokonna dorożka lub powóz emeryta,

wyrażający całością niby przypomnienie: „memento mori“ — psują ogólny pozór wielkomiejski. Ale całość dobra, sam pan Zygmunt jest zadowolony i w wesołem usposobieniu.

Całego wykładu, który miał wtedy do mnie o sporcie końskim, dokładnie odtworzyć tu nie mogę. Przyszłoby mi to z trudnością, gdyż, nie będąc dostatecznie wtajemniczony w angielską terminologię, rozumiałem raczej wyniki, niż wywody szczegółowe, które przez to samo muszą pozostać stracone dla moich czytelników. Pocieszam się jednak nadzieją, że pan Zygmunt mówił mi rzeczy, często powtarzane innym, zdolniejszym do przechowania słów jego w pamięci. Wiem, że miano go ogólnie za wyrocznię w sprawach hodowli i wyścigów; raz tylko bowiem słyszałem, że się Podfilipski nic nie zna na koniach, ale słyszałem to od kogoś, o którym pan Zygmunt miał tę samą opinię. Ja tam wolę wierzyć Podfilipskiemu. W zasadniczych dyskusjach o sporcie, przy których byłem obecny, jego zdanie miało zawsze przewagę.

Mówiono tego roku powszechnie o wyścigach. W lepszem męskiem towarzystwie nie słyszałem nawet innej rozmowy. Był to początek, pierwszy wzlot owego wielkiego porywu ku wykształceniu sportowemu, który ogarnął Warszawę i prowincję i nie ustaje dotąd bynajmniej. Bogatsza młodzież znalazła sobie rzadkie u nas pole do rozwinięcia

skrzydeł, ujście dla nagromadzonej w każdem młodem sercu ambicji. Wykształcenie sportowe, popieranie wyścigów, puszczanie własnych koni na tor straciło charakter mody, urosło do rozmiarów powołania, wytworzyło nowy stan, nową arystokrację. Można powiedzieć, że nawet patryotyzm nasz wszedł na nowe tory.

I pytam się, zastanawiając się nad tą epokową ewolucją w społeczeństwie naszem, do czegoby to doszło, gdyby Podfilipski zdążył był założyć stajnię i stanąć, jeżeli nie urzędownie, to moralnie na czele tego ruchu.

Gdyśmy stanęli na placu, pierwszy wyścig już był „biegany". Wracały właśnie do wagi cztery konie, pokryte pianą, uspokojone przez wysiłek. Na zwycięzcy, witany dyskretną aklamacją członków towarzystwa, siedział karłowaty żokej, lekkiemi skinieniami głowy dziękując za pochwały. Pan Zygmunt obszedł dokoła wszystkie konie po rozsiodłaniu ich, jednemu z trenerów rzekł dwa słowa po angielsku, i ponieważ następny wyścig nie obiecywał żadnych osobliwych wrażeń, poszedł do lóż, aby przywitać się z paniami.

Dużo było pań. Podfilipski skierował się najprzód na lewo od środkowego kurytarza prawej trybuny, gdzie loże zajęte były przez najwytworniejsze towarzystwo. Trzeba było widzieć stopniowaną serję jego ukłonów, uśmiechów i uściśnień rąk. Bystry

spostrzegacz, gdyby nie znał warszawskiego „towarzystwa“, mógłby ułożyć całą jego hierarchię i budżet, patrząc tylko na pana Zygmunta. Były to jednak odcienie subtelne, niedostrzegalne często dla tych, do których je stosował; można je było dopiero ocenić przez porównanie.

Pieniądzom bez nazwiska kłaniał się Podfilipski poważnie, długiem, sztywnem poruszeniem niepokalanego cylindra. Nazwisko bez pieniędzy witał ukłonem, wyrażającym jakby litosne współczucie. Dopiero gdy w jakiej loży zeszło się nazwisko z pieniędzmi i to w osobie ładnej kobiety, pan Zygmunt przesadzał się w finezjach swego wybornego wychowania. Tam, gdzie mógł, rozrzewniał się po przyjacielsku.

— Nareszcie panią hrabinę spotykam — szukałem już w alejach — jak jasno w lożach od tej pani tualety.

Gdy nie mógł tak poufale, przystępował z pewnego rodzaju nieśmiałością. Z natury nie był ani trochę nieśmiały, przybierał tylko taki pozór, jako w danym razie właściwy: zmieniało mu się coś w twarzy, falowało w łopatkach; wydawał się niepewnym siebie młodzieńcem; przy ukłonie, gdy mu podawano rękę, nie nakrywał głowy, lecz przekładał z prawej ręki do lewej swój niepokalany cylinder. Nie było w tem jednak serwilizmu, tylko jakiś szczery ton admiracji, sympatycznie ujmujący.

Tak pan Zygmunt umiał oddawać każdemu, co się należy.

Z mężczyznami załatwiał się prościej; cieniował także swą przyjaźń i poufałość, nie bez uwagi na wyżej przytoczone względy, ale z mniejszem wykończeniem.

Podczas drugiego wyścigu, który go nie zajmował, Podfilipski zwrócił się do lóż prawych, mniej wykwintnie obsadzonych. Było tam jednak jeszcze parę pań „ze świata“, nadąsanych widocznie, że nie siedzą w lewym szeregu. Obie, bez pytania, odezwały się do nas jednobrzmiąco:

— Przyjechałam wczoraj (druga rzekła: niedawno) i nie mogłam dostać porządnej loży.

W tym rzędzie były też panie „z miasta“, wcale nie nadąsane, bawiące się wybornie, uśmiechnięte, niektóre bardzo ładne i otoczone mężczyznami. W jednej z ostatnich lóż siedziała Falbanka z panią Malwiną.

Rzadko widywałem panią Darnowską; od dnia, w którym ją poznałem, upłynęło wówczas już trzy lata, przez które pani Anna dużo podróżowała. Zmieniła się trochę, chociaż bynajmniej nie zbrzydła: przybyło jej wyrazu, oczy okoliły się lekkim bronzowym cieniem, stały się wymowniejsze; ale nie dostrzegłem już tego dziecinnego uśmiechu, który ją czynił komicznie ponętną, bo nie kwadrował wcale z jej niezależną, trochę nawet dwuznaczną

pozycją. Dzisiaj miała na twarzy gorączkowe rumieńce. Zostawiając przez chwilę rękę w dłoni witającego się z nią pana Zygmunta, patrzyła na niego głębokiem spojrzeniem, wyrażającem niby skargę:

— Czemu dopiero teraz przychodzisz?

A może i pytała smutnemi oczami:

— Czy bardzo ci się podoba ta hrabina?

Podfilipski usiadł w jej loży tylko na czas trwania drugiego biegu, poczem wstał pośpiesznie i udał się ze mną na trybunę członkowską.

Zbliżał się trzeci wyścig, do którego stawało siedm koni wysokiej krwi i równej prawie wartości. Pan Zygmunt podążył do miejsc, gdzie oprowadzano przyszłych współzawodników, okrytych szczelnie kapami, stanął we środku kręgu, oparł się oburącz o laskę i czynił przegląd.

Zdjęto już kapy i poczęto siodłać. Konie obudziły się, jęły przebierać niecierpliwie nogami, niektóre trzeba było prowadzić u pyska. Jedna drobna klacz gniada szła zupełnie spokojnie. Gdy zdjęto z niej kapę, wstrząsła się tylko i parsknęła, zwracając suchą, mądrą głowę w stronę siodłającego masztalerza, jakby chciała zapytać, kto na niej pojedzie.

Wsiadł na nią żokej Dent. To dobrze.

Podfilipski rozpytał się, czy klacz jadła dziś, jak należy, dowiedział się, że tak, obrzucił ładne

zwierzę przyjaznem spojrzeniem i rzekł do mnie półgłosem:

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa Iris weźmie. Spojrz pan na nią, co to za nerwy; spokojna, jak owca, a każdy muszkuł naciągnięty. Bardzo wysoka krew, trening zagraniczny, nic tłuszczu. Jeżeli pójdzie z miejsca pod Dentem, a tamci zaczną manewrować, wygra napewno. Brak jej trochę finish'u, ale klacz silna, płuca doskonałe — duża klasa.

— To ja postawię na nią kilka groszy — rzekłem znęcony, bo widziałem, że mało kto za nią się zakładał.

— Ja nigdy nie radzę, ale sam za nią trzymam.

Poszedłem śpiesznie do totalizatora i zdążyłem jeszcze wziąść parę biletów.

Stanąłem znowu obok pana Zygmunta na trybunie członkowskiej. Niedługo czekaliśmy na rozpoczęcie biegu. Ozwał się dzwonek — start udał się odrazu. Bieg szedł od stajen, raz wokoło. Ujrzeliśmy więc zaraz kłębek koni, który przed nami dopiero rozwinął się, mijając metę i ukazał konie w takim porządku:

Przodem ponosił jakiś kasztan, piłowany niemiłosiernie przez żokeja, nie mogącego mu dać rady. Tuż za nim szła Iris, położona wybornie w cuglu, pochylając nieco lewe ucho ku środkowi hipodromu; tułów jej nie falował wcale — sunął, a żelazne

nogi wybijały sprężysty, pośpieszny rytm prawdziwym hexametrem.

Iris szła klasycznie: cała jej postać i oko wyrażały szlachetną dumę, poczucie obowiązku.

— Doskonale! — mówił pan Zygmunt — ten fryc będzie jej wiatr przecinał aż do pierwszego skrętu, a na pół mety Dent ją wypuści i nasza Iris przyjdzie.

Jakby Podfilipski kierował skrytym mechanizmem, posuwającym konie — rzeczywiście przy pierwszym zakręcie toru, przodujący kasztan zatoczył tak duży łuk odśrodkowy, że Iris, trzymana tuż przy barjerze, wyprzedziła go od razu i szła teraz na czele, o kilka długości przed resztą koni. Od pół mety zaczęła się właściwa walka. Widocznie Dent puścił cugle, bo dzielna klacz położyła się całym tułowiem poziomo i mknęła pełną szybkością, nie tracąc nic ze swego wysunięcia się naprzód. Kłębek koni za nią wydłużał się, jeden tylko duży skarogniady koń pozostawał wciąż drugim.

— Kto jest drugim za Iris? — spytałem pana Zygmunta.

— Ferment. Niezły koń, ma długi skok — a przytem Iris niesie nadwagę, jako zagraniczna.

Przy ostatnim skręcie Ferment zbliżył się, chociaż Iris nie opuściła ani na łokieć barjery. I od dystansu rozpoczął się jeden z tych biegów efektownych, roznamiętniających, przy których publiczność

krzyczy, biegnie, popędza, bierze ciałem i duszą udział w wyścigu.

Iris szła wyciągnięta do ostateczności, bez bata, bo żokiej rozumiał, że więcej nie można żądać od zacnego zwierzęcia. Ferment pod młyńcem szpicruty jeźdźca pędził coraz szybciej, nareszcie zrównał się z Iris przed wielką trybuną. Krzyk urósł we wrzask:

— Ferment! Iris! Ferment! Batem ją!

Żokiej, jadący na Fermencie, opuścił szpicrutę i jednym z tych gwałtownych ruchów cugli i łydek, którymi jeździec unosi, zdaje się konia, pchnął go o pół długości naprzód. Tak też stanęły u celownika: Ferment pierwszy, Iris druga.

— To nadzwyczajne — rzekł pan Zygmunt, kręcąc głową. — Byłem przy galopach — Ferment dobry koń, silny, duży i z mniejszą wagą — ale pobić Iris?! Coś tam musiało się stać.

Zeszedł na dół i oczekiwał powrotu koni.

Wjechał najprzód zwycięzca, witany gromem oklasków — żokiej rozpromieniony, a koń schlastany strasznie, na drżących kolanach, z krwawymi od ostróg bokami, ciężko dysząc. Za nim szła Iris, niecierpliwsza teraz, niż przed biegiem, cała pokryta siecią cienkich żył; rozwierała nozdrza, jakby krzywiąc się z wyrazem zawodu i pogardy. Dent miał także niewyraźną minę — ramionami i rękami dawał znaki, że więcej ani on, ani klacz zrobić nie mogli.

Po chwili u wagi wszczął się rumor. Gdym się chciał dowiedzieć, co się dzieje, natknąłem się na wychodzącego już stamtąd pana Zygmunta, który tryumfalnie oświadczył mi:

— Wie pan? ten żydziak, co siedział na Fermencie, stracił *tylko* ośm funtów wagi, a że miał już mniej o siedm, biedna Iris niosła aż piętnaście funtów więcej! Teraz bierzmy nasze pieniądze — Iris wygrała.

Wypadek ten uczynił mnie bogatszym o paręset rubli, gdyż za Iris płacono 105 za 10. W dodatku zaś miałem przyjemność stwierdzić nadzwyczajną biegłość pana Zygmunta.

— Ten szelma Zygmunt musi zawsze wygrać — rzekł hrabia Granowski, sięgając po pugilares i dobywając kilka sturublówek — daje mi całe pole przeciwko Iris i naturalnie musi jeden cymbał wyłamać, drugi stracić wagę dlatego, żeby sobie Filipek wygrał. Masz. — Ostatni raz z tobą się zakładam; przeciw takiej „wenie“ nie można walczyć.

— Mój najdroższy! — odpowiedział Podfilipski — taka „wena“ jest prawie matematyczna. Trzeba się tylko znać.

Hrabia Granowski, zajmujący wysokie stanowisko w sporcie krajowym, poczuł się dotkniętym.

— Już tam niech sobie Filipek co chce mówi, żeby Ferment nie stracił tych paru funtów, przyszedłby tak samo pierwszy.

— Żeby nie stracił *ośmiu* funtów, przyszedłby o pół długości drugi — rzekł pan Zygmunt, chowając pieniądze do kieszeni, zupełnie pewny swojej sprawy.

— Filipkowi się zdaje, że już wszystkie rozumy posiadł. Kiedy w przeszłym roku mówiłem, że niema u nas lepszej krwi, jak Rulerowicze, toście się śmieli, a teraz...

Dalszej rozmowy nie dosłyszałem, bo ci panowie wzięli się pod ręce i odeszli w innym kierunku. Spierali się często, ale i lubili. Podfilipski umiał zachować umiarkowanie w żarcie, był też Granowskiemu potrzebny i nawzajem go potrzebował. Prowadzili nawet na współkę różne interesy. Oprócz pieniędzy, każdy z nich przynosił do współki coś indywidualnego: jeden — nazwisko dużo głośniejsze od Podfilipskich (bo tylko biegli w heraldyce i genealogji wiedzą o „starożytnej znaczności“ Podfilipskich), drugi dawał swą zręczność i doświadczenie finansowe.

Dzień, o którym piszę, należał do najwspanialszych dni wyścigowych ostatnich czasów pod względem świetności towarzyskiego zebrania, obrotu totalizatora i wypadków na torze. Nie mówiąc już o drugich miejscach, zajętych przez tłum sportsmenów „minorum gentium“, którzy, z powodu święta i pogody, przyszli piechotą, albo przyjechali tutaj tramwajami, główne zagrodzenie zapełnione było prawie, jak sala balowa. Loże przepełnione były wystrojonemi kobietami. Przechadzało się też sporo kobiet. Miej-

scami cylindry, zbite w zwartą kupę, przypominały pola wyścigowe paryskie. Około totalizatora tłum był oryginalniejszy, ubiory rozmaite. Stwierdzało się wogóle obecność wszystkich prawie znajomych twarzy, nawet niespodziewanych tutaj.

Wszędzie kręcił się też Fred Zbarazki. Skoro ukazywał się na widocznem miejscu, otaczali go znajomi z najrozmaitszych światów: salonowego, sportowego, knajpowego i innych. Ciągnęli nawet za nim, jak ogon za kometą. Ale on często dawał nurka w tłum i nagle spotykało go się rozmawiającego na uboczu z jakąś jaskrawą parasolką. Znikł znowu — aż wraca już z przeciwnej strony, asystując paniom, które wyszły z lóż, aby się przyjrzeć siodłaniu koni. Jego długa, zręczna sylwetka miga po rozmaitych miejscach i wszędzie wywołuje zalotne uśmiechy kobiet, przyjazne mężczyzn.

Podfilipski nie towarzyszy mu dzisiaj, nie chce należeć do ogona komety — spotkają się wieczorem.

Przed jednym z następnych biegów odszukałem znowu pana Zygmunta, aby go zapytać, czy warto co postawić na Nikanora.

— Koń jest najzupełniej pewny — odpowiedział mi — ale cóż pan może wygrać? Nikanor jest faworytem nawet tych tam panów.

Wskazał laską przez ramię na środek pola.

Nikanor, ogier złoto-gniady, szedł do walki z fantazją. Pyszne, duże zwierzę, jednym ruchem głowy

naprzód ściągało prawie z siodła wątłego żokieja, a rzutem w bok ciskało, jak piłką, prowadzącym go masztalerzem. Po wejściu na tor w kilkunastu skokach odsadził się odrazu od mety, jakby dla pokazania galopu trybunom, poczem uspokoił się i stanął na miejscu startu.

Znowu dzwonek oznajmił, że konie ruszyły. Biegano dwa razy wkoło, chodziło więc o to, żeby koni nie zmęczyć przedwcześnie. Pierwszy raz przeszły przed celownikiem dużym galopem, gdyż Nikanor, choć trzymany z całych sił, przyspieszał szybkość ogólną. Szedł trzeci, kręcąc głową, zmieniając nawet nogę, bardziej w jelenich susach, niż wyścigowym galopie. Dawał się wyprzedzać jeszcze w drugim kręgu, dopiero gdy zbliżano się do ostatniego półkręgu, powiedział mi ktoś z obok mnie stojących sportsmenów:

— O, teraz!

Szybkość zwiększyła się odrazu ogromnie i widać było złotą plamę Nikanora przesuwającą się kolejno między ciemniejszemi ciałami współzawodników. Minął już dwóch — ostatniego minął na skręcie, choć biegł zewnętrznem kołem, i, nie wyciągając się nawet bardzo, szedł dumnie na czele, drwiąc z reszty.

Nagle zachwiał się — odskoczył od barjery, ale podniósł zwycięsko głowę do góry i trochę zwolnionem tempem przyszedł pierwszy do mety. Sto

kroków jednak za celownikiem zachwiał się na dobre i upadł. Zerwał się znowu i stał.

Cała fala ludzi rzuciła się, po przejściu reszty koni, na miejsce wypadku. Nikanor miał nogę złamaną pod kolanem — biegał po raz ostatni: miał dostać kulą w łeb, jako nieuleczalny.

Nie zapomnę nigdy tego umierającego zwycięzcy. W nieszczęśliwym skoku, złamawszy nogę jeszcze przed metą, zebrał ostatnie siły, aby dojść. Może nawet tem się dobił? Teraz, otoczony grupą ludzi, których współczucie dla tego zwierzęcego bohatera podzielałem bardzo szczerze, dumny koń wspinał się na zadzie, skacząc na trzech nogach i rżąc z boleści. Nie chciał uklęknąć — szedł tak z głową nadmiernie wzniesioną, z rozwartem nozdrzem, aż do celownika. Gdy doszedł ze strasznym trudem przed trybunę sędziów, otoczyły go pstrym wiankiem kobiety, czyniąc mu także przedśmiertną owację. Nikt nie zawołał brawo, słychać było tylko przyciszone, żałosne słowa.

Stanąwszy trochę opodal, objąłem okiem grupę.

Wysoko ponad schylone, cisnące się postacie ludzkie wznosiła się pyszna głowa Nikanora. Rżał ód czasu do czasu, jak gdyby mówił:

— Żegnam was, towarzysze, żegnam w piękny dzień — nie zginę stary, u zapomnianego żłobu — położę się tutaj, na polu mego zwycięstwa.

Nie było w nim nic umierającego gladjatora: do trybun nie dolatywało we rżeniu: „ave Caesar!“ — nie, to tryumfator, umierając, żegnał swój lud.

Nigdy tryumf konia nie wydał mi się wspanialszym.

Może pod wpływem tego epizodu wyniosłem dziwne wrażenie z owych wyścigów. Do koni, które lubiłem zawsze, nabrałem odtąd szacunku. Jest to rasa, pełniąca od wieków zaszczytnie swoje zadania, rasa historyczna, nie bez wpływu na ogólny rozwój świata. Posiada też swoją autentyczną, wylegitymowaną arystokrację. Ta arystokracja wobec rozrostu wrogich maszyn lokomocyjnych, zamiast opuścić uszy, doskonali się ciągle, ma jeszcze przyszłość; odznacza się szlachetnością, ambicją, poczuciem obowiązku.

Tak, tego dnia zaimponowały mi konie; przeniosłem nawet na nie część szacunku, należnego ludziom, bo ci nic jakoś ostatnimi czasy imponującego nie zrobili.

Coś w rodzaju tych uwag powiedziałem Podfilipskiemu przy wyjściu z wyścigów. Odpowiedział mi z uśmiechem:

— Pan by może napisał coś wierszem o śmierci Nikanora? Niech się pan przyzna, że serce w panu „wzbiera falami poezji“, jakby to powiedział jaki wierszopis warszawski. Mówiąc serjo — szkoda Nikanora. Wypadek jest dość pospolity, bo pamię-

tam już z pięćdziesiąt takich złamań nóg w płaskim biegu — jednak Nikanor był jednym z naszych wielkich koni. Dzisiaj nie tęgo był jeżdżony: żokiej siedział na nim niespokojnie i pozwalał mu ciągle zmieniać nogę. To są szczegóły dnia dzisiejszego. Ale z tem wszystkiem cieszę się, że pan się zapalił trochę do naszego sportu. Jest to najbardziej wydoskonalony, można powiedzieć — najszlachetniejszy sposób zabawy, — a ostatecznie zabawa jest celem życia. Powie mi tam jakiś naiwny moralista: praca. Wcale nie. Nawet w pierwotnej filozofji — w biblji — praca jest nazwana przekleństwem życia. I każdy to wie, że praca jest nakręcaniem machiny życiowej, a zabawa — samą jej funkcją i przeznaczeniem. Każdy tak czuje, tak działa, ale rzadko kto zda sobie jasną sprawę z własnego postępowania.

Weszliśmy we środek hipodromu, gdzie czekała nasza dorożka. W tej chwili zobaczyliśmy brek Freda, przez niego samego powożony, wynoszący się pełnym kłusem ku oddaleńszym ujściom pola wyścigowego. Obok niego siedziała pani Darnowska, a w pudle z tyłu, pani Malwina i furman.

Podfilipski zmrużył trochę oczy, popatrzył i rzekł:

— Dobrze — niech się Falbanka przejedzie. Może ją to trochę otrzęsie z melancholji. Czy pan ją widział po ostatnim przyjeździe?

— Dopiero dzisiaj — ale nie rozmawiałem z nią.

— To pan zobaczy, gdy ją spotka. Przewróciło jej się w głowie. Jakieś aspiracje do poszanowania, do pozycji. To także choroba kobieca te aspiracje! Zaczyna być niespokojna, zazdrosna. Czy ja jestem jej mężem? Opiekuję się nią, jako miłą kobietą i dawną znajomą — ale obowiązków nie mam przecie żadnych. A ona, nie wiem, czegoby chciała? Abym się z nią ożenił? albo innym sposobem stworzył jej jakie stanowisko?

— Mówi pan, że staje się zazdrosną?

— A tak. Jest to wprawdzie taka platoniczna zazdrość, bo przecież... nic nas nie łączy; ale skoro tylko zobaczy mnie z jaką inną młodą kobietą, zaraz co najmniej chmura, a czasem i deszcz. O, panie — ja tych łez znosić nie mogę. Niewiadomo, co począć z płaczącą kobietą — pozostaje tylko uciekać od niej.

Dojechaliśmy do alei Ujazdowskiej i powóz nasz wmieszał się do powyścigowego „corso“.

Zaczęła się nieprzerwana serja ukłonów, bo mijaliśmy ciągle znajomych. Więc ukłon sztywny, bez odrywania pleców od oparcia powozu, ukłon roztargniony, ukłon przez wzniesienie dłoni w górę do wysokości twarzy, skierowany do mężczyzn, ukłon ukradkowy, stosujący się do półświatka, i nareszcie ukłon z nachyleniem się, z uśmiechem, który dzieli się jeszcze na mniejszy i większy. Rozwodzę się dlatego powtórnie nad cieniowaniem oznak grze-

czności pana Zygmunta, że były to prawdziwe dzieła sztuki, coś w rodzaju nowoczesnego menueta.

Po jednym z takich ukłonów pierwszej klasy, odezwał się do mnie:

— A! przytryndała się tutaj. Ma rację — jest dużo ludzi, może się umieścić.

— Co też pan mówi?

— Naprzykład, gdyby pan chciał poświęcić wygraną na Iris...

— Nie znam zupełnie tej pani. A pan czy mówi z doświadczenia?

— Gdzie tam! Ja nie poszukuję takich znakomiłości.

— A dlaczegóż pan to o niej mówi?

— A pan dlaczego jej broni?

— Tak, bo nie mam żadnych dowodów. Zresztą poprostu przykro mi pomyśleć coś takiego o kobiecie, której kłaniam się z uszanowaniem.

— To są, panie, idee z epoki trubadurów. A co do kłaniania się — co innego sfera społeczna, co innego zaś wartość osobista.

Podfilipski był wogóle surowym sędzią; tego dnia jednak był wyjątkowo sceptyczny.

Spotkaliśmy znów pana ***, bardzo przedsiębiorczego człowieka, który ciągle powiększał majątek.

— To majster! — rzekł pan Zygmunt. — Patrz pan — tak wygląda powozik za trzy procent na

miesiąc; koniki już gorsze — za dwa procent. No, żona tam i córka to wogóle „żaden interes“.

— Czy on bierze takie procenta?

— Nie. Zwykle bierze większe.

— Jednak założył tę kasę emerytalną dla robotników, która go sporo kosztowała.

— Miał z czego.

Teraz przejeżdżał pan ***, sam jeden w dorożce. Podfilipski szepnął mi coś o nim, ale tym razem zaśmiałem się.

— Ależ, panie Zygmuncie! nie jesteśmy przecie na przeglądzie kandydatów do Syberji lub do domu poprawy! Co pana dziś ukąsiło?

— Widzi pan — odrzekł — to jest zabawne wiedzieć wszystko o wszystkich. Naprzykład ten pan. Gdybym nic o nim nie wiedział, nie istniałby wcale dla mnie. A ponieważ wiem, patrzę na niego i myślę: a więc tak wygląda — no i zajmie mi to pół minuty. Dajmy im zresztą pokój, skoro pana to gorszy.

Wpatrzył się bystro w nadjeżdżający powóz i zawołał:

— O! państwo Kostkowie!

Pani Eliza, w ciemnej aksamitnej sukni, przybranej sobolami, promienna matową białością twarzy i ożywieniem oczu, jak za dawnych czasów, siedziała w otwartym powozie obok męża, który trochę utył i spoważniał.

Wykonaliśmy obaj ogromną owację. Ja chciałem wyskoczyć z dorożki, ale wstrzymał mnie Podfilipski.

Ledwośmy ich minęli, zaczął swoje uwagi:

— Fiu, fiu, fiu jak wygląda! Musi być trochę retuszowana. Nic nie szkodzi — rezultat wyborny. Ileż ona ma lat? Zaraz... Kiedym ja był w Hiszpanji, ona była już podlotkiem, to jest trzymali ją w krótkich sukniach, ale była już panną — zatem 20 i 18 = 38 lat. Tak, ma już pod czterdziestkę.

— Ale gdzież tam, panie! ma najwyżej lat 34; wiem to napewno.

— A ja pana upewniam, że więcej. Zresztą, wszystko jedno. Wygląda bajecznie. Henryk za to trochę zeszkapiał i siedzi tak po filistersku przy tej pięknej żonie. Musi tam być już romans na schyłku. Pani powraca do Warszawy, chce się bawić. — A propos — czy pan będzie z nami na obiedzie w Ustroniu?

— Mówiono mi o nim na wyścigach. Czy to pan go urządza?

— To jest ja proponowałem taki piknik dla rozrywki i zmiany lokalu. Więc pan będzie?

— Z przyjemnością.

— Trzebaby koniecznie wciągnąć i Kostków. Cała nasza paczka będzie uradowana z ich obecności.

— A widzi pan — rzekłem — dlaczego nie wyskoczyliśmy do nich?

— Tak, i potem, ponieważ powóz musi iść w szeregu, drałowalibyśmy piechotą po błocie. Zaraz urządzimy to inaczej: staniemy pod Belwederem i zaczekamy na ich przyjazd; zapewne powrócą.

Zdecydowaliśmy się na ten sposób. Tymczasem Podfilipski ciągnął dalej:

— A jaka sprytna! nie pokazała się najprzód na wyścigach, bo byłoby to mniej efektowne — przyjechała na corso wyświeżona, wypoczęta i wita całą naszą procesję ze swego tryumfalnego wozu.

— To być może — odpowiedziałem — ale co pana skłania do tych drobnych sądów o ludziach? Że to robią osoby pozbawione zajęcia, skwaszone — to jeszcze rozumiem. Ale pan, będący w pełni powodzenia, w pełni sił cielesnych i umysłowych, pan, którego podziwiam i rozum i zdolność do wszystkiego...

Przerwałem, a on czekał przez chwilę, czy nie powiem jeszcze więcej; lubił bowiem tę nutę. Potem rzekł:

— Co mnie do tego pobudza? Czy ja wiem, panie? Chyba to, że czuję ciągły ruch w mózgu, że nawet teraz, podczas spaceru, nie mogę umysłowo drzemać, muszę dać coś do roboty tej nienasyconej machinie.

Uderzył się w czoło:

— To jest przyrząd do przerabiania wszystkiego, co istnieje, na wszystko, co tylko chcę. Można nim

czasem rżnąć i sieczkę — zakończył pan Zygmunt, zadowolony ze mnie — no i z siebie.

Zatrzymaliśmy się więc pod Belwederem, i stanąwszy na uboczu od zawracającego tu napowrót corso, czekaliśmy na powóz pani Elizy. Ale rzuciwszy okiem w pustą ulicę Bagatelę, spostrzegliśmy stojący w pewnem oddaleniu brek Zbarazkiego. Freda już w nim nie było; ten zawsze znikał i zjawiał się niespodziewanie; konie trzymał furman, a za furmanem widać było stojącą panią Darnowską, pilnie wpatrzoną w szereg powozów, który zawracał około środkowej latarni placyku przed Belwederem.

— A cóż u licha z tą Falbanką! — rzekł kwaśno Podfilipski — ręczę, że umieściła się na tym posterunku, żeby zobaczyć, kto pojedzie za rogatkę. Ooo! nudna jest. Zróbmy teraz tak: nie warto tu czekać, bo musielibyśmy pójść do tego breku, tymczasem przejechałaby pani Eliza — i rzecz by się nie udała. Wjedźmy znowu w szereg. Jeżeli Kostkowie powrócą raz jeszcze ku Belwederowi, to ich spotkamy i porozumiemy się jakoś. Może też kto inny już im powiedział? To nawet bardzo możebne, bo cała nasza paczka jest tu w alejach.

Wróciliśmy więc do szeregu. Po kilku minutach spotkaliśmy powóz Kostków. Pan Zygmunt stanął w dorożce i wymownymi giestami wskazał kierunek ku rogatce, jedzenie i t. p. Pani Eliza zrozumiała natychmiast.

— Już! już! — odezwały się dwa głosy z tamtego powozu, a odpowiednie giesty i uśmiechy oznajmiły nam, że już byli uwiadomieni, że przyjadą.

Podfilipski położył rękę na sercu na znak radości i rozczulenia, potem podniósł kapelusz, jakby krzycząc: vivat!

Interes nasz był załatwiony.

Pojechaliśmy do miasta, aby się przebrać, i w godzinę później niezmordowana warszawska drynda niosła nas znowu wyciągniętym kłusem ku rogatce belwederskiej.

Przejeżdżając, spojrzeliśmy obaj na prawo, w ulicę Bagatelę. Było już ciemno: na poprzedniem miejscu stał jednak jakiś cień powozu, a także zdało się nam widzieć bliżej, między drzewami, postać kobiecą.

— Jeżeli to ona, — rzekł pan Zygmunt — to doprawdy zwaryowała!

Wkrótce stanęliśmy w Ustroniu.

USTRONIE.

Była to garkuchnia podmiejska, do niedawna bardzo licha. Od czasu jednak, jak wyższe towarzystwo wprowadziło zwyczaj jeżdżenia tam po wyścigach, na obiady i kolacje, knajpa wyświeżyła się, restaurator postarał się o dobrą kuchnię, o dobre wina i zarabiał poczwórnie.

W gruncie rzeczy zabawa polegała na tem: wchodziło się z pewnemi ostrożnościami, aby nie spotkać jakiego niepowołanego towarzystwa. Ale ponieważ właściciel restauracji był uprzedzony, usunął już dawno wszelkie niebezpieczeństwa, wychodził sam do zajeżdżających powozów z ustami pełnemi tytułów, schylony we dwoje.

Panie wchodzą jednak do gabinetu z wyrazem ciekawości, trochę stropione. Więc to jest knajpa? Gdzież są niebezpieczeństwa? Zostały usunięte. Lekkie rozczarowanie ogarnia płeć piękną.

Siada się do stołu zastawionego byle jak, chociaż z możliwym przepychem: ananasów jest aż dziesięć na piramidach owoców; astry rozsiane między

talerzami. Na osobnym stole stoi niepospolita ilość przekąsek do wódki: wszystkie odmiany śledzi, kilek, sardynek, sardeli, serów i wędlin. To dla upiększenia i dla rachunku; wszyscy jedzą tylko kawior, który jest wyborny.

Ozwał się kwartet wiedeński, słyszany już niejednokrotnie; ale tutaj gra z większą fantazją. Przytem wszystko pachnie wsią, niespodzianką i trochę karczmą. Przynajmniej coś nowego. Jest wesoło, musi być wesoło, bawmy się!

Powodzenie tych wypraw zależy najzupełniej od składu towarzystwa, tak naprzykład, jak kręcenie stolików. Jeżeli wszyscy chcą koniecznie, aby się stolik kręcił, będzie się kręcił. Jeżeli wszyscy chcą się bawić w Ustroniu, Ustronie będzie zabawne.

Granowski z żoną, ładną i wielką śmieszką, Fred Zbarazki, Podfilipski, podniecali ciągle wesołość. Dwie jeszcze panie, także ładne, jedna z mężem, druga z bratem, — a wreszcie Kostkowie, pierwszy raz przybywający do Warszawy po swym romantycznym ślubie, stanowili ciekawą nowość, element również pobudzający umysły. Z początku byliśmy jednak mało rozmowni; trudno też było się słyszeć nawzajem z powodu muzyki, grającej w sąsiednim pokoju przy drzwiach otwartych; muzykanci honorowali nas całą siłą rozpędzonych smyczków i pedałów, aż Kostce, który ochrypł już od podnoszenia głosu, przyszła

szczęśliwa myśl przymknięcia drzwi — i ulepszenie to odrazu podnieciło wesołość.

Henryk musiał najprzód mówić, aby uczynić zadość ogólnym, bardzo naturalnym pytaniom: cóżeście porabiali przez trzy lata? Ponieważ jednak nie chciał bynajmniej mówić o historji rozwodu, ani uczucia, opowiadał o podróżach, które odbył już z panią Elizą, bo byli razem w Azji Mniejszej i w Afryce.

Lubię opowiadającego Kostkę. W mowie jego jest zwięzłość i ścisłość człowieka, nawykłego do myślenia i formułowania swej myśli na papierze. Pod tym względem przewyższa on może nawet Podfilipskiego, chociaż nie dorównywa mu w błyskotliwości wymowy. Mówi przytem tylko, kiedy ma coś do powiedzenia, a to nie zawsze się zdarza. Czasem milczy i słucha trochę ironicznie opowiadań cudzych. Panu Zygmuntowi zaś nigdy słów nie zabraknie: o czemkolwiekby wszczęto rozmowę, on gotów jest ją podtrzymać, oświetlić lub sprowadzić do ogólniejszych wywodów. Wie także, jak i co gdzie mówić.

Tutaj, ponieważ byliśmy w knajpie, Podfilipski zastosował rozmowę o półświatku. Opowiedział dobranemi słowy bardzo pieprzną anegdotę o dwuch znajomych, którzy obaj starali się o względy jednej kobietki i obaj te względy posiadali, ale każdy mniemał, że jest kochankiem od serca i jedynym. Komizm tego opowiadania, okraszonego obrazami i giestem, spotęgowany był przez to, że znaliśmy wszyscy obu

tych panów i obaj byli fizycznie potworni. Aż nareszcie zaszła kolizja. Jeden z nich, otyła figura z dużemi, łzawemi oczami, spostrzega u drugiego (który znów jest łysy i wygląda na Don Kiszota w podeszłym wieku), — spostrzega symboliczną obrączkę, ofiarowaną niegdyś w przystępie wspaniałomyślności owej donnie.

— Skąd ty masz tę obrączkę, pyta i wytrzeszcza na tamtego swe namiętne oczy, które państwo znacie. A tamten odrzuca połę od surduta i zakładając wielki palec na kamizelkę, mówi:

— Dała mi to na amulet jedna śliczna kobietka.

— A czy jest we środku data?

— A tak — jest data — w tej dacie właśnie jest siła amuletu.

Naturalnie obrączka była ta sama.

— No i cóż — zapytał Granowski — rzucili się na siebie jako dwa jelenie na rykowisku?

— Gdzie tam — odpowiedział pan Zygmunt — rzucili się sobie ze łzami w objęcia, przyczem Don Kiszot, jako wyższy, napłakał w kamizelkę tamtego, a znów tamten nie wiem co już mu tam zamoczył...

Ściany Ustronia, posłyszawszy nareszcie coś zwykłego i swojskiego, odpowiedziały sympatycznem echem.

— To mnie samemu coś podobnego się zdarzyło — rzekł Granowski. — Onego czasu, kiedym jeszcze nie był żonaty, dostałem od bardzo ładnej

aktoreczki w Wiedniu pantofle; ale nie takie pantofle, wyszywane w paciorki i niezapominajki, tylko doskonałe pantofle z miękkiej skóry, podszyte zamszem. Miały jedną oryginalność — czerwony obcas. No, więc bardzo ci dziękuję, moja... tak a tak — i noszę sobie te pantofle. Aż przychodzi do mnie raz rano Sigi Hohensteg, wiecie? ten Hohensteg-Wildstein, co to się nawet ożenił z kuzynką twoją, Henryku. A był to swego czasu straszny... jak to tutaj powiedzieć?... wielbiciel płci nadobnej. — Siedzę więc sobie rano w pantoflach, a ten przychodzi. Patrzy na moje pantofle, łapie mnie za nogę, zdziera pantofel i ciska o ziemię:

— Donnerwetter! co to za bestje te kobiety! Zostawiłem u kilku nowiuteńkie takie pantofle, bo w innych chodzić nie mogę, a tu już drugą parę spotykam po ludziach!

— Haha! — zaśmiał się krótkim, nerwowym śmiechem Fred Zbarazki, rozwierając nozdrza — toś i ty chodził w pantoflach Hohenstega? Kto w nich nie chodził!

— To już chyba inne, w których ty chodziłeś, mój Fredzie.

— Są widać całe pokolenia pantofli Hohenstega — odezwał się sentencjonalnie Podfilipski.

Mężczyźni wpadali w werwę, a panie poczęły dla proporcji rozmawiać między sobą, chociaż słuchały jednem uchem lekkich anegdot. Nawet pani

Granowska śmiała się szczerze, mrużąc bardzo duże, wesołe oczy i pokazując białe zęby. Dwie inne panie uznały za stosowne spoważnieć. Niemniej bawili się oboje Kostkowie. Pani Eliza patrzała roztargnionem okiem na opowiadających, bez uśmiechu; raz nawet skrzywiła się nieznacznie podczas anegdoty Podfilipskiego.

Granowski, który mimo swe okrągłe pozory dobrego chłopca jest bardzo wytrawnym światowcem, zmienił kierunek rozmowy przez toast zręcznie wzniesiony:

— Nie proponuję tu, w Ustroniu, pić za zdrowie państwa Kostków, których tak miło nam oglądać znowu w Warszawie. Ale chciałbym ich przywitać u siebie, jeżeli będą łaskawi z dzisiejszem towarzystwem przyjść do nas pojutrze na obiad. A tymczasem tak pod sekretem...

Trącił z przymileniem o szklankę siedzącej obok pani Elizy, przyjaźnie pokiwał głową w stronę Henryka i nieznacznie skinął brwią na żonę.

— Ach, bardzo prosimy — rzekła pani Granowska.

— Dziękuję, dziękuję — odpowiedziała pani Eliza — jutro już wybieraliśmy się do was.

— Proszę was, bez wizyt niepotrzebnych! Będziecie ich mieli dosyć tymi dniami: przyjdźcie do nas poprostu na obiad pojutrze — rzekł znowu Granowski.

Do końca obiadu rozmawialiśmy już tylko o sprawach bieżących, o przyszłych wyścigach, o osobach, które są w Warszawie.

Ponieważ wieczór był pogodny i ciepły, jakby w lecie, podano kawę w ogrodzie. Właściciel pozawieszał na naszą cześć po drzewach kilkanaście kolorowych lampek; stół pod drzewami oświetlono jak najrzęsiściej. Pod wpływem wesołego obiadu i dobrego powietrza obrazek ten wydał się wszystkim ponętnym. Podobał się i pani Elizie:

— Pamiętasz, Henryku, ogródek hotelowy w Kairze?

— A tak, masz rację — a mnie to jeszcze przypomina jeden obrazek z Louvre'u — szkoła francuska — koniec przeszłego wieku — nie pamiętam już czyj...

Tu, w ogrodzie, zaczęło być naprawdę wesoło. Ożywili się wszyscy naraz; pili kawę stojąc, krążąc od jednej pani do drugiej. Mogłem się i ja teraz przysiąść do pani Elizy, od której podczas obiadu siedziałem daleko.

— Pamięta pani naszą dawną rozmowę w Lublinie, wtedy, kiedy jeszcze było tak burzliwie i niepewnie na świecie?

— Ach, pamiętam, że nam pan wtedy był życzliwy.

Ładnym, serdecznym ruchem podała mi rękę i zwracając się zaraz do męża, który siedział blizko i flegmatycznie puszczał dym z cygara, rzekła:

— Wiesz, Henryku, że pan jest jednym z naszych dawnych, prawdziwych stronników?

Kostka nie odrzekł nic, tylko wyciągnął do mnie rękę z chwilowym błyskiem oczu, — poczem zapadł znów w swą pozorną obojętność.

— Przyjechaliśmy tu na dłuższy czas — mówiła pani Eliza — mamy dość duże mieszkanie i, z wyjątkiem kilku wizyt na wsi, chcielibyśmy zimę tu przepędzić. Mam nadzieję, że pan nas będzie odwiedzał? A czy pan myśli — dodała z pewnem wahaniem — że tutejszy świat trochę się przekonał do nas? bo wtedy...

— Ponieważ jestem pani gazetą i wtedy donosiłem plotki (wprawdzie na żądanie), teraz oświadczam w artykule wstępnym, że będziecie państwo „królami sezonu". Ledwo się państwo ukazali, ledwo miałem czas zobaczyć trzy osoby, a trzy razy usłyszałem: „no cóż? jak wygląda? czy zawsze taka piękna? czy zostaje na zimę? czy przyjmować będą?" Pani chyba ze mnie żartuje, bo wie dobrze sama, że dobijać się będą wszyscy do drzwi waszych, zakupywać łaski odźwiernego...

— Nie przypuszczam nawet, aby mogło być inaczej — odezwał się Henryk, utkwiwszy dumne, ironiczne spojrzenie gdzieś w ciemny kąt ogrodu.

Kiedyśmy tak rozmawiali, powstał nowy projekt: zatańcować!

Granowski kazał przywołać właściciela restauracji.

— Kogo tu pan masz dzisiaj wieczorem?

— Nikogo niema, oprócz jaśnie państwa, panie hrabio. Kazałem nawet lokal zupełnie zamknąć.

— No, to dawaj nam tutaj muzykę!

— W tej sekundzie, panie hrabio.

Zaraz ozwały się z pod drzew miękkie tony wiedeńskiego walca. Granowski i Zbarazki puścili się w taniec; pierwszy zaprosił panią Elizę, ta jednak nie chciała rozpoczynać, więc wziął inną panią. Fred tańczył z panią Granowską. Ta rumiana, świeża, lekka, poszła w taniec z najżywszą przyjemnością; są kobiety, które tak lubią taniec, jak naprzykład mężczyźni lubią kobiety. Pokręcono się jeszcze w innych kombinacjach par, ale ponieważ były nieliczne, wkrótce wyczerpały się.

Fred stanął pośrodku i zawołał:

— Co tam tańczyć walca! wykonajmy jaki taniec z charakterem, naprzykład menueta, albo pavanę.

Wykonał kilka przesadnych choreograficznych poruszeń, przypominających bardziej pantomimy cyrkowe, niż menueta.

— Ej, Fred! — zawołała rozbawiona pani Granowska — uważaj, bo cię stąd wyrzucą!

— Dobrze — będę poważny. Proszę panów — rzekł, zwracając się ruchem mistrza ceremonii do muzyki — zagrać nam kontredansa. Pierwsza figura — *la poule!*

Fred tańczył z panią ***, ładną blondynką, naprzeciw Kostki z panią Granowską. Wysunął szyję z kołnierza i unieruchomił ją w położeniu pochylonem naprzód; tańczył przytem, jakby był z drewna, poruszanego przez mechanizm.

— Fred! tańcuj przyzwoicie! — odezwała się znowu pani Granowska, zanosząc się od śmiechu.

— Jakże mam tańcować? — rzekł Zbarazki, zatrzymując się. — Tańczę po angielsku, kiedy nie wolno po francusku — muszę być sztywny.

Pozostał więc przy swym „angielskim“ sposobie, ozdabiając go od czasu do czasu jakąś niespodziewaną pozą. Aż przy szóstej figurze nie wytrzymał i, zachowując niby sztywną pozę, począł drgać, skakać, wyłamywać w takt galopady nogi, ręce i palce. Wpadał rzeczywiście w „charakter“. Ale skoro tylko panie przestały śmiać się, i on przestał, zakomenderował koło i zakończył.

Zagrano jeszcze walca, potańczono trochę — i urwało się. Panie, zapłonione od ruchu, uciekły do pokoju, bo bądź-co-bądź noc była wrześniowa.

— Co to jednak jest Warszawa, — mówiła pani Eliza — jakie ognisko wesołości! Zdaje mi się, że od pięciu lat pierwszy raz tańczę, a jestem tu dwanaście godzin.

— A cóż ja dopiero! — dodał Kostka. — O ile pamiętam, ostatni raz tańczyłem z Malajczykami na wyspie Celebes.

— To musiało być wesołe, no i — rozebrane — wtrącił Podfilipski.

— Jadę na Celebes! — zawołał Fred — tu mi nie dają rozwinąć moich talentów choreograficznych. A teraz co zrobimy?

— Pojedziemy do domu — odpowiedziała pani Eliza — ja przynajmniej. Ostatnią noc przepędziłam w wagonie. Trzeba się trochę szanować w moim wieku.

— O, doprawdy! — rzekł Podfilipski płaczliwym tonem. Może my, młodsi, zaniesiemy panią w lektyce do domu?

— Nie, pojadę sama, to jest z Henrykiem.

I sprężyście powstawszy z fotelu, wyprostowała swą ponętną i wytworną kibić. Ciężkie jej włosy, poruszone przez taniec, usunęły się z pod szerokiego kapelusza i spadły na ramiona. Chwyciła je pośpiesznie, ale już fala popłynęła wzdłuż jej postaci, aż do kolan. Przez sekundę zobaczyliśmy ją wszyscy w tym złotym płaszczu.

Panie pomogły jej skręcić jako-tako włosy i schować je pod kapelusz. Poczem pani Eliza, zarumieniona, uciekła z mężem, wołając:

— Do widzenia, do widzenia! stajemy się niemożliwi!

Rozjechaliśmy się już po północy, rozweseleni, a nie wyczerpani, jak się to często zdarza po nieudanych wycieczkach.

Zbarazki zabrał Podfilipskiego i mnie do swego breku.

— Ależ te twoje konie są z żelaza — rzekł pan Zygmunt — od której trzymasz je w zaprzęgu?

— Wysłużyły się dzisiaj — odpowiedział Fred — bo wiesz, że woziłem Falbankę po Łazienkach? — Potem ona mi znowu wzięła brek na parę godzin i odesłała tutaj. Ja przyjechałem doróżką. Ale co się stało Falbance? jakaś niespokojna, wzdychająca...

— Eh, z kobietami niewiadomo nigdy; czasem są wesołe, dlatego, że pogoda, a czasem smutne, także dlatego, że pogoda.

Jechaliśmy, jak wiatr, mimo ciemności.

Odezwał się znowu Zbarazki:

— Dobrze dziś było w Ustroniu, prawda? A jakie też ta pani Eliza ma włosy!

— Sławne włosy — odrzekł pan Zygmunt.

Pędziliśmy teraz, wymijając liczne jeszcze doróżki, przez Nowy Świat.

OPINJA.

Na trzeci dzień po owym obiedzie w Ustroniu znalazłem się w salonie pani Wegdamit-Odęckiej. Nie często ją odwiedzam, ale wtedy ktoś mi przypomniał, że to jej dzień przyjęcia, nie miałem nic do roboty, postanowiłem więc złożyć kilka wizyt. Pani Odęcka przyjmuje u siebie chętnie, ale wobec dzisiejszego rozluźnienia form towarzyskich, mniej chętnie u niej bywają. Jest to osoba starsza, nie pociągająca już żadnym wdziękiem fizycznym, ani umysłowym. Ponieważ jednak zna warszawskie towarzystwo od lat czterdziestu, upatrują w niej niektórzy niknący typ matrony, która powinnaby skupiać w swym salonie wybór towarzystwa, nadawać mu ton, zniewalać do uszanowania tradycji i kierować opinją. „Z naszą młodzieżą *fin de siècle* zadanie to staje się coraz trudniejszem“ — mawiała sama pani Odęcka. Robiła jednak, co mogła: w przypadkowych liczniejszych zebraniach i w ciasnem kółku tych, którzy pozostali jej wierni, trudniła się opinją.

Kiedym wszedł, nie było nikogo w salonie. Służący oznajmił mi, że pani przezydentowa zaraz wyjdzie. (Nieboszczyk jej mąż był przezydentem czwartego zjazdu heraldyków w Kaliszu).

Oglądałem tymczasem liczne portrety familijne pruskich Wegdamitów i polskich Odęckich, gdyż ma to być rodzina pochodząca z Prus królewskich. Starsze wizerunki, w krzyżackich zbrojach lub w kontuszach, zapoznały mnie z całym szeregiem znakomitości, o których dotąd nie miałem wyobrażenia. Z nowszych wisiał tam portret generała Odęckiego, na koniu, w grupie przedstawiającej urywek z szarży pod Samosierra. I o tym generale nie słyszałem jakoś nigdy.

Rozmyślałem tak z dziesięć minut nad historją Wegdamit-Odęckich, otoczony tą podejrzaną galerją i zapachem myszki czy pleśni, pomieszanej ze starożytną wódką kolońską.

Tymczasem weszła pani przezydentowa. Jest jeszcze żwawa i dobrze się trzyma; opinja ma w niej jeszcze długoletnią podporę.

— Dobrze, że nie zapominasz o starych — rzekła głosem, do którego, mimo cały mój szacunek, nie mogę się przyzwyczaić, jest bowiem szeleszczący i otłuszczony zarazem, dobywa się, jakby z astmatycznego papilotu.

— Siadaj. Może chcesz herbaty?

— Bardzo dziękuję — nie.

— To nie potrzeba — zwróciła się do służącego który po tem oświadczeniu odszedł.

— Cóż tam słychać?

— Gdzie, proszę pani? czy w polityce? czy w literaturze? czy w sztuce?

— Ee, gdzież tam! A prawda, zajmujesz się literaturą — to bardzo dobrze, tylko słyszałam, że w tem, co piszesz, duch jest niezupełnie prawdziwy... Ale co słychać w świecie?

— Nic. Są wyścigi.

— Tak, wyścigi były zawsze, ale po wyścigach, za moich czasów, nie jeździły panie do karczem, nie piły, nie tańczyły i jeszcze Bóg wie co... Doprawdy, co się teraz dzieje!!

— Nic się nie dzieje, proszę pani. Jedliśmy obiad w restauracji.

— Jakto? *byłeś* w tem Ustroniu?

Podniosła się nawpół w fotelu, utkwiwszy we mnie oczy błyszczące wśród zwiędłej twarzy, jak kagańce na płycie z szarego kamienia. Pomyślałem, że zostanę usunięty z tego salonu, i, uprzedzając nakaz, szukałem kapelusza. Ale wybuch wziął obrót dla mnie niespodziewany.

Głos pani Odęckiej zmiękł, jakby połknęła karmelek od kaszlu. Sadowiąc się napowrót w fotelu rzekła:

— Dobrze — to się nareszcie dowiem wszystkiego. Więc któż tam był?

— Ach, było kilka osób.

— A widzisz, że nawet wymienić nie chcesz! Ale ja wiem: byli Granowscy, Kostkowie, Alfred Zbarazki — no i była ta lafirynda.

— Kto taki?

— A czy ja wiem, jak one się tam nazywają? jakaś taka pani — rozumiesz? I to razem z pierwszemi nazwiskami w kraju! Doprawdy, ten świat się zapada!

— Ale, na miłość Boską, kto taki?

— No, powiedzieli mi jakieś imię dziwaczne — Falbanka.

— Ależ, szanowna pani, wiem przypadkiem, kogo tak nazywają poufnie...

— Jakto: *poufnie?*

— No, niby — bliżsi znajomi.

— Zastanów się tylko, co mówisz: pani, którą *poufnie, bliżsi znajomi* nazywają Falbanką!

Odpowiedziałem trochę niecierpliwie:

— Jest bardzo biedną kobietą, opuszczoną przez męża. A w dodatku, nie było jej tam wcale — upewniam panią.

— Jakże? przecie czekała w breku Zbarazkiego u rogatki.

— A gdyby czekała, więc co z tego wynika?

— No — pojechała ze Zbarazkim do Ustronia a Zbarazki był z wami.

— Ale kiedy pani daję słowo, że nie była z nami. Był Zbarazki.

— Jakimże sposobem mógł być Zbarazki sam, kiedy z nią jechał? Więc ją wyrzucił z breku? Prawda, że z takiemi paniami nie potrzeba robić ceregieli.

Z wielką trudnością opanowałem odpowiedź, która cisnęła mi się do ust. Powstawszy, chciałem się pożegnać, ale pani Odęcka nie pozwoliła mi odejść:

— Nie, nie nie — poczekaj, musisz mi już wszystko wyznać. Czy była tam, czy nie była ta lafirynda, to prawie obojętne, ale sam fakt, żeby się panie z towarzystwa upijały i tańczyły po karczmach...

— To jest: jadły obiad z mężami, z braćmi i z dobrymi znajomymi w zamkniętej restauracji.

— Jakaż to restauracja? Przecie wiem, co to jest Ustronie.

— Czy pani tam była?

— Bardzo proszę — takie żarty z osobą starszą, która mogłaby być twoją... ciotką.

— Nie, ja na serjo pytam, czy pani tam była, bo, ponieważ jest to restauracja uczęszczana obecnie przez arystokrację, więc myślałem, że i pani...

— Nie, nie byłam — rzekła pani Odęcka, udobruchana na chwilę; ale wkrótce przypomniała sobie znów swe powołanie i rzekła:

— Za moich czasów porządna kobieta wogóle nie chodziła do karczem, nie piła wina, nie tańcowała po ogrodach, ani się zadawała zzz... kokotami.

To ostatnie słowo pani Odęcka wykrztusiła z trudnością, jakby czyniąc gwałt swym zasadom. Splamiła się tą denominacją, może w celu wzbudzenia we mnie skruchy?

Rzeczywiście było mi źle. Ani tu przekonać tej gorliwej pani o istotnej prawdzie, ani z nią dysputować. Może też sama prawda była czemś bardzo występnem. Nic jednak takiego nie zaszło. Bawiliśmy się w sposób trochę niecodzienny, ale oprócz paru lekkich anegdot i samego faktu, że tańczyliśmy w ogrodzie zamkniętej restauracji...

Oznajmienie wizyty starego Łatackiego dało mi pozór do opuszczenia salonu pani Odęckiej.

W przedpokoju zaczepił mnie Łatacki:

— A! witam pana. Cóżeście wy, na Boga, wyprawiali w tem Ustroniu? Trzeba to jakoś zamaskować, bo całe miasto się trzęsie. Trzeba się porozumieć i opowiadać jedną złagodzoną wersję. Opowiedz mi pan pokrótce, co tam było?

— Nic nie było. Zjedliśmy obiad. Szczegóły doda pani Odęcka, z którą od godziny o tem gadam.

I brałem już za klamkę, kiedy Łatacki osadził mnie na miejscu jednem ciekawem słowem:

— No, a te włosy?

— Co?

— Opowiadają, że mierzyliście, kto ma dłuższe włosy, pani Eliza, czy Darnowska...

— I pan wierzy temu?

— Jakże nie mam wierzyć, skoro wszyscy mówią.

— W takim razie do widzenia panu.

Łatwo powiedzieć do widzenia Łatackiemu, ale nie wieści gminnej, czyhającej z każdej znajomej twarzy w formie zapytania, oburzenia lub cichej nagany. Kiedym nad tem rozmyślał, spotkałem nagle w bramie Podfilipskiego i rzuciłem się ku niemu:

— Ach, panie Zygmuncie, żeby pan wiedział, co rozpowiadają o naszem Ustroniu! Trzeba tu coś poradzić, — pan wynajdzie sposób.

Podfilipski był poważny. Nachylił trochę głowę i, oparty o laskę, rzekł:

— Trudno tu poradzić. Stało się. Ja zawsze mówiłem, że takie licencje mogą się nie udać, zwłaszcza w Warszawie.

— Ależ sam pan to urządzał.

— Urządzałem — taak! Trudno się czemś nie zająć, kiedy wszyscy proszą. Ale nie urządzałem tańców w ogrodzie, nie rozpuszczałem włosów pani Elizy...

— Panie Zygmuncie!

— No, ja teraz nie mam czasu, panie. Muszę jeszcze pójść do kilku osób, a obecnie śpieszę do Odęckiej, żeby babie trochę zakneblować gębę. Zobaczymy się później.

I szybko wszedł na schody, zostawiając mnie tem bardziej pognębionego. Skoro już i on, tak zwykle

wolnomyślny, wątpi o naszej sprawie, sprawa musi być zła...

Nie miałem nic lepszego do roboty, jak odwiedzić inne osoby, do których dzisiaj pójść zamierzyłem.

Znalazłem się wkrótce u państwa Szreńskich. W salonie przyjmowała pani, pan zaś w gabinecie, za biurkiem, od którego nie lubił odchodzić, jakby wiedząc, że mu przy niem najlepiej do twarzy. Człowiek ten, położywszy istotne zasługi w długoletniej służbie publicznej, nosił siwą głowę wysoko, ale nikt się temu nie dziwił. Mieszkanie jego nie przypominało wcale salonu pani Odęckiej: na ścianach, jeżeli wisiał jaki portret, to z pewnością autentyczny, a nastrój poważny był tu tak na swojem miejscu, że mimowolnie zniżano głos w tym pokoju.

Przyjęto mnie dużo mniej uprzejmie, niż zwykle. Po kilku minutach doszedłem do wniosku, że nawet tutaj zaleciały wieści o Ustroniu. Kilka pań w salonie i kilku panów w gabinecie mówiło o czem innem, ale po paru urwanych zdaniach i po wymownem milczeniu zmiarkowałem, że już wiedzą. A mnie chodziło zupełnie o co innego tutaj, niż u pani Odęckiej. Tam pragnąłem tylko uspokoić gorliwość; tutaj dbałem o sąd i zdanie obojga państwa Szreńskich. Może i oni mają fałszywe informacje? może potępiają nas wszystkich ze swego, daleko bardziej uprawnionego stanowiska? Dopiero-co dokuczyła gadatliwość bliźnich, teraz bolało mnie gorzej ich milczenie.

Pozostałem po wyjściu innych sam w gabinecie pana Szreńskiego umyślnie, aby wyświetlić tę drobną sprawę, która urosła do rozmiarów historycznego wypadku.

Zacząłem skarżyć się na plotki.

— Plotki są nieznośne — odrzekł pan Szreński — ale powód ich jest jeszcze smutniejszy.

— Jeżeli szanowny pan mówi o tym obiedzie w Ustroniu, to wieści krążące o nim są potworne.

I opowiedziałem treściwie całą wyprawę, zaprzeczając fałszywym szczegółom.

Pan Szreński słuchał z bolesną jakąś niecierpliwością, czasem z pod namarszczonych brwi błysnął jakby promyk ironji. Kiedym skończył, rzekł:

— Bardzo ciekawe, bardzo ciekawe.

— Jakto? — pytałem — czy pan mówi o prawdziwym fakcie, czy o przerobionym?

Zrazu nic nie odrzekł. Nastąpiła chwila zakłopotania, w której wahałem się, czy mam się pożegnać, czy jeszcze o czem zagadać. Pan Szreński trzymał mię ciągle pod swem jowiszowem spojrzeniem. Nareszcie, jakby odpowiadając na inne pytanie, począł mówić gwałtownie:

— Więc to jest sprawa, zajmująca dzisiaj Warszawę? Źle mówię: Warszawę, ale tych ludzi — jak ich nazwać? — te warstwy bawiące się, zabawne — was, jednem słowem? Fakt autentyczny i fakt prze-

robiony! Jeden od drugiego różni się o kilka szczegółów; nie wiem, który wolę...

Broniłem się, jak mogłem:

— Przyzna pan jednak, że nic nie było... występnego w tej historji...

Pan Szreński cmoknął niecierpliwie:

— A daj-że mi pokój z tą historją! sama przez się nie znaczy nic, ale pomnożona przez tysiąc i przez codzień, jest bardzo smutna; daje miarę tych, którzy byli w tem Ustroniu i tych, którzy o niem opowiadali. Wszystko, co czynicie, jest puste.

Zacisnął pięść i otworzył ją szybko, jakby dla pokazania, że nic w niej niema.

— Tak jest — puste, pozbawione nietylko użyteczności, ale i charakteru, stylu. Nawet stylu brak! Do czego może mieć pretensje koterja, jeżeli tak się prowadzi i tak wygląda? jaką może mieć powagę w społeczeństwie? Czem zaimponuje reszcie narodu, od którego oderwana jest, jak ten balonik dziecinny, puszczony w powietrze: stąd wyszedł, niewiadomo dokąd leci, odpycha się od ziemi, a do nieba nie dojdzie — i wisi sobie dla zabawy między niebem a ziemią, póki nie pęknie.

Gdy pan Szreński wpadnie w ferwor, nie łatwo z nim sobie poradzić. Zaczęła mnie jednak korcić ta napaść na grupy, do której i on i ja pod wielu względami należeliśmy, więc wtrąciłem zjadliwie:

— Jednak szanowny pan widuje tych ludzi często, ostatecznie nawet z nimi żyje i dla nich pracuje.

Szreński spojrzał teraz na mnie raczej smutnie, niż groźnie i odrzekł spokojnie:

— Gdziem się urodził, żyję i służę. Ale nie przeto mi jest dobrze i wesoło, że widzę około siebie degenerację klasy, która ma, jeżeli nie prawo, to największą łatwość przodowania w społeczeństwie. Nigdy jeszcze wyższe towarzystwo w Warszawie nie było tak marne. Długo żyję, znam kilka pokoleń i mówię z głębokiego przeświadczenia. Nie ja będę na starość tromtadratą; wierzę mocno w hierarchię i w prawa najlepszych. Rząd nie należy do tłuszczy, ale do wyboru ludzi; jeżeli gdzie jednak ten wybór przestarzał, zmarniał i spaczył się, nietylko potrzeba zastąpić go innym, ale koniecznie zastąpią go inni. U nas nie chodzi przecie o oligarchię, ale choćby o przedstawicielstwo społeczeństwa. To przedstawicielstwo nie istnieje dzisiaj w Warszawie, a jeżeli istnieje, to obok grupy, mającej do tego pretensje.

Odrzekłem, że złożyło się na ten stan rzeczy wiele czynników historycznych; wyraziłem też rozczarowanie, że człowiek, który tak wybitnie należy do grupy zachowawczej, rekrutującej się w sferach, o których mowa, tak surowo te same sfery, czyli nas wszystkich sądzi. A przytem, że tak drobny fakt był powodem...

Pan Szreński znowu wpadł w ferwor:

— Właśnie ta *drobność* jest nieszczęściem. Drobny sport, drobna zabawa, drobne plotki! Obiad w Ustroniu trwa ciągle; to jest typ i symbol waszych zajęć. Ach, żeby to był epizod pomiędzy jakiemiś ważnemi sprawami, pomiędzy jakąś szlachetną walką i mądrym namysłem! Żeby wtedy działo się tam nawet to, co wymyślono, jakbym krótko na to narzekał! Ale to jest właśnie treścią waszego życia i najważniejszą sprawą — i dlatego nie obiad w Ustroniu, ale całe wasze życie jest bolesne dla tych, którzy umieją myśleć.

Kiedy kto mówi długo i z zapałem, przekonywa mnie zwykle, choćby na chwilę. Rzeczywiście, wszystkiego dowieść można, chodzi tylko o punkt wyjścia. Więc i wtedy zdawało mi się, że Szreński ma słuszność i wpadłem w jakieś zamyślenie, podobne do skruchy. Spostrzegł to widać pan Szreński, bo spojrzał na mnie dużo łagodniej, a potem wstał i rzekł:

— Wszystko to może się zmienić; ten zbiór ludzi jest przypadkowy, a w nim są indywidua dodatnie. Chciałbym tej zmiany dożyć.

— Szanowny panie... — zacząłem mówić, ale on położył mi rękę na ramieniu, łagodząc szorstkość pożegnania.

— No, idź już, idź, bo mam robotę.

Wyszedłem. — W przedpokoju przyszło mi na myśl, że gdyby tu był Podfilipski, zapewne stawiłby

lepiej czoło panu Szreńskiemu, który jest trochę mantyką. Ludzie zasłużeni bywają bezwzględni.

Z żalem, ale i ze zdziwieniem dowiedziałem się w tym samym przedpokoju, że pan Zygmunt był tu pół godziny przedemną. Co tu robił? Chciałem go koniecznie spotkać, a jak na złość mijałem się z nim. Nie było go w mieszkaniu, nie było w kancelarji wyścigów konnych. Przypuszczając, że zastanę go może u pani Darnowskiej, poszedłem do niej.

OPINJA.

(Ciąg dalszy).

Lokaj powiedział mi, że „pana“ już od kilku dni nie widział, ale pani jest w domu. Nie chciałem tak odchodzić od jej drzwi, więc oznajmiłem się i zostałem przyjęty bardzo skwapliwie.

Pani Darnowska nie była jednak w wesołem usposobieniu, miała nawet zapłakane oczy.

— Jak to dobrze, że pan przychodzi, bo od dwóch dni pragnę dowiedzieć się, co się tam działo w Ustroniu i nie mam od kogo. Pan mi powie?

— Z największą przyjemnością. Jedliśmy obiad w dużem towarzystwie, potem piliśmy kawę w ogrodzie. Grała muzyka — więc zatańczyliśmy kadryla i rozjechaliśmy się do domów.

— I nic więcej?

— I cóż miało być więcej?

— Bo Malwinie opowiadał jakiś pan, jej znajomy, który tam podobno był, — pan Łatacki...

— Nie było wcale Łatackiego.

— Dość, że opowiadał o jakichś dziwnych tańcach, o chowaniu się po ciemnym ogrodzie.

— Moja pani! takim bredniom nie warto nigdy wierzyć. Opowiada jakiś ladaco, kłamie najprzód, że tam był, — więc kłamie i resztę.

— A cóż było z tem rozpuszczaniem włosów?

Znowu te włosy! pomyślałem z rozpaczą i raz jeszcze musiałem opowiadać o Ustroniu, które mi już obrzydło.

— Więc poprostu nic się tam nie działo nadzwyczajnego?

— Ależ nic a nic.

— Kiedy już pan tak dobry, to mi powie, czy nie opowiadali nic... to jest czy naprawdę Zygmunt... pan Zygmunt nie grał żadnej roli w tem rozpuszczaniu włosów?

Domyślając się, o co jej chodziło i dlaczego płacze, odpowiedziałem, udając roztargnienie:

— Pan Zygmunt? jakąż on w tem grać mógł rolę? Już nie dobrze pamiętam, co on tam wogóle robił. Aha — zajmował się sprężyście kierunkiem kuchni, a był przy apetycie, bo wyjechałem z nim około północy z Ustronia i siedzieliśmy jeszcze razem ze trzy godziny — a on o drugiej machnął sobie znów kolacyjkę.

— Panie, czy mi pan nic nie ukrywa?

— Upewniam panią, że mówię szczerą prawdę.

Podziękowała mi serdecznie, ale, jakby tylko

pół ciężaru spadło jej z serca, zasępiła się znowu i rozwarłszy nadmiernie oczy, patrzyła w okno.

— Czegóż pani chce więcej, — pytałem — jakich objaśnień? Przecie nie chodzi pani tak dalece o tę całą historję, w którą zamieszane są już tylko osoby dla pani obojętne.

— Ach tak — odrzekła — te panie są mi obojętne. Nie znam ich, nie chcę znać, ani nawet nie mogę — ale to właśnie...

— Co: właśnie?

— Czy, żebym je znała, to byłby już skandal?

— Któż to mówi!

Zarumieniła się, jak wiśnia; przez oczy jej przeszedł najprzód pewien odcień urażonej dumy, a potem wielka żałość.

— Są tacy, którzy mówią, że ja tam byłam.

— Moja pani! O kim tam nie mówiono, że był. Przecie miał być i Łatacki. Zresztą gdy kto się bawi kłamstwem, wymyśli byle co, stosownie do płodności swej wyobraźni. O tamtych paniach także opowiadano niestworzone rzeczy...

— Ale o mnie tylko tyle, że byłam — i to już miało znieważyć całe towarzystwo? Więc cóż o mnie mówią? Więc za kogóż mnie mają?

— Proszę pani, nikt porządny, nikt ze znajomych pani... — zacząłem mówić, ale mi przerwała:

— Owszem, mówili o tem i porządni ludzie... Więc do tego już doszło?

Zakryła twarz rękoma i, głośno łkając, wybiegła do drugiego pokoju.

Szczerze mi się jej żal zrobiło. Chodząc po salonie w oczekiwaniu jej powrotu, myślałam: co ja jej powiem? nie wiem ostatecznie nic pewnego o jej stosunkach z Podfilipskim, nie mogę o to zapytać...

Powróciła z upudrowaną zupełnie twarzą i łzą, kręcącą się jeszcze w oczach. Wyglądała i komicznie i bardzo biednie.

— Pan wydaje mi się przyjacielem — prawda? co ja mam z sobą począć, panie?

— Trzebaby wiedzieć, o co kochanej pani głównie chodzi?

— Ja sama nie wiem. Nie widzę przed sobą kierunku, nie czuję nad sobą opieki. A potrzeba mi jej! Straciłam wszelkie nadzieje i tak mi się zdaje, że codzień schodzę niżej w jakąś ciemność. A jeszcze wczoraj, kiedy się dowiedziałam, że całe miasto tak mówi...

Drgały jej znowu rzęsy, więc przerwałem:

— Czy pani mówiła poważnie z Podfilipskim o swojem położeniu?

— Bardzo mało teraz; dawniej. On taki zajęty, tyle ma obowiązków towarzyskich i cywilizacyjnych, (poznałem tu słowa pana Zygmunta) i, chociaż bardzo dobry, nigdy już prawie nie pomówi o tem, co się w sercu dzieje, czego potrzeba dla serca.

— Czy pani chce, żebym ja mu coś o tem wspomniał?

— Nie, panie; ja się przecież na niego nie skarżę; on pewnie przyjdzie dzisiaj i może trochę pogadamy.

— A wolno-ż mi zapytać — bo tak mało ze sobą rozmawialiśmy — czy pan Darnowski nie poczuwa się do żadnej nad panią opieki?

— Wolę już, że się nie poczuwa. To nieszczęście mego życia ten człowiek! Nieboszczka mama miała słuszność, odradzając mi. Podobał mi się, bo pięknie mówi, bo miał mi otworzyć świat. Teraz porzucił mnie zupełnie i ani dba o mnie — tyle, że noszę jego nazwisko. Ale to niedobry człowiek.

Przeszedł ją dreszcz i ściągnęła ramiona.

Patrzyłem na nią, jak na płaczące dziecko, a była to przecież kobieta około lat 26-ciu! Jej ładna, mała twarz, zmniejszona jeszcze przez oryginalne uczesanie włosów, pokrywające skronie i uszy, nadawała jej pozór lalki. Usta miała ponętne i niewinne zarazem: składała czerwone wargi z dziecinnym wdziękiem. Była rozrzewniająca, ale trudno ją było traktować poważnie.

Dostrzegłem w niej jednak wtedy dużo uczciwych instynktów, a nigdy wogóle nie zauważyłem złych. Więc pomyślałem, że w lalce tej jest także drobny, zastosowany do niej, ale porządny mechanizm, który można zepsuć i stłuc.

„Kobiecie odjąć trzeba indywidualność“ — stanęły mi w myśli słowa pana Zygmunta. Ale dać jej trzeba w zamian kierunek, zadość uczynić jej choćby najskromniejszym potrzebom duchowym. Nie wątpiłem, że Podfilipski to uczyni, kiedy będzie potrzeba. Dlatego szczerze odezwałem się do pani Anny:

— Niech się pani rozmówi z panem Zygmuntem, ale na dobre. Trochę stanowczości.

— O, ja mu przecie mówię wszystko, tylko cóż on może poradzić? Jedyne, coby mógł, gdyby chciał...

Przerwała i przeszła do innej treści. Stwierdziłem tę maleńką próbę dyplomacji.

— A! mówił mi Fred Zbarazki, że mogłabym zostać aktorką — rzekła dużo weselej.

— Jakież role wybrałaby sobie pani?

— Wszystkie, gdzie potrzeba jako tako wyglądać.

— O tem nie wątpię, że wyglądałaby pani doskonale, ale nie sądzę, żeby to był pomysł szczęśliwy. Położenie pani towarzyskie stałoby się jeszcze trudniejszem.

— O, ja tylko mówię żartem, przecie nie biorę na serjo rad Zbarazkiego. On wiecznie żartuje, czasem nawet zanadto — i żeby nie ta wielka przyjaźń jego z panem Zygmuntem...

Chciała znów przerwać, ale tym razem nie wytrzymała i dokończyła zdanie prędko:

— ... nie przyjmowałabym go wcale.

— A dlaczegóż pani jeździ z nim po mieście?

— Ach, panie — to już tak weszło w zwyczaj, że czego nie wolno z innymi, wolno ze Zbarazkim.

— Ale nie trzeba z nim jeździć, kochana pani, bo z tego powstają plotki.

— Prawda, ma pan rację.

— I nie trzeba stawać przy rogatce Belwederskiej.

— Poznaliście mnie?

— Nietylko my, ale cała Warszawa. Pan Łatacki był pewno także na corso i skombinował, że pani pojechała do Ustronia.

— Chciałam tylko widzieć, kto pojedzie do Ustronia, bo mi Zbarazki mówił, że pan Zygmunt urządza tam obiad... Zrobiłam głupstwo. Żebym to ja mogła zawsze kogoś się poradzić!

Wyczerpałem już wszystko, com umiał i mógł powiedzieć pani Darnowskiej. Biedna kobieta uspokoiła się nieco aż do przyszłego jakiegoś starcia z życiem, które nie zawsze głaszcze, często zaś pokazuje pazury. A Falbanka nie miała do walki z życiem żadnych narzędzi obrończych: ani zębów, ani pazurów. Zęby jej białe, paznogcie różowe nie należały też do rzędu tych fatalnych kobiecych wdzięków, którymi świat podbijała Kleopatra. Przed burzą życiową i przed męską silniejszą wolą, otulała się skrzydłami i mrużyła oczy. Ten sposób obrony nie zawsze i nie wobec wszystkich wystarcza.

Późnym dopiero wieczorem spotkałem Podfilipskiego. Niezmiernie ciekawy byłem wiedzieć, jak się zachował wobec plotek o Ustroniu i zapytałem go o to.

— Zachowałem się rozmaicie — rzekł pan Zygmunt wymijająco. — W tem właśnie sztuka, żeby z każdego zdarzenia, z każdego postawionego kroku wyciągnąć korzyść, a jeżeli krok jaki był fałszywy, sprostować go.

— Ale pan sprostował i fakta?

— Nie wszędzie, bo nie wszędzie zachodziła potrzeba.

— Niechże mi pan to objaśni dla mojej nauki.

— Skoro pan tak mówi i wyzywa moją manię, powiem panu to, czegobym może nie powiedział innym, gdyż nie należy odsłaniać wewnętrznego mechanizmu swych działań.

Przewidziałem zaraz, że powstaną krzyki na naszą wyprawę, a to z powodu nieostrożności Freda, nieostrożności Falbanki, tych niefortunnych tańców i „pechowego“ zbiegu drobnych wypadków. Każdy z nas powiedział coś, inni podpatrzyli szczegóły współczesne, choć nienależące do rzeczy, dodali różne kwasy osobiste, zasady, siano ze swych głów, gotowe zawsze u nas stosy troskliwości o publiczne dobro i znieśli to wszystko do fabryk opinji, niby gałganiarze swoją zdobycz do papierni. Na drugi dzień wieczorem już warsztaty

szły całą siłą pary. Nie zamierzałem ich zatrzymywać, bo to niepodobieństwo, tylko wycofać z nich swoje osobiste rupiecie i papiery. Poszedłem więc do kilku takich fabryk.

Pan musi wiedzieć, że opinja wyrabia się u nas w kilku zakładach na ten cel urządzonych i zaopatrzonych w odpowiednią ilość woźnych, czyli roznosicieli. Wyrób jej nie wszędzie jest jednakowy: produkuje się dla rozmaitych konsumentów; gatunek zastosowany jest do różnych wieków, rozumów i sfer. Trzeba to wszystko znać, aby się orjentować. Więc np. w szanownym salonie Odęckiej opinja wyrabia się szybko, doraźnie, bez wyboru środków, przez samo zamiłowanie baby do tego przemysłu. Tu trzeba było rozpęd machin, o ile można, pohamować — i uczyniłem to.

— Jakże pan tego dopiął, bo próbowałem i ja ale bezskutecznie.

Pan Zygmunt przybrał jeden z tych uśmiechów olimpijskich, które drażnić mogą tylko nie dobrze go znających i nie przekonanych o jego tytułach do wyższości.

— Trzeba to umieć — rzekł. — Odęckiej dałem najprzód do zrozumienia, że jej informacje nie pochodzą z wielkiego świata, ale z gminu. Przeprowadziłem to delikatnie, żeby jej nie obrazić: „Tym szczegółom pani prezydentowa naturalnie wierzyć nie może, bo to nie jest dla nas, nie dla Granowskich,

nie dla Wegdamit-Odęckich, Zbarazkich — to dobre dla ulicy.“ — Rozumie pan? — Poczem dowiodłem, że cały ten obiad byłby osłonięty należytą przyzwoitością i powagą, gdybyśmy mieli pomiędzy sobą szanowną matronę, której obecność usunęłaby możliwość wszelkiej obmowy: „O, gdyby naprzykład pani zechciała z nami być...“ Jednem słowem — zaprosiłem ją na obiad po obiedzie i tak babę ugłaskałem, że ledwo nie pobłogosławiła mnie swym pocałunkiem. Prosiła, żebym do niej wracał jak najczęściej. Zgaduje pan, żem przyrzekł.

— Nie można było zręczniej postąpić — rzekłem uradowany, — ale jak pan sobie poradził z panem Szreńskim?

— To zupełnie co innego. Czy pan u niego był?

— Byłem w pół godziny po panu.

— To zupełnie co innego — powtórzył pan Zygmunt. — Ze starym Szreńskim miałem dyskusję zasadniczą.

— Dobrze, ale z jakiego tonu?.

— Z jakiego tonu? Z jego tonu. Nie przypuszcza pan zapewne, abym ze Szreńskim mówił tak, jak z Odęcką. Nie wdawałem się w szczegóły, wystrzeliłem tylko parę pocisków z jego własnego arsenału, wybierając starannie takie, któreby we mnie nie mogły ugodzić.

— Więc pan ostatecznie dba o sąd Szreńskiego. Bardzo to rozumiem, ale...

— Co to jest: *dbam* o jego sąd? Wyraz nie ścisły. Ja go tylko, tak jak każdy, *potrzebuję*. W naszej mizernej Warszawie człowiek ten należy istotnie do powag moralnych, do naczelnych głów (gdzieindziej mógłby być zamieszany między peruki). Dla samego stanowiska w towarzystwie tutejszem muszę być ceniony przez takiego Szreńskiego. Ja przed nim nie rozwinę całego swego systemu, bo nie zrozumie, nie zechcę mieć wpływu na niego, bo za stary, — chcę tylko, aby w miarę swych ciasnych pojęć, uznawał moją wartość społeczną. Tak, panie. Niech pana to nie dziwi. Ludzi trzeba brać na ich własne słabostki, a brać tylko tych, którzy ci są na razie, albo na dłuższy czas *potrzebni*.

Miałem więc odpowiedź na niektóre wątpliwości tego dnia, ale jeszcze tkwiła we mnie mdłość zasłyszanych plotek i myśl o zgubnym ich wpływie na prawdziwą opinię, która powinnaby opierać się na znajomości ludzi i na istotnych społecznych zasadach.

Kiedym to wyraził Podfilipskiemu, odrzekł:

— O cóż nareszcie i o kogo panu chodzi? O zdanie takiej spróchniałej antyfony do Belzebuba, jak Odęcka, albo zdartej woźnieńskiej podeszwy, jak Łatacki? Przecie nie o nich, ani im podobnych? Więc może o reputację tych pań? Im są piękniejsze, bogatsze i wyżej postawione, tem podstępniej je oszkalują. Zatem chodzi panu o zewnętrzne oznaki szacunku, należne od ogółu tymże paniom? Im są piękniejsze,

bogatsze i wyżej postawione, tem niżej kłaniać się im będą, tem skwapliwiej cisnąć się do ucałowania brzegu ich sukni. Tyle się od ogółu wymaga — ich uczucia nie są nam potrzebne.

Co to jednak za piękna rzecz filozofja! — ten system z gotową na wszystko odpowiedzią, to panaceum na wszystkie zaburzenia wewnętrzne!

Mówiłem dalej do mistrza:

— Tak — jest w tem słodycz i dumna pociecha wynieść się ponad tłum nienawistny — *odi profanum vulgus,* ale skoro w tym tłumie, oprócz Odęckiej i Łatackiego, oprócz nierozumnych, oprócz obojętnych, znajdują się i szanowne i kochane osoby? A prawie wszyscy, z nadzwyczaj małym wyjątkiem umysłów niezależnych i filozoficznych, jak pański, wyrabiają sobie zdanie podług krzyku ulicy, zagłuszającego spokojniejsze sądy, podług niesprawdzonej wieści, przybyłej, Bóg wie, skąd! Nawet taki pan Szreński musi często zdanie swe o ludziach opierać na fałszywych wiadomościach, bo nie może sam wszystkiego sprawdzić, bo zjadliwa plotka i drobna wzajemna nienawiść weszły w krew naszego towarzystwa, gorzej jeszcze — społeczeństwa. I dajmy na to, że mi nie chodzi o zdanie pana Szreńskiego, ani o reputację takiej to pani, takiego tam mężczyzny, ale opinia wogóle, *sąd publiczny* o pojedyńczych ludziach, o grupach ludzi, o towarzystwach, prowin-

cjach, o całych stanach, jak może być trafny z tem naszem usposobieniem?

— Więc pana tak to boli, że się ludzie mylą?

— Naturalnie, że to boli. A przytem — oddychać głupotą — tak ciężko!

— Ja tego nie znajduję. Wiem, że głupota istnieje w powietrzu, oddycham nią od dzieciństwa — i żyję; przerabiam ją nawet w sobie na cenne spostrzeżenia. Co zaś do tego, że inni się mylą — niech się mylą. Owszem, może mi to być także czasem przydatne. Mnie to nie boli.

Pochylił się do mnie, ścisnął mnie za ramię i przyjaźnie rzekł półgłosem:

— Panie Jacku! pan ma jeden błąd, który zaćmiewa wrodzony pański zmysł filozoficzny: pan w gruncie kocha ludzi.

Może i z tego kiedy się wyleczę?

PRZEZNACZENIE FALBANKI.

W kilka tygodni po wyżej przytoczonych scenach i rozmowach przyszedł raz do mnie Podfilipski przed południem. Dzień był jesienny, ponury: zimny deszcz smagał i nie zachęcał wcale do wytknięcia nosa na ulicę zabłoconą i ciemną. Pan Zygmunt był już jednak na nogach i powracał z jakiejś finansowej instytucji, z banku, czy z giełdy.

Tego roku był bardzo zajęty. Porobił wielkie obroty pieniężne, zapewne korzystne, i wyprzedał wszystkie, jakie miał w kraju, nieruchomości na wsi i w mieście. Jest to bowiem dalszy ciąg mych wspomnień ostatniego roku, który pan Zygmunt przepędził w kraju od czerwca aż do końca marca. Choć żył jeszcze parę lat potem, nie wrócił do nas. Oglądałem go już tylko za granicą.

Podfilipski był zarówno warszawianinem, jak paryżaninem. Znano go i ceniono w obu miastach i, mimo, że Francję kochał jak drugą ojczyznę, wracał do Warszawy także z upodobaniem: tu miał grunt, z którego wyrósł i, jako w mniejszem

centrum, więcej stosunkowo zabierał sobą miejsca, większe miał znaczenie. Używał go w znanych już poniekąd czytelnikowi celach cywilizacyjnych. Tylko w ostatnich czasach jakieś zniechęcenie po dłuższym tutaj pobycie, po ciąglejszem tutaj działaniu, którego wyniki wydały mu się może niedostatecznymi, zatrzymało go aż do końca we Francji. Pozostał w krainie światła, z której moralnie pochodził.

Wszedł do mnie zatem pan Zygmunt i odrazu przystąpił do zamierzonego przedmiotu rozmowy:

— Zrobiłem coś dla Falbanki. Wiem, że pan z nią mówił, że się przed panem spowiadała, że jej pan poradził udać się do mnie. Otóż, kiedy pana to zajęło wówczas, może zajmie i ten list.

Wyjął z kieszeni list gotowy do wysłania na pocztę, ale nie zapieczętowany. Przeczytałem adres do pani Tomaszowej Podfilipskiej i tekst następujący:

Kochana Alinko!

Powiesz może, że zbyt ufam wszechstronności mego rozumu i wdaję się w nieswoje rzeczy? Stręczę Ci bowiem nauczycielkę dla Mani i Jadwini, szczególniej dla Mani, która ma już pięć lat i powinna się uczyć obcych języków. Znajduje się tu w Warszawie pani Anna Darnowska, zrujnowana obywatelka, opuszczona przez męża. To są słabe rekomendacje. Ale osobę tę znam oddawna: ma do-

bry charakter, wykształcenie zupełnie odpowiednie sferze towarzyskiej, z której pochodzi — i co najważniejsze: mówi po francusku, jak Francuzka, a po niemiecku, jak Niemka. Gra na fortepianie, haftuje itd. — te talenty sama ocenisz, jeżeli zechcesz ją wyegzaminować.

Bynajmniej Ci jej nie narzucam. Skoro jednak proszony zostałem o pomożenie tej biednej pani, która pozbawiona jest i towarzystwa, i celu w życiu i środków materjalnych, pomyślałem, że nikt lepiej od Ciebie nie potrafi wykonać tego dobrego uczynku. Ja się nie znam na guwernantkach, ale znam się na kobietach: ta mogłaby rozmawiać z dziećmi po francusku, a być także zupełnie przyjemną towarzyszką zimowych wieczorów, a nawet zabaw. Jest to osoba lat 26, ładna i przyzwyczajona do cywilizacji zachodniej. Zdaje mi się jednak, że wymagania jej dzisiaj będą najskromniejsze.

Bądź łaskawa powiedzieć Tomaszowi, aby moje konie kazał przepędzać na trocinach, albo lepiej na torfie, póki nie zamarznięty...

— To są już inne sprawy — rzekł pan Zygmunt — ale co pan na tamto mówi?

Nic na razie nie znalazłem do odpowiedzenia, jak:

— Uda się, albo nie uda...

— E, uda się z pewnością. Tomaszom to wytłómaczę, a Falbance tem łatwiej. I zdaje mi się, że to będzie nieźle. Falbanka będzie miała swe szanowne stanowisko, którego jej się zachciało, a wszyscy oni razem są tak mało skomplikowani ludzie, że żyć będą w najlepszej zgodzie.

— To pan już Falbankę żegna na dobre?

— Och, żegnać, nie żegnam. Przecie z nią nigdy nie mieszkałem. Owszem — zbliżam ją do swej rodziny, daję jej dowód zaufania.

— A ona już wie o tem?

— Nie. Bo, gdyby przypadkiem — czego nie przypuszczam — Tomaszowie nie chcieli jej wziąć, a ja byłbym już jej otworzył tę widownię, znowu zaczęłyby się lamenty, nieutulone płacze. Dlatego proszę w przypisku o odpowiedź telegraficzną, niby z powodu jej projektów. Radbym z tem skończyć, bo przyznam się, że mi już trochę cięży ta opieka. Ja mam mnóstwo interesów, a tu albo list desperacki, albo, gdy przyjdę, jakieś wymówki, czarne spojrzenia w przyszłość. Zresztą, ma ona słuszność: majątek się kończy — no, toby tam była jeszcze najmniejsza rzecz — ale to stanowisko żony bez męża, nie widującej nikogo, oprócz mężczyzn... Ja się nie usuwam od pewnej opieki, jednak rozumiem, że u Tomaszów będzie jej lepiej, spokojniej.

Wtrąciłem nieśmiało zdanie:

— Wszystko byłoby dobrze, ale jeżeli Tomaszowie dowiedzą się?

— O czem?

— Ja sam dobrze nie wiem, o czem — pan to musi wiedzieć.

— Ja tylko wiem, że Falbanka jest najlepszem stworzeniem w świecie. A co do jakichś przesądów o gniazdach rodzinnych i mniej rodzinnych, o stanowiskach wyraźnych lub niewyraźnych — to są frazesy. Wszystkie kobiety są równe, z przekonań o równości ludzi to jedno wyznaję *(c'est la seule de mes convictions égalitaires)*. Przytem Tomaszowie siedzą w zapadłym kraju i nie słyszą warszawskich plotek. A gdyby kiedy co zaszło, to cóż Falbanka na tem straci? Wróci z Cisowa z pewną „aureolą pracy“. Takby to naprzykład powiedział Tomasz.

— Ciekawy jestem bardzo — odrzekłem.

— Ponieważ pana to zajmuje, doniosę o rezultacie.

— Niech pan nie zapomni.

— Ja? — ja nigdy o niczem nie zapominam. Jak jabym podołał wszystkiemu, gdybym nie miał pamięci?

Rzeczywiście, w parę tygodni później rzekł mi pan Zygmunt z miną zadowoloną:

— Przynoszę panu wiadomości o Falbance.

Wszystko w porządku. Otrzymałem najprzód telegram, żeby ją przysłać na oględziny. Poszedłem więc do niej i przybrałem postać uroczystą. Ona się trochę mnie boi, mam nawet na nią, zdaje mi się, pewien wpływ magnetyczny. Więc, patrząc jej prosto w oczy, mówiłem:

— Falbanko! Dawno już zajmuje mnie troska o twoje stanowisko towarzyskie, i przekładam twoje dobro nawet nad przyjemność częstego widzenia się z tobą. Tu, w Warszawie, pozycja twoja jest dwuznaczna i t. d. i t. d. — powiedziałem, o co chodzi. Zgodziła się natychmiast. Zapytała:

— A czy dziewczynki ładne?

— Ładne.

— Jak to dobrze!

Zaczęła się potem zajmować swem nowem powołaniem:

— Ja przecie nic nie umiem, niczego nie potrafię nauczyć.

— Będziesz mówiła po francusku, po niemiecku — to umiesz przecie.

Jednak zakupiła cały kufer książek: gramatyk, katechizmów, wzorów kaligrafji. A potem — jeszcze jeden rys zabawny, któregom nawet po niej się nie spodziewał: zmieniła sposób czesania się. Odejmuje to oryginalności jej typowi, ale za to wygląda na lat 20. Wzięła ze sobą najskromniejsze suknie. Jednem słowem — bawi się w nauczycielkę. To takie

dziecko! Dawno nie widziałem jej tak zajętej i pracującej swym ptasim móżdżkiem.

Potem wielkie dla mnie wdzięczności, pożegnania, do widzenia — i pojechała. Jest tam już od dziesięciu dni — a ma pan tu list Tomasza, który dziś otrzymałem.

Kochany Zygmuncie!

Zawsze wiedziałem, że jesteś uniwersalny, ale twoje talenty pedagogiczne nie były mi dotychczas znane. Dowiodłeś ich, przysyłając nam panią Darnowską, za którą wszycy Ci dziękujemy. Zgadujesz łatwo, że mnie odrazu się podobała, bo wygląda, jak osierocony elf. Ale kobiety mają czasem sympatje dla sierot, a dla elfów — żadnych; więc Alince wydała się załadną. Po pierwszym obiedzie, przy którym pani Darnowska ledwo się ośmieliła, na moje kategoryczne żądanie, przyznać, że wiejska pieczeń twardsza jest od warszawskiej, — Alinka wzięła ją na zasadniczą konwersację, w której przedstawiła wieś jako klasztor, pełen ciszy, szmerów modlitwy, a pozbawiony wszelkiej pozłoty (vulgo: rubli). Pani Darnowska zgadzała się na wszystko, jak na łaskę, a na zakończenie — bac Alinkę w rękę! To chociaż oryginalne, ale ją ujęło, bo wjdać, że już całe „obywatelstwo“ wywietrzało tej pani z głowy, a jest poprostu biedną istotą, która chwyta się materjalnego i moralnego sposobu do życia.

Teraz oswoiła się z nami i wygląda uradowana. Dziewczynki bawią ją, jak lalki. Ubiera je, rozbiera swemi wypieszczonemi łapkami i tak zręcznie — a jednak nigdy dzieci nie miała. Mania woła na nią „Anka“, ale ona chce sobie dodać powagi i surowo zabrania tak się nazywać. Zresztą bawi dzieci ogromnie, i z ich pokoju słychać cały dzień nowe dźwięki francuskie.

Ale ile ona ma lat? Pisałeś, że 26, a to takie młode i dziecinne, że nikt ze służby nie chce mówić „pani“, tylko panna Darnowska. Także się za to gniewa, tylko jeżeli ją znasz, to wiesz, jak ona się gniewa: „O, proszę bardzo, niech Walenty tak mnie nie nazywa!“ Stary Walenty już się w niej kocha, bo ją traktuje, jak osobę z rodziny, czyli z należną ironją: „Jakieś to takie filigranowe, proszę pana — mówi do mnie — to na półkę postawić; ale niema co gadać — swojego zajęcia patrzy.“

Poważniej trochę mówiąc, wydaje mi się bardzo dobrze wychowaną, ale oczywiście nie może mieć pojęcia o jakiejś naukowej metodzie. Przywiozła ze sobą kilkadziesiąt tomów; widocznie musiał jej księgarz wpakować wszystko, co miał, z książek elementarnych. Chciałem jej zwrócić pieniądze, ale mi odpowiedziała: „Nie, to moje książki.“ — „Więc niechże pani zatrzyma z nich te a te, a resztę ja odeślę księgarzowi na mój rachunek; są nierozcięte i zupełnie nam niepotrzebne, więc je księgarz weźmie w zamian za kilka dzieł, których ja potrzebuję.“ — „Jaki pan

dobry!“ Masz zupełnie wrażenie, że ci ktoś oddał na wychowanie czy przechowanie dorosłą córkę, tylko się trzymać trzeba, żeby ją nie pogładzić po włosach, albo nie pocałować w czoło na dobranoc. Słowem — jesteśmy, jak widzisz, z panią Darnowską już w najlepszej komitywie.

Konie twoje chodzą po trocinach i po torfie...

Był to list Tomasza, odpowiadający na list Zygmunta do pani Aliny, która odpowiedź swą osobistą zatelegrafowała.

— Tak — dodał pan Zygmunt — opis Tomasza przypomina mi ją taką, jaką była temu lat cztery, kiedym zaczął częściej ją widywać. Póki ma głowę wolną od wszelkiej myśli, jest bardzo miła: śpiewa, biega, cieszy się, że żyje — a że przytem naprawdę ładna, całość nic nie pozostawia do życzenia: *bonne, belle et bête*, kłasyczna. W tej kondycji powinnoby się zawsze utrzymywać kobiety. Ale trudno znowu codzień zajmować się kobietą. Ja naprzykład zaniedbałem trochę jej wychowanie w ostatnich czasach, i naturalnie zaraz chimery, aspiracje, żale — cała niepotrzebna, bo źle wykonana, praca mózgowa. Stawała się zupełnie nudną. Teraz znowu dali jej zabawkę: parę lalek, iluzję, że spełnia jakieś obowiązki — i wszystko dobrze: znowu śpiewa i cieszy się, że żyje. Ciekawym jednak ją zobaczyć po tej kuracji w Cisowie.

— Kuracja — rzekłem — przejdzie, mam nadzieję, w stały sposób życia. Cóż ona ma lepszego i uczciwszego do roboty? Chyba że zatęskni do podróży, do ruchu, do zbytku, no i do opiekuna?

— Może i zatęskni? — odezwał się pan Zygmunt głosem nie tak stanowczo dźwięcznym, jak zwykle, zapatrzony przez chwilę w próżnię.

Czyżby i on? — pomyślałem sobie — czyżby ten stoik, przyzwyczajony do regulowania życia według zasad, ostatecznie wyrobionych, nie żałujący nigdy postawionego raz kroku — mógł tęsknić?

Posądzenie moje nabrało jeszcze więcej prawdopodobieństwa, gdy pan Zygmunt odetchnął głęboko, wyprostował wyniosłą postać, nadął policzki i, chociaż nie palił cygara, wypuścił z ust niby kłęby niewidzialnego dymu...

Tak — było to westchnienie.

WĘDRÓWKA PO ŚWIATACH.

Tymczasem życie warszawskie płynęło, szumiąc i pieniąc się, to jest: gdy szumieli jedni, pienili się drudzy, gdy zaś drudzy szumieli, pienili się pierwsi.

Po wyścigach zabawy wielkoświatowe ustały w mieście, a przeniosły się gdzieindziej, do lasów i na pola, — nadszedł bowiem czas polowań. Pozostała jednak w Warszawie znaczna ilość osób niepolujących, a między temi wiele żon, opuszczonych przez mężów myśliwych, w sposób klasyczny, o którym mówi Horacy:

Manet sub Jove frigido
Venator tenerae coniugis immemor...

W mieście epoka umizgów i obiadów.

Pan Zygmunt, który podówczas miał lat czterdzieści i parę, skłaniał się już bardziej do rozkoszy stołu. Lubił i umiał jeść. Zapraszano go też chętnie, bo był wzorowym towarzyszem biesiady. Czy kto

dawał obiad dla wielkiej jakiej figury i potrzebował zapełnić dwunaste krzesło, czy kto pragnął mieć *un causeur* w składzie gości, nie zapowiadającym wielkiego ożywienia, czy kto poprostu chciał u siebie zebrać na obiedzie wesołe kółko, prosił Podfilipskiego. Nigdy pan Zygmunt nie zawiódł pokładanych w nim nadziei.

Nie znaczy to jednak, aby przyjmował wszystkie zaproszenia: nie mógłby nawet, bo go sobie wyrywano. W przyjmowaniu zaś obiadów kierował się tą samą taktyką, co przy ukłonach. W pierszym rzędzie stawiał obiady w „swojej sferze“, do których zaliczał Granowskich, Kostków, Zbarazkich; w drugim — domy, odznaczające się wyborną kuchnia, ale mniej starożytnemi familijnemi srebrami; w trzecim — uczty obowiązkowe, składkowe, okolicznościowe i t. p. Oczywiście te kategorje główne rozpadały się na liczne poddziały, do których Podfilipski stosował z właściwą sobie pewnością oka i smaku różne subtelności, wyrażone przez sposób jedzenia i zachowania się przy stole. Pozostawał jednak zawsze doskonale wychowanym.

Z powodu, że Podfilipski zawsze do kogoś był proszony na obiad, powiedział mi jeden naiwny obserwator, że pan Zygmunt jest „pieczeniarzem“. Rozśmieszyło mnie to niepospolicie i, spotkawszy pana Zygmunta, powtórzyłem mu bezimiennie to o nim spostrzeżenie. Taką otrzymałem odpowiedź;

— Widzi pan, ja zostałbym pieczeniarzem, gdyby pojęcie samo było nowożytne. Ale wolę oddawać obiady, lub płacić za nie innemi grzecznościami, bo rozumuję tak: Marka, kórą rzucam przed rozpoczęciem gry do puli, kosztuje 25 rubli, przedstawia zatem wartość jakich dziesięciu pieczeni, albo dziesięciu obiadów. Jeżeli marka ta służy mi za monetę zdawkową, to jej dziesiąta część, czyli pieczeń, cóż dla mnie jest warta? To samo, co poddział grosza, istniejący tylko idealnie.

— Co innego — jeżeli kto chce nazywać „pieczenią“ wartość towarzyską, pewnego domu lub sfery, a „pieczeniarzem“ tego, który sobie zyskał popyt i uznanie w tym domu i w tej sferze, — wtedy zgadzam się na tytuł pieczeniarza. Zresztą chcąc mnie sądzić, trzeba się trochę namyśleć nad sensem życia — i nade mną.

A życie płynęło ciągle, szumiąc i pieniąc się, u naszych stóp.

Chociaż część towarzystwa, myśliwi, wynieśli się z miasta, pozostało jeszcze w Warszawie dużo ludzi. Nie sam bowiem „wielki świat“ wypełnia Warszawę: owszem są w niej, z pominięciem proletarjatu i klas roboczych, różne inne światy, nawet „większe“, jeżeli mowa o liczbie, albo o wyobrażeniu, jakie każdy świat ma o sobie.

Wiedział i pan Zygmunt o istnieniu tych światów i zstępował do nich już to dla rozrywki i odświeżenia mózgu nowością wrażeń, już to dla obowiązku promieniowania, do którego wszędzie się poczuwał.

W gronie szlachty wiejskiej widzieliśmy go już na chwilę. Spotykał się z nią często, — ostatecznie nawet wszędzie, liczył pomiędzy nią krewnych, sąsiadów i odwiecznych znajomych, ale nie dzielił ich życia, ani zwyczajów. Jeżeli rozgraniczenie między arystokracją a szlachtą nie istniało u nas w zasadzie nigdy, tem bardziej trudno dopatrzyć linji demarkacyjnej między Podfilipskimi, a resztą szlachty. Jednak różnica wewnętrzna jest niezmierna. Najprzód — pan Zygmunt był z dogasającego rodu, który słynął już w początkach XVI-go wieku, jako senatorski „starodawny i znaczny".

— Nazwisko nasze miało epoki rozkwitu, powtarzające się co wiek, co dwa wieki — niby kwiat agawy, który wystrzela w niebo podobno co sto lat. Ta wysoka łodyga — dodawał, drwiąc ze swej dużej postawy — boję się, że będzie ostatnią. Bywaliśmy często niezadowoleni z panujących przesądów, było pomiędzy nami dużo malkontentów. Mając zawsze w poszanowaniu pewną swą indywidualną odrębność, trzymaliśmy się często na uboczu od spraw publicznych.

W tem właśnie trzymaniu się na uboczu upatruję główną różnicę Podfilipskich od zwykłej szlachty.

Nie znam ascendentów pana Zygmunta, przypuszczając jednak pewne ich podobieństwo z nim, zgaduję, że byli to ci, którzy w wieku XV-ym i XVI-ym stoczyli zwycięską walkę z miastami i pognębili ten rozrastający się niebezpieczny element; ci, którzy, uważając, jak pan Zygmunt, społeczeństwo za zbiór wybitnych indywiduów, wprowadzili elekcję i wszechwładztwo szlacheckich sejmów: ci, którzy zasnęli potem na jakie sto lat, nie podzielali zapału do reform wewnętrznych XVIII-go wieku, a obudzili się dzisiaj dopiero ze swym nowym programem cywilizacyjnym, wcielonym w wymowną postać pana Zygmunta.

Tak — rasa ta historyczna, odrębna posiadająca odwieczne znaczenie.

Tyle, co do tytułów. Co zaś do osobistego usposobienia, pan Zygmunt różnił się od wiejskiej szlachty w zapatrywaniach, zwyczajach, sympatjach — we wszystkiem. Ani tak, jak ona, wyglądał, ani żył, ani myślał. Dostatecznie go już zna czytelnik, aby sam to sobie uprzytomnił. Oczywiście zatem Podfilipski, mimo, że działał i w kołach wiejskiej szlachty, nauczając ją i karcąc, garnął się z upodobania do sfer wyższych.

Sferą jego właściwą było zatem tak zwane warszawskie „towarzystwo“, gdzie przeważa rodzaj jemu podobny, gdzie zresztą, niby w rozszerzonej arce Noego, znajduje się każdego rodzaju po kilka lub kilkanaście par. Tu mógł pan Zygmunt wywierać

wpływ swój filozoficzno-moralny na wszystkie sfery naraz, których wybitne indywidua zbiegły się przypadkowo do tej stolicznej „gentry“.

Nie omijał jednak sposobności nawiedzania innych „światów“ w ich prawdziwych siedliskach.

Zaglądał naprzykład do salonów najbogatszych przemysłowców i właścicieli fabryk, czy dlatego, że za młodu oddawał się podobno studjom socjologicznym i chciał zbadać obecny stosunek chlebodawcy do robotnika, czy dla innych jakich względów. Kiedym go tam spotkał po raz pierwszy, uderzyła mnie odmienna jego postawa. Rozprawiał niewiele, czasem rzucił zdanie jakie z Proudhon'a, Lassalle'a, Marx'a, ale w dyskusjach fachowych, praktycznych, mały brał udział. Milczał i chował swe promienie. Chyba, że poruszano sprawy czysto finansowe, giełdowe: wtedy mieszał się do rozmowy, jednak nie w charakterze mistrza, lecz pojętnego słuchacza. Wątpię, aby złoto, błyszczące w mieszkaniach, w doświadczeniach i w rozmowach tych panów, imponowało Podfilipskiemu. Cenił może wartość ich wielkich warsztatów dla zarobku i dobrobytu klas biednych? Szanował może ich ogromną pracowitość osobistą, ich coraz rosnące zajęcie się szerszą sprawą ogólną?... Wątpię również, — bo pan Zygmunt mawiał o nich, jako o „nie naszych“, miał też pewne uprzedzenia rasowe, stosujące się wprawdzie głównie do indywiduów mniej bogatych. Nie miał tam także wiele do roboty

ze swą misją cywilizacyjną; sfery te bowiem są bardzo podóbne do odpowiednich sfer za granicą, często świeżo z zagranicy przybyły, — a jeżeli osiadły tutaj dawniej i połączyły się już ściślej ze społeczeństwem miejscowem, nie zatraciły swych zalet, rzec można importowanych. Pan Zygmunt bywał więc tam widocznie dla swych interesów osobistych. Może też chciał znać te warstwy na wszelki wypadek, na wypadek jakiegoś szerszego działania, jakichś wyjątkowych okoliczności?

Nie można przewidzieć, coby był uczynił Zygmunt Podfilipski, gdyby żył dłużej.

Zstępował też czasem do grona ludzi, pracujących głową, literatów, artystów, prawników, lekarzy — i siał między nimi dyskretnie ziarnka swej filozofji. Nie ukazywał się jednak w pełnym blasku i chwale: olśniewać nie chciał, sądząc, że jeszcze zawcześnie, aby mógł być zupełnie zrozumiany. Czasem, nieznacznie, objawił się kilku uczniom, rzucił parę świateł, powiedział jaką przypowieść. Apostoł był w tych krajach, ale ich nie nawrócił; pozostawił tylko po sobie brzask jakiś — głuchą wieść — legendę. Był tam, nauczał... ale kiedy i o czem? — zapomniano. Wiedzą tylko, że był.

Taki jeden wieczór pamiętam z owego roku około Bożego Narodzenia. Podfilipski oświadczył

mi, że musi pójść na ucztę jubileuszową pana ***, gdzie ma być licznie zebrana „inteligencja“, przeważnie zaś literaci, jako koledzy jubilata. Twierdził, że go „bardzo o to proszono“.

BIESIADA.

Sala była oświetlona rzęsiście, stoły zastawione w podkowę. Roiły się fraki, dobrze i źle skrojone, białe krawaty poprawne i dziwaczne, czupryny modnie wystrzyżone i fantastyczne. Uderzała każdego kto wchodził, wielka liczba okularów. Były starożytne okulary, spoczywające na wielkich szarych twarzach, były i złote *pince-nez* pretensjonalne i przenikliwe, silne szkiełka z niewidzialną oprawą i wyzywające monokle. Wierzchni ten pozór zacierał się po wejściu w tłum i przypatrzeniu się twarzom; każda z nich miała swe piętno odrębne, zwykle nerwowe, rzadko pospolite. Nie było dwóch równych Ajaksów w tem zebraniu; przechadzały się same Agamemnony, Nestory, Achillesy, — jedni do bogów podobni, drudzy bardziej do ludzi.

Około poważnych wiekiem lub zasługą skupiały się stojące grupy. Nie wszyscy znali się pomiędzy sobą; przedstawiali się często jedni drugim. Po sali krążyły też postacie luźne i nieznane nikomu, przysłuchując się od czasu do czasu rozmowom.

Wpadł mi w oko jeden pan o ciężkim chodzie‘ ubrany w czarny sukienny surdut i biały krawat. Chodził, pochylając barczystą postawę, jedną ręką trzymał się za długą, wązką brodę, puszczoną tylko od podbródka; wygolone policzki miał kościste, oczy głęboko osadzone, czarne i świdrujące. Musiał tu przybyć z Mińska albo z Szawel; wiało nawet od niego dalszym wschodem.

Uczta jubileuszowa naznaczona była na godzinę dziewiątą, ale dochodziła już dziesiąta, a jubilat jeszcze się nie zjawił. Pewien szmer u wejścia zwrócił moją uwagę. Nie, to nie jubilat, to pan Zygmunt Podfilipski. Wszedł bez pretensji, prostując tylko okazałą postać — i rozjaśniło się jeszcze bardziej w sali od jego świeżego gorsu i zadowolonego uśmiechu. Widać było, że czuł się najlepiej ubranym z całego towarzystwa; odbijał od niego czarnym połyskiem sukna, świetnością bielizny i jedwabiem włosów. Zawsze był pięknym mężczyzną i typ swój wystudjował dobrze co do ubrania i postawy. Wywarł na niektórych wrażenie; kilku nowożytniejszych podeszło do niego z serdecznymi uściskami dłoni i z pytaniami, co się dzieje w Paryżu. Chociaż pan Zygmunt i nie wracał z Paryża, pytano go zwykle, co tam słychać nad Sekwaną.

Gdy mnie spostrzegł, zaproponował mi sąsiedztwo przy kolacji, upatrzywszy sobie wygodny kąt sali przy załamaniu zewnętrznem stołów, skąd widać było

i słychać dobrze. Zaprosił też do tego kąta paru przyjaciół, należących lewą ręką do literatury, prawą zaś do europejskiej *haute bohème*.

W pięć minut później szmer urósł i ucichł nagle. Przeze drzwi szeroko otwarte, śród szpaleru pochylonych głów i wyciągniętych dłoni, wchodził biedny jubilat, blady, jak chusta, ściskany, ściskający, chory ze wzruszenia, oparty na dwóch omszałych karjatydach naszego piśmiennictwa.

Zaczem wszyscy siedli, i my zajęliśmy umówione miejsca. Naprzeciwko nas, po chwili wahania, zasiadł ów chudy, barczysty Litwin i, przeżegnawszy się, zaatakował poważnie przekąski. Wyglądał dziwacznie w źle zrobionym, starożytnym surducie, wobec wytwornej postaci pana Zygmunta i prawie równie strojnych, choć nieco pospoliciej wymuskanych, dwóch „nowożytnych“ najlepszego gatunku. Ten kąt sali był jakby oprawiony w ateński portyk: opodal szemrał lud rozliczny, a u samego progu siedział barbarzyniec i pasł się.

Mimo, że zebranie było bardzo różnorodne, że ludzie, siedzący obok siebie, często się nie znali, powstał odrazu gwar elektryczny, przejmujący wszystkich wesołym, intelektualnym prądem. Prawie całe to grono ludzi składało się z pracujących mózgiem i nerwami. Oczekiwanie mów i toastów podniecało też ciekawość.

Jeszcze nie skończone pierwszej potrawy, gdy brzęk noża o szkło i lekkie sykanie oznajmiło pierwszą mowę. Był to głos najbliższego przyjaciela i współzawodnika jubilata.

Mówca, który sam pisał powieści, dotknął zlekka kilku pełnych wdzięku prób powieściowych jubilata, z czasów, gdy obaj — on, nieco starszy, mówca zaś młodszy — rozpoczynali trudny i niewdzięczny zawód powieściopisarski w łamach niezapomnianej pamięci dziennika X. Poruszył potem kwestję zasad krytyki literackiej, której jubilat oddał znakomite usługi. Położył następnie nacisk na wybitny jego talent dramatyczny, uwieńczony tylu szczerymi oklaskami publiczności i tylu konkursowymi wieńcami. Dał wreszcie do zrozumienia, że pozorne braki i nieme struny tej lutni istnieją nie z winy autora, lecz z konieczności, której wszyscy podlegamy. I po kilku ciepłych słowach koleżeńskich, oddając dary i pierścień, zakończył ku ogólnemu zadowoleniu.

— Czy uważacie — odezwał się do nas Podfilipski — że nasza literatura ma pewną klasyczność form i tradycji. Nie znam upartszych klasyków, jak warszawscy literaci.

— Pozwoli hrabia zwrócić sobie uwagę — wmieszał się do rozmowy jeden z nowożytnych, piszący sprawozdania przygodne ze sztuki, — że sam obrządek, w którym uczestniczymy, jest hieratyczny, odwieczny. Styl stosuje się do okoliczno-

ści. W dziedzinach nowych, jak w nowo narodzonej u nas sztuce, bywamy i my nowsi.

— Ale, gdzie tam! — rzekł drugi nowożytny, który zaprzestał pisać, twierdząc, że nie warto — albo trzymamy się najstarożytniejszych wzorów, albo francuskiej mody z ubiegłego sezonu. Dzielimy się na egipcjan i pseudo-paryżan.

Pan Zygmunt uśmiechnął się, rzucając w stronę ostatniego interlokutora wzrokiem porozumienia. Była to najwyższa z jego strony pochwała, której rzadko udzielał.

Tymczasem powstał drugi mówca, z powołania dramaturg.

Nie wdając się w ocenę dramatów jubilata, dotknął zlekka zasłużonych jego powodzeń scenicznych, poruszył kwestję zasług jego na polu krytyki, położył nacisk na świeżość, barwność i niepospolitość pomysłów powieściowych, — i wyraził nadzieję, że jubilat nie poskąpi nam nadal tych prawdziwych rozkoszy estetycznych, które talent jego wysnuwa tak łatwo w formie powieści społecznej i noweli — naturalnie o tyle, o ile warunki, wspomniane przez poprzedniego mówcę, pozwolą mu rozwinąć lotne skrzydła niepodległej wyobraźni. Zakończył ciepłem uznaniem koleżeńskich zalet i rozrzewnił całe zgromadzenie.

— A co? — szepnął Podfilipski — ten mu znów zastosował tę samą receptę, tylko inną w niej podkreślił ingredjencję.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, powstał trzeci mówca. Nie potrzebował dzwonić w szklankę. Skoro tylko ruszył się z miejsca, wszyscy skupili uwagę. Był to jeden z najwytrawniejszych krytyków.

Zaczął mówić cicho i skromnie, szukając słów. Dopiero po chwili ożywił się, niby improwizując. Ton jego mowy różnił się zupełnie od poprzednich. Mówił o tętnach życia, których autor umiał słuchać już to bezpośrednio, już to za pośrednictwem akumulatorów, gromadzących w sobie wszelkie ogólne smaki i niesmaki, wstręty i pragnienia, — owych akumulatorów, gryzących często dymem, ale ożywczych iskrą, jaskrawych światłem.

„Umiał słuchać, dlatego może teraz rozkazywać. Nie przeto, abym radził kochanemu jubilatowi dzielne pióro poświęcić krytyce — nie pozwalam sobie dawać mu żadnych rad — mniemam tylko, że talenty twórcze, samoistne, jak jego niezaprzeczony talent, dają twórcy szczytniejszą rozkosz, niż nam, ptakom małego lotu, zdolnym tylko odczuwać arcydzieła cudze. I teraz, gdyś nam tak wyrósł, że z ucznia stałeś się wzorem, przypomnij, żeśmy cię zawsze, nawet karcąc, kochali; że, zanim stałeś się sam kochanym, już był nam drogi twój talent, i obchodziły nas serdecznie twe dzielne kroki ku sławie, którą dzisiaj posiadłeś. Ta, co cię wypielęgnowała — krytyka — skłania dziś przed tobą głowę.“

Poważnie pochylił głowę siwą, i ta cicha owacja

wywarła ogromne wrażenie. Jubilat zerwał się z miejsca, aby uściskać mówcę, gwar uznania przeszedł w hałas. Już też podawano trzecie z kolei wino.

Podfilipski potakiwał głową, ale w oczach igrało mu przekorne światełko:

— Dobrze mówi ten wasz filar — krytyka jest bardzo potrzebna, tylko chodzi o stanowisko krytyczne. Co tu długo gadać! — istnieją tylko dwa rodzaje krytyki: do filozofji — ścisła, niemiecka, a do literatury — smaczna, francuska. Jaka tam jest krytyka tego pana, o tem nie mówię, bo go prawie nigdy nie czytałem — ale jakiego rodzaju użyć u nas? to pytanie, bo do naszych swojskich płodów nie można prawie zastosować naprzykład krytyki francuskiej, która się już tylko spiera o odcienie, o jakąś szorstkość, pozostałą na artystycznym odlewie, a nie o metal, model i takie pierwotności.

— Brawo, Zygmuncie! — odezwał się modernista, który przestał pisać — gdybyś machnął kiedy jaką krytykę, czytałbym cię z pietyzmem.

— Mój kochany — rzekł Podfilipski, kiwając głową — ja takich krytyk piszę sobie dużo tu — (wskazał na czoło) tylko nie o byle czem, więc też i nie o naszych swojskich powieściach i dramatach. Gdy przypadkiem wezmę do rąk jaką polską powieść, pytam się: gdzie ja jestem? dlaczego nic a nic autorowi nie wierzę? dlaczego nic mnie nie pociąga do osób, ani do myśli? Odpowiadam

sobie na to tak: Najprzód ci panowie i panie (o, pań jest dużo!) nie obserwują osób z wyższych sfer towarzyskich, jeżeli zaś to czynią — tworzą dziwolągi. Ale nie biorą nawet pod obserwację typów z szerszego świata, nie przejmują się żadną ideą ogólniejszą. Zawsze to samo: scenki obyczajowe u chłopów, mieszczan i drobnej szlachty — rzeczy tak lokalne, tak niezajmujące poza granicami jednej prowincji, a czasem parafii, że aż mdło się robi. Tych produktów ani przełknąć, ani wywieźć za granicę. Przecie nikt naprawdę za granicą nas nie czyta.

Zacząłem nieśmiało bronić naszej literatury. Może nie każdy rodzaj podobać się każdemu, ale każdy będzie dobry, gdy go silny talent poprze...

Mówił znowu ktoś na cześć jubilata:

„...W tej powieści i w tym dramacie okazał się prawdziwym artystą. Pod wpływem silnego wrażenia zadumał się nad sensem życia, którem żył, powietrza, którem oddychał, ludzi, których znał — i, samoistnie zauważywszy proste i znaczące słowa, obrazy, sceny, — dał nam je od siebie, nie od kogo, bez zabarwień cudzych, bez francuskich sosów, bez mgieł skandynawskich. Stworzył dzieło trwałe, bo z nas i z siebie samego wysnute“...

— Kto to mówi? — zapytał Podfilipski.

— To jeden młody profesor literatury na uniwersytecie w Bonn, Polak — odpowiedziano mu.

Pan Zygmunt zamyślił się. Słowa młodego mówcy, które przypadkiem wpadły jakby argument w naszą rozmowę, zastanowiły go. Jego giętki umysł lubił czasem sam ze sobą dysputować w milczeniu.

Posłyszeliśmy teraz mowę nieurzędową, którą sąsiad pana Zygmunta z lewej strony wygłosił specjalnie dla naszego kąta.

Umiał on znakomicie naśladować typy i opowiadać. Ruchliwą twarz, starannie uczesaną brodę i włosy ułożył w jednej chwili do niepoznania. Roztargał się, zasępił uroczyście i, czyniąc niby ruch powstania z krzesła, ujął kieliszek, wlepił wzrok w żółty płyn i półgłosem tak prawił dla nas:

— Po tylu i takich, że tak powiem, fenomenalnych głosach mych starszych... kolegów (tu kiwnął się komicznie na krześle) słaby mój organ nie dorówna wielkim trąbom sławy, brzmiącym w tym przybytku na cześć równie głośnego instrumentu jubilata, ani się moje ziarenko miry przyczyni do wielkich kadzielnic wonności (tu kichnął). Słuchając śpiewu kapłanów, olśniony tryumfalnością owacji, stoję w przedsionku i jako celnik, bijąc się w piersi, mówię; Boże, bądź miłościw...

Mówił cicho, monotonnie, z małymi wybuchami głosu.

— Brawo! — zaśmiał się Podfilipski — dalej, dalej — słuchamy cię ze współczuciem.

Tamten, rozweselony powodzeniem i winem, które popijał często, mówił w dalszym ciągu:

— Nie jako dramaturg — Panie, nie jestem godzien! — nie jako powieściopisarz — Panie, zmiłuj się nad nami! — nie jako krytyk — już grzeszyć przestałem, ale jako człowiek, siedzący w drugim rzędzie krzeseł teatralnych, na uboczu prawem, jako czytelnik cierpiący i małej wiary, śmiem drobną moją fletnię wmieszać w waszą orkiestrę. Niby brzęk osy w chórze mamutów, opiewających zasługi ichtyosaura. A ichtyosaurem ty jesteś, czcigodny jubilacie, pośredni między największą z ryb pływających po wodach literackich i najznakomitszy z pomiędzy ssących temata swe z przedpotopowych pierwowzorów!

— Jesteś zupełnie natchniony — wtrącił Podfilipski.

— At, mówi pan i tyle tylko, że mówi...

Spojrzeliśmy wszyscy na miejsce, z którego głos pochodził. Siedział tam ów kościsty Litwin, zwijając ciągle brodę w ręku, zaczerwieniony nieco na wypukłych policzkach.

Mówca wstał z komiczną powagą i rzekł:

— Pozwoli pan, że mu się przedstawię. Jestem Delicki.

Litwin oparł obie pięści na stole i uniósł się trochę z siedzenia:

— Kołczanowicz. -

— Daruje pan — rzekł Delicki — nie liczyłem na szersze audytorjum. Improwizowałem dla przyjaciół.

— Jaż nie przeszkadzam. Przyszedłem tu, żeby słuchać, i posłyszawszy, odezwałem się.

Ale komiczna oracja została przerwana i wesołość ateńskiego kąta na chwilę przygasła.

Tymczasem gwar rósł ciągle. Nie pilnowano już miejsc, zaczęto krążyć po sali, napełnionej dymem tytoniu. Potworzyły się zbite kupki ludzi: poczęto mówić coraz głośniej i szczerzej. Nasza grupa nie rozeszła się i zapomnieliśmy o Kołczanowiczu.

Pan Zygmunt opowiadał teraz o ciekawych zebraniach w pewnym literackim salonie w Paryżu. Wyliczył kilkanaście nazwisk dekadentów i neochrześcijan i piosenkarzy z Montmartres.

— Jakie to wszystko żywe, oryginalne, współczesne! Jaki humor i łatwa orjentacja w najnowszych objawach życia, w ostatnich potrzebach duchowych! To mi zebranie literatów, gdzie ciągle słyszysz rzeczy niespodziewane, masz wytworność, dowcip, zupełny brak przesądów i szkolnych tradycyj. Pamiętasz te nasze wieczory, Delicki?

— Jakżebym o nich miał zapomnieć! Tam się żyło. U nas zaś co innego. Niema wprawdzie ani talentu, ani dowcipu, ani nowożytności — ale jest szkoła. Dość spojrzeć na to zwarte grono, między które zamieszani jesteśmy, jako wolni słuchacze.

Tak są wyszkoleni, że, nim który zacznie mówić, już drudzy wiedzą z góry, co powie, i przygotowani są na odpowiedź. Jest do użytku literatów kilkanaście karabinów i parę grubych dział — i są tarcze, do których się strzela. Skoro trafisz w serce — co nie trudno — wyskakuje z tarczy jakaś formułka lub zasada, jak pajac w strzelnicy i zaczyna bębnić. To jest bardzo dowcipnie urządzone. Ja, którym się tego wszystkiego, co oni mówią i piszą, dawno już nauczył, podyktowałbym przed kolacją wszystkie mowy i byłyby takie, jak je tutaj słyszymy. O — ten naprzykład, co tam siedzi i ma jeszcze mowę na sercu, jeszcze jej z siebie nie wydał, — strzeli zaraz z najgrubszego działa, powie coś o wspólności naszych ideałów i mrugnie na nas, czem sobie zyska ogólne uznanie, to samo, które zyskuje od pięćdziesięciu lat za te same frazesy. Patrzcie — zaczyna mu się pocić łysina. Zaraz wyskoczy z niej Minerwa.

— Powiedz pan sam co nowego, kiedy już tak wszyscy nie mogą — mruknął Kołczanowicz.

— Zdaje mi się, że mówię rzeczy względnie nowe.

— Da stare, panie, jak świat stare. Pan jesteś niezadowolony.

Delicki odpowiedział sucho:

— Rzeczywiście, że nie zupełnie zadowolony.

Nie mogąc się odwrócić tyłem do Kołczanowicza,

bo siedział naprzeciwko, odwrócił się do niego bokiem, mówiąc odtąd wyłącznie do Podfilipskiego.

A pan Zygmunt zebrał teraz rozmowę w garść i prawił:

— Ja wam powiem, moi drodzy — trzeba trochę pobłażliwości dla naszej literatury i literatów. Jak pod każdym względem, tak i tutaj, nie jesteśmy na wysokości Europy.

Rzucił jasnem okiem po sali.

— Oprócz nas tu kilku, przypadkiem razem siedzących, weźmy naprzykład tę salę, w której są prawie wszyscy, którzy piszą u nas. Nie wątpię o zdolności i rozumie niektórych, ale wszyscy *pracują piórem* — tak się to u nas nazywa. Gdzie jest choć jeden, który *bawi* się pisaniem. Nie mówię o dyletantach, ale o autorach niezależnych, żyjących szeroko i patrzących na szeroki świat. Ci wszyscy panowie, patrząc ciągle w podwórza swoich domów, nie mają poprostu o czem pisać. A muszą pisać, bo to ich zawód, ich chleb i pozycja towarzyska. Więc obrabiają zużyte i łatwe tematy, piszą szaro, nie sprawiają żadnej prawie niespodzianki czytelnikowi. A i czytelnik przez to samo, lub też z innych powodów, tak się wyrobił, że nie lubi oryginalności stylu ani pomysłu, boi się nowatorstwa, woli czytać do poduszki, niż rozbudzić się czytaniem. Jest więc błędne koło; lichy czytelnik wytwarza lichego autora i na odwrót.

— Wielką masz rację — rzekł Delicki — trzebaby rozmnożyć czytelników, dla których warto pisać.

— Trudno także pisać po polsku, bo od stu lat mówimy w salonach po francusku. Polski język salonowy nie istnieje prawie. A tylko językiem klas wyższych, zabarwionym jeszcze jakąś indywidualnością stylową, można pisać powieść albo *haute comédie*. A jak mi dadzą powieść, napisaną przez felietonistę, czasem przez reportera — i mam w niej wszystkie niezgrabstwa językowe i stylowe, wszystkie naiwności obserwacji, wszystkie zardzewiałe sprężyny — dziękuję za to.

Podziwiałem często estetyczne poglądy pana Zygmunta. Chociaż literatura była dla niego tylko zabawą i wypoczynkiem, miał o niej nadzwyczaj wyrobione pojęcia. Nie wymieniał zwykle przykładów i nie dowodził poglądów swych na pojedynczych dziełach lub autorach; rzucał raczej szerokie światła. Trudnoby mi zatem było wytłómaczyć w tem wspomnieniu, co myślał Podfilipski o całym szeregu polskich powieści, które nie zdają mi się podpadać pod tę ocenę. Ale same teorje były wymowne, powabne przez swą objętność — i jakieś inne od wszystkich. Po wysłuchaniu nie zawsze nabierałeś przekonania do samej teorji, ale dużo admiracji dla mówcy. Są takie teorje na świecie. Mówisz czasem na podstawie kalendarza humorystycznego, któregoś w całości nie przeczytał, a myślisz wogóle o cywili-

zacji. I teorja nabiera odrazu niezaprzeczonej wyższości i powagi. Podfilipski celował w tej sztuce uogólnień i przy każdej okazji, z którejby pospolity umysł nie skorzystał, on umiał szerzyć światło. Miał posłannictwo, nie zapominał o niem.

Pan Zygmunt, głosząc nam tego dnia smutne prawdy przy biesiadzie, pozostawał ateńczykiem; mówił poważnie i lekko zarazem, jakby te nauki nie kosztowały wysiłku myśli, jakby tylko były mądrym uśmiechem.

Mistrzowi chciał sprostać uczeń, Delicki. Ale mniej wytrawny, podniecony winem, nie uchwycił tonu Podfilipskiego; prawił dziwacznie i szyderczo:

— Pisarzu, pisarzu! o wiele się troszczysz, a jednego ci trzeba: kultury. Zaprawdę powiadam wam, że łatwiej jest wielbłądowi napisać powieść dla bliźnich swoich, niż jednemu z was wejść do królestwa helikońskiego. Tak mówi nie Chrystus, ani Zaratustra, jeno robaczek świętojański pragnie rozświecić trochę ciemności egipskie.

— Da, przestań pan nakoniec! — odezwał się Kołczanowicz ponuro. Co tu mieszać Pismo święte do bredni!

Delicki skrzywił się nerwowo i zaczął:

— Bardzo pana proszę...

Gdy powstał ów mówca, który miał jeszcze, według słusznych przewidywań Delickiego, mowę na sercu.

Był stary, łysy, twarz miał ascetyczną i pogodną. Tylko oczy żyły w tej postaci. Mówił znowu o zasługach jubilata, ale z innego tonu: winszował mu dwudziestopięciolecia nieposzlakowanej służby. Nie dawał mu za nią medalów, ani odznaczeń, bo za spełniony obowiązek ogólny nie nagradza się. Ale zwrócił uwagę na to, że obowiązek w naszych czasach nie jest tak wyraźnie wytknięty, ani łatwy zawsze do wykonania. Trzeba na to serca i sumienia. Te odnajdywał czyste i wzorowe w jubilacie. Zakończył w te słowa:

„... a że wszyscy kochamy to samo, kochajmy się!“

Głos staruszka był trochę drżący, ale sympatyczny i serdecznie nastrojony.

Wszyscy podnieśli szklanki, przesyłając znaki głową i ręką do mówcy, do jubilata i między sobą.

Delicki nie wstał, jak inni, z miejsca. Mrużył oczy i przygotowywał inną przemowę.

Nerwowo ująwszy kieliszek z winem, zwrócił się, siedząc, do Podfilipskiego:

— Przerwijmy nareszcie ten różaniec drewnianych formułek. Wzywam tych, którzy się nie boją myśleć, aby podnieśli ze mną szklanki na cześć kultury. A że nie miejsce może w tem zebraniu, mówię do kilku zaledwie głów. W literaturze i w życiu jesteśmy senną gromadą dobrowolnych skazańców na pospolitość; grzebiemy w przebrzmiałych hasłach, w niedołężnej tradycji, szukając jeszcze jakiej zapom-

manej blaszki, jeszcze jakiejś umarłej perły w tym śmietniku. Precz z tym śmietnikiem, z tą ojcowizną głupstwa i upadku! Zamiast tradycyjnego braterstwa w ślepocie, wnoszę toast...

Tu przerwał, bo naprzeciwko niego, oddzielona tylko przez stół, powstawała postać groźna. Barczysty Litwin wyrastał wolno z krzesła, opierając obie dłonie na stole, trząsł brodą, a straszne oczy wpijał w mówcę. Jak stary cap, wspinający się na pochyłość, rósł coraz wyżej; zdawało się, że wlezie na stół, który trząsł się od nacisku jego potężnych pięści. Aż pochylił czoło, niby od uderzenia rogami i, odrywając wymownie prawą łapę od stołu, zawołał:

— Milcz asan! a to jak zacznę kuć w mor...

Zdumieliśmy się.

Delicki ścisnął nóż, leżący na stole i pobladł.

Wtem ktoś przyskoczył do Kołczanowicza:

— Panie Benedykcie! zmiłuj się, miejże wzgląd na uroczystość dnia i miejsca!

— A w imię Ojca i Syna i Ducha świętego! — przeżegnał się Kołczanowicz i, obróciwszy z miejsca, gwałtownym, ciężkim krokiem podążył ku wyjściu, wymachując rękami.

Zajścia tego nie zauważono powszechnie; gwar je zagłuszył. Tylko my, najbliżej siedzący, zapadliśmy w takie milczenie, z którego nie wiadomo, kędy uciec. Wybawił nas Podfilipski, rzucając nawpół poważnie, nawpół żartem zdanie:

— Oto jest dyskusja...

A zwróciwszy się do Delickiego, któremu twarz drgała nieodgadnionemi poruszeniami, wziął go za łokieć, mówiąc:

— Urządzimy to.

W kwadrans potem pan Zygmunt opuścił nas. Pierwej już wyniósł się Delicki, ale czekał na Podfilipskiego w przedpokoju.

Ja wmieszałem się do innych rozmów.

KATZENJAMMER.

Nazajutrz około południa poszedłem do Podfilipskiego. Zastałem go jeszcze w pantoflach, co mu się rzadko zdarzało. Wstawał wcześnie, szlafrokował niedługo, czytając ranną pocztę i gazety. Przed południem już zwykle coś załatwił lub obmyślił. Według powodzenia ranka nazywał dzień dobrym lub złym. Dziwiłem się, dlaczego nie oceniał dnia według wieczorów, które mu często przynosiły grube zyski z bakarata, a czasem umiarkowaną stratę. Ale on odpowiadał, że to nie poważne zajęcie, tylko furtka, zostawiona dla szczęścia, które przychodzi samo do ludzi silniejszych i rozważnych — należy im się poniekąd. Nad szczęściem i powodzeniem może człowiek panować, jak nad innemi siłami. Trzeba tylko mieć równowagę tu, mawiał, stukając się w czoło.

Dzień, o którym mówię, był zły. Pan Zygmunt nie mógł spać po złej kolacji i złem winie. Wstał późno, miał nieprzyjemne i nieprodukcyjne narady.

Głównym powodem moich odwiedzin była ciekawość, jaki weźmie obrót sprawa Delickiego z Kołczanowiczem. Pan Zygmunt, którego rzadko co dziwiło, tym razem był zdumiony jeszcze od wczorajszego dnia. Skrzyżował ręce na piersiach i mówił:

— Co, panie? ładna sprawa? ładne towarzystwo? Przecie ten dziki, ten tatar, ten somalis siedział tam naprzeciwko nas! przecie musiał znać tych panów, skoro przyszedł ozdobić swym zatłuszczonym surdutem jubileusz! Musiał go ktoś zaprosić, uprzedzić? Rzeczywiście, że to przechodzi ludzkie pojęcie!

— Któż to jest — pytałem — czem się trudni?

— Jest kasjerem na kolei. Należy do *inteligencji*.

— Jakimś przypadkiem wczoraj między nas się zamieszał — uspakajałem pana Zygmunta, który ciągle się zżymał.

Nie widziałem go nigdy w tak podnieconym stanie. Rzucił się ku mnie, trzęsąc obu rękami:

— Ale jak *mógł* tam się zamieszać?! W jakim że kraju coś podobnego mogłoby się zdarzyć? Kuć w mordę? Co to jest kuć w mordę? Czy słyszano gdzie na świecie, aby kto wystąpił z taką propozycją na uroczystem zebraniu?!...

— No — jednak zdarzyło się w parlamencie francuskim — wtrąciłem trochę na przekór.

Podfilipski przeszył mnie wzrokiem:

— Mówmy poważnie, albo nie mówmy o tem wcale.

Cofnąłem swój argument, obracając go w żart, byłem bowiem ciekawy dowiedzieć się, jak sprawa stoi.

— Więc cóż teraz Delicki z nim pocznie?

— To właśnie pytanie — odrzekł Podfilipski spokojniej. — Ładnie się urządził. Żebym go nie znał oddawna i nie opiekował się nim poniekąd, odmówiłbym wręcz pośrednictwa w tej dzikiej awanturze. Delicki jest bardzo zdolnym chłopcem, i widywałem, jak sobie dawał radę w lepszych towarzystwach literackich, niż tutejsze, w Paryżu; widywałem go i w salonach. Wczoraj jednak nie udało mu się. Mówił dobrze, ale jakże można zapoznawać się z taką podejrzaną brodą! Przecie widać po wierzchu, że to nie człowiek, ale zwierzę. Trzeba było odrazu nic nie odpowiadać, ignorować jego obecność, — a ten, myśląc, że go skonfunduje, przedstawia mu się. Palnął głupstwo i ma za swoje. Takich Kołczanowiczów nie trzeba ani widzieć, ani znać, ani z nimi gadać, ani bić się. A gdy się zacznie od prezentacji, jak pomiędzy równymi sobie, można konsekwentnie dojść do najgłupszego w świecie pojedynku. Ale nie! urządzimy to, naprawimy.

Chodził po pokoju, ciągle jeszcze bardzo wzburzony.

— Jednak Delicki musi go przecie zaraz wyzwać? — rzekłem.

Podfilipski odpowiedział:

— Tak. Ciekawym sekundantów. Jeżeli ten Indjanin wybierze sobie dwóch takich samych papuasów za piastunów swego honoru, to będą miłe pertraktacje... Tak, panie — nawet żeby się z kim strzelać, trzeba być z jednej sfery, mieć choćby zbliżone pojęcia.

I rozmowa nasza wzbiła się do wyżyn filozoficznych. Pan Zygmunt nie opuścił nigdy sposobności podyktowania mi jakiego rozdziału niniejszej książki, jakby ją przewidywał w niedalekiej przyszłości.

— Między nami mówiąc — pojęcia o honorze są konwencjonalne, nielogiczne, jak wszystkie inne podstawy naszych społeczeństw i towarzystw, ale obowiązują ściślej, niż inne. Są główną ochroną rzeczy wcale nie błahej: form towarzyskich, a także gwarantują wyłącznie prawo do poszanowania, które każdy członek pewnej sfery posiada.

Zacytowałem tu panu Zygmuntowi zdanie w formie przypowieści, pochodzące jeszcze z „puławskich“ czasów:

„Pan Bóg stworzył cnotę i wino, a ludzie zrobili honor i piwo.“

— To zabawne — odpowiedział Podfilipski — ale filozoficznie fałszywe, bo ludzie zrobili i cnotę,

i honor. Tamta zawiera przepisy do jednego użytku, ten znów do innego. Honor jest przeznaczony wyłącznie dla wyższych warstw społeczeństwa, które potrzebują pewnych pozorów zewnętrznych wspólnych, aby się po nich rozpoznać, na mocy ich wchodzić ze sobą w stosunki i t. d. Cnota? co nas właściwie obchodzi cnota? Jest to denominacja, której znaczenie tak się od wieków zmieniło, że niema już nawet filozoficznej wartości. Honor — co innego. Ten istnieje, bo obowiązuje nas wszystkich i to pod rygorem usunięcia z towarzystwa, w którem się obracamy. Nie ubliżę wcale temu pojęciu, gdy powiem, że jest współrzędne z takimi przepisami, jak ubiór, forma przywitania, forma przemawiania. Są to wszystko paragrafy jednego kodeksu, zatytułowanego: umiejętność życia, a lepiej po francusku: *savoir vivre*. Wszelkie więc sprawy honorowe podpadają pod ten kodeks. Poróżnione osoby, gdy obie są temuż kodeksowi podległe, mogą na jego podstawie sprawę swą załatwić. Inaczej, gdy strony należą do zupełnie innych sfer i pojęć towarzyskich, załatwienie sprawy stać się może tak trudnem, jak stosunki dyplomatyczne gabinetu europejskiego z namiotami dzikich hord.

Ta teorja nie trafiła mi na razie do przekonania. Wyraziłem swoje wątpliwości, mówiąc, że uważam honor za uczucie wrodzone — nie przepisy pojedynkowe specjalnie, ale samo poczucie godno-

ści osobistej z jednej strony, a z drugiej — pewnych obowiązków względem siebie i innych. Nawet myślałem często, że honor nie różni się od cnoty, że jest z niej niby wyciągiem do codziennego użytku; przynajmniej to, co w honorze jest wspólne wszystkim uczciwym ludziom, zdaje się należeć do dziedziny cnoty.

— Przepraszam, to się tylko tak zdaje — odparł Podfilipski. — Primo — nie wierzę w uczucia wrodzone. Powtóre — to, co pan nazywa „wspólne wszystkim uczciwym ludziom“, to właśnie są bieżące i obowiązujące przepisy honoru, które pan wciągnął w siebie przez wychowanie domowe, — a to, co pan odłącza poniekąd, jak naprzykład przepisy pojedynkowe, to dalsze paragrafy, o których pan dowiedział się w szkole, na uniwersytecie. Następują jeszcze inne, nabyte przez dalszą edukację, przez życie i stosunki z ludźmi. Kodeks nie zawiera ich wszystkich. Są subtelności, zastosowania trudne, które rozwija sobie każdy sam dla siebie, a im lepszym jest prawoznawcą, czy życioznawcą, tem lepiej te nabyte zasady układa w system, im lepszym adwokatem, tem bardziej go wyzyska na korzyść swego klienta. A klientem tym jest on sam; każdy siebie broni nietylko od napaści, ale od egoizmu i interesów cudzych.

— Kiedy pan tak mówi — odezwałem się — widzę niby las, pełen zasadzek, w którym jedni po-

lują na drugich i strzelają do siebie, ukryci za drzewa. Czyż niema innych stosunków między ludźmi, jak starcie egoizmów i zawodowa nienawiść?

Odrzekł mi Podfilipski:

— Pierwotny las zamienił się na miasta i kraje, ale rasa zwierząt, do której należymy, pozostała tą samą. Polujemy na siebie, zabijamy się i pożeramy nawzajem. Cnota, piękno, miłość, honor (w znaczeniu tem, które pan podniósł) są to fikcje nie bezużyteczne, bo grają swoje role w historji obłędu świata, ale nie-ist-nie-ją-ce. Jedna rzecz istnieje — to walka człowieka z człowiekiem, nietylko o byt, ale o rozkosz życia. Świat dzieli się na pożerających i pożeranych. Rozumie się, że każdy ciśnie się do pierwszej kategorji, i ludziom rozumnym udaje się to — stają się pożerającymi względem wielkiej liczby tych istot, które, jakby przez ironję, nazywamy „bliźnimi“. Wszystkie teorje, oparte na miłości, są mrzonkami, a mają kurs dlatego, że łagodzą pierwotną i wieczną walkę. Walka ta bowiem znacznie się przekształciła od przedpotopowych czasów. Nie polujemy na siebie otwarcie, bo nie jadamy się nawzajem, nie wyrywamy sobie leśnych owoców i zwierzyny, tylko pieniądze, wszechmocne pieniądze. Ustanowiliśmy też różne konwencje ku wzajemnej wygodzie, jak państwa, kościoły, kodeksy prawne i moralne. Ogłosiliśmy różne ideje społeczne, humanitarne, religijne, honorowe. To dla tłumu, dla niewiedzących, czem jest życie; to dla osło-

nięcia walki, która stała się skomplikowaną, grzeczną, płynącą pod powierzchnią życia, jak krew pod skórą.

Ale są tacy, którzy wiedzą, czem jest życie. I byli zawsze tacy. Gdyby nawet wymarli wszyscy, wybiją się z tłumu nowi, którzy własnym rozumem dojdą do treści życia. Są to jednostki, patrzące z uśmiechem dumy, ale i pogardy na stado, które pędzą i rżną. Dlatego zawsze społeczeństwa były i będą rządzone przez niewielką ilość ludzi silnych i rozumiejących. A rządzić — to nie jest pełnić funkcję prefekta departamentu lub prezesa sądu, lecz utrzymać się własną potęgą na stanowisku naczelnem, mieć w ręku wszystkie sposoby i środki użycia.

Wstał od biurka, przy którem siedział, i przeciągnął silne ramiona, zaciskając pięście. Wydał mi się istotnie potężnym — on i jego system. Nie zdobyłem się jednak wówczas na inny wyraz podziwu, jak te proste słowa:

— W tem, co pan mówi, jest wiele prawdy.

— Jest cała prawda — odpowiedział — schowaj ją pan dla siebie, a ogłoś chyba po mojej śmierci.

Niniejszem czynię zadość życzeniom nieboszczyka.

Wróciliśmy jeszcze do rozmowy o wczorajszem zajściu. Zdaniem Podfilipskiego byłoby śmiesznością dla Delickiego strzelać się z Kołczanowiczem. O co? o śmiałość i nowość poglądów z jednej strony, a barbarzyński obskurantyzm z drugiej? Miasto

gotoweby jeszcze ułożyć po swojemu to zajście i wykierować Kołczanowicza na bohatera, na obrońcę ideałów...

— Nie, do tego nie dopuszczę — to zbyt głupie. Dowiemy się najprzód o nim różnych okoliczności, zwołamy może sąd honorowy... Już, jak ja dobrze pomyślę, potrafimy go się pozbyć.

— Jakto, pozbyć? — zapytałem zdziwiony.

Pan Zygmunt parsknął śmiechem:

— Niech się pan przyzna, że pomyślał o sztylecie, o truciźnie — co?

— Nie, ale nie rozumiem.

— Urządzimy to — zakończył Podfilipski.

Nie mogłem prosić o dalsze tłómaczenie, nie będąc upoważniony przez nikogo do badania, ani prowadzenia sprawy. Zauważyłem tylko, że pan Zygmunt brał to zajście do serca, zapewne przez przyjaźń dla Delickiego, a może trochę i dlatego, że sam zamieszany był nie do awantury, ale do dyskusji, której ton nadawał.

Jednak wymowna pogróżka Kołczanowicza skierowana była wyłącznie do Delickiego.

HAUTE SAISON.

Zabawy karnawałowe tego roku były liczne, świetne i ochocze.

Młodzieniec przyjezdny, dobry tancerz i znający kilkanaście osób z towarzystwa, stawał się przedmiotem tak poszukiwanym, że nabierał zupełnego przeświadczenia o swej niezbędności społecznej i zaczynał już w niektórych domach bywać z łaski. Nietylko zdarł cztery pary lakierków i znosił dwa fraki, czarny i czerwony, ale sam się zmachał, przybladł. Nabrał za to dużo poloru, nauczył się kilkudziesięciu nowych słów w kilku językach, przestudjował swój typ w zwierciadłach i zastosował do tego typu jeden ze znanych arcywzorów, — ten lorda angielskiego, tamten — wiedeńskiego fiakra. Ci, dla których wymienione typy nie były dostępne (nie można bowiem naśladować podług fotografji), wzorowali się na miejscowych — to na Granowskim, to na Kostce. Repliki tych dwóch ostatnich zdarzały się najczęściej, tak dalece, że jeżeli kto miał krótki wzrok i wszedł do

salonu między grupę czarnych fraków, widział ciągle to Kostkę, to Granowskiego.

Nietylko jednak tańcująca młodzież dzieliła się na dwa te obozy: prawdziwi Granowscy poróżnieni byli z rzeczywistymi Kostkami. Dlaczego? — niewiadomo. Oba domy były trochę spokrewnione, oba były głównemi ogniskami życia towarzyskiego w sezonie, o którym mówię — Granowscy już dawniej, Kostkowie zaś tylko od jesieni, ale, ponieważ byli bardzo bogaci i bardzo gościnni, stanęli odrazu na współrzędnem stanowisku z Granowskimi. Zatem powstało może jakieś współzawodnictwo o pierwsze miejsce? Gdzie tam! Jedni korzystali ze wszystkich zaproszeń drugich, bawili się razem, dopełniali się, byli sobie wzajem potrzebni. Gdyby nawet skryte ambicje przodowania nurtowały te domy, te aspiracje nie wyraziłyby się nigdy przez widoczną niechęć, która między nimi powstała tak około połowy karnawału. Znając duży takt towarzyski Granowskiego, wesoły i dobry charakter jego żony, znając też dystyngowane natury obojga Kostków, nie mogłem sobie tego wytłómaczyć. Aż mi, jak na wszystkie trudniejsze pytania, odpowiedział Podfilipski:

— Nie mogło być inaczej. Jedni i drudzy stoją, jak to się vulgo mówi, „na świeczniku". Od czegóż zatem jest w Warszawie Odęcka i jej podobni? Skoro tylko oba domy zajęły swoje stanowiska,

pani Eliza dowiedziała się, że pani Granowska mówi o jej fałszywych zębach, zaś tamtej doniesiono, że Kostka nazwał ją gęsią. Poczem Granowski, ujmując się za żoną, miał powiedzieć, że woli uczciwą gęś, niż rozwiedzioną orlicę, na co znowu pani Eliza z *największą pewnością* miała odrzec, że warszawskie orły chodzą na czterech nogach i mają rogi... Rozumie pan, że te plotki wymyślam teraz naprędce; zastępuję niemi inne, których nie znam, ale które istnieją napewno między nimi. Jest cała chmara ludzi, mających osobistą przyjemność lub interes w poróżnieniu Kostków z Granowskimi. Przyjemność platoniczną mają ludzie fachowi, jak Łatacki, ale wielu innych ma interes Dobrze jest ostrzedz po przyjacielsku panią Granowską, że to a to o niej mówią, albo pani Elizie szepnąć coś o tem, jacy też to ludzie są u nas złośliwi. Uda się, albo się nie uda? Jest jednak pewna zasługa, — a może zaproszę na obiad?

— Wątpię — odpowiedziałem — aby pani Eliza za to kogo zaprosiła na obiad.

— I ja wątpię — to też ten ktoś wystrychnął się na dudka, nie mniej przecież zaszczepił plotkę. Będzie miał choć to zadowolenie, że przyćmił trochę świeczniki, „bo już doprawdy zanadto wszystkim w oczy świecą“. Ach, panie! znowu gadamy o tej marności.

— Cóż, kiedy ta marność przenika wszędzie, psuje wszystko.

— Nic ostatecznie nie popsuje. Zobaczy pan, jaki będzie jutro bal u Kostków.

Rzeczywiście, wierzchnie pozory były równie serdecznie między Kostkami a Granowskimi, jak z początku sezonu.

Były już Ostatki. Przejezdny młodzieniec, przetańcowawszy 28 nocy, wypiwszy ze sto butelek wina, wyczerpawszy kwestję czarnych naszyć na rękawiczkach, zniósłszy regułę trzech spinek do gorsu na korzyść jednej środkowej ze szmaragdem, otoczonym brylancikami (dwieście korcy pszenicy z dostawą na wrzesień), nie czuł już nóg pod sobą, ani mózgu w głowie. Wstawał popołudniu, chodził senny aż do wieczora, poczem przebierał się i wstępował w szranki. Od dwóch dni jednak szanował się na tłusty Poniedziałek, na bal do Kostków, który miał być uwieńczeniem karnawału. Nie przyjął paru zaproszeń do pomniejszych domów.

Kostkowie ogromnie urośli od przyjazdu. Wiedziano o nich, że są bardzo bogaci, nie wiedziano jednak, że dadzą ze trzydzieści obiadów, parę wieczorków i bal. O pani Elizie różnie mówiono w przeszłości, gdy była jeszcze panią R. Znano ją, jako bardzo ładną, nie wojowniczą, lubiącą pewien wybór w ludziach i rozmowę z niektórymi mężczyznami. Wszystko to są niby zalety, ale podejrzanej natury. Był czas — wtedy, kiedy było jej źle na

świecie i rozegrywał się dramat rozwodowy — że centralna stacja opinji potępiła ją; zaledwie gdzieś po kątach i pod ziemią kryły się korzystniejsze o niej zdania. Obecnie jednak zwrócono jej honor i szacunek: jej pochwały można było głosić chociażby na publicznych placach, a znów po kątach i pod ziemią kryły się maleńkie resztki owej dawniejszej opinji, uciśnione przez powodzenie i widoczny splendor Kostków.

Opinja musi się oczywiście zmieniać stosownie do czasów — i potrzeb krajowych.

Podfilipski szczerze i bezwarunkowo powrócił całe swe uznanie pani Elizie.

— O! — mówił — to jest wyjątkowa kobieta. Przyznam się jednak, że jej nie doceniałem. Jak urządziła sobie życie! jak się umiała postawić wobec towarzystwa! Czy w tem jej zasługa, czy męża — nie wiem, ale rezultat wyborny. Sama pani Eliza jest osobistością, a pomimo to nie ma typu heroda-baby. Taka się zdarza jedna na tysiąc i jedna na kilka lat, bo mówię tylko o kobietach, mogących grać pewną rolę w towarzystwie.

Pan Zygmunt nie wspomniał o Henryku, bo ten miał naturę dość zamkniętą w sobie, nieskorą do wynurzeń, ani do nowych znajomości, a Podfilipskiego, choć dawno spotykał, mało znał. Kostka cenił zapewne Podfilipskiego, ale nie umiał z nim rozmawiać; wogóle mówił niewiele, a kiedy go

słyszałem rozmownym, nawet zapalonym, rozprawiał zwykle z wielką ścisłością o szczegółach, o wypadku specjalnym. Pan Zygmunt zaś miał skłonność do świetnych swych uogólnień, do jaskrawo rzucanych świateł. Nie wyobrażam nawet sobie, jakby ci ludzie z sobą rozmawiali, gdyby los ich skazał na długie obcowanie we dwóch. Podfilipski mówiłby oczywiście o wszystkiem, ale Kostka nie wiem, czyby odpowiadał na ulubione wywody pana Zygmunta o braku naszej cywilizacji. A gdyby się znów wdali w jaki przedmiot, pokrewny upodobaniom Kostki, jak malarstwo, i Podfilipski powiedziałby naprzykład:

— Do niedawna malarze nasi nie umieli rysować konia.

A Kostka zapytałby:

— Czy pan zna obrazy Piotra Michałowskiego?

Gdyby ich przypadkiem pan Zygmunt nie znał, dyskusja znowuby upadła.

W gruncie rzeczy Henryk jest nieco mruk i pedant. O nim zatem nic nie mówił Podfilipski.

Około 11-ej wieczorem zaczęto się schodzić do państwa Kostków. Mieszkanie ich, najęte na zimę w jednym z pałaców, było duże i gotowe pomieścić wszystkich zaproszonych, których było ze 400 osób. Na tę liczbę znajdzie się zawsze kilkadziesiąt wypadków kataru i obawy mrozu, — jednak można powiedzieć, że kto żył, podążał do nich.

Ponieważ prawie wszyscy przyjechali naraz, około pół do dwunastej (zaproszenia były na 10-tą), napływ powozów był ogromny, i policja miała sporo do roboty tak z powozami, jak z zebraną przy nich gawiedzią. Koła skrzypiały po twardym śniegu, zgrzytały po piasku, rozsypanym u podjazdu. Każdy mężczyzna, który wchodził na schody, po zrzuceniu futra i dokumentnem utarciu nosa, gdy spotkał pierwszą znajomą twarz, nie omieszkał powiedzieć:

— Ależ mróz!

Przy wejściu do salonu stał Henryk, przybierając jak najprzyjemniejszy wyraz twarzy, i witał się z gośćmi w milczeniu. Gdy kto go nie spostrzegł i ominął, Kostka nie gonił za nim. Z kolei ścisnąłem mu rękę i szepnąłem na żarty, że wygląda jak posąg gościnności u wejścia do atrium. Odciął mi się odrazu napisem, kładzionym na progach rzymskich:

— *Cave canem!...* [1]) przechodź!

W środku salonu stała pani Eliza w sukni z jasnobłękitnego adamaszku, osypana brylantami. Nie można było w niej odnaleźć tej kobiety, pełnej zaufania do świata, która, według słów Podfipskiego, wyciągała przy rozmowie szyję, „jak adeptka już gotowa do nawrócenia“. Głowę trzymała wzniesioną, a choć jej śliczna, giętka szyja falowała swobodnie na białych obnażonych ramionach, nic już w niej nie pozo-

---

[1]) Strzeż się psa.

stało z adeptki. Uprzejmość jej była dumna, uśmiech już nie ten dawny, przymilny i marzący.

Nie królowała jednak bynajmniej nieruchomie na jednem miejscu, podchodziła ku paniom, umieszczała starsze na fotelach; obowiązki swe sprawiała poprostu i wspaniale zarazem.

Miałem prawdziwą pociechę z wejścia pani Odęckiej. Jeszcze w progu poprawiła sobie jakiś loczek, a potem podrygującym, drobnym krokiem, zbliżyła się do pani Kostkowej z wyrazem najczulszego rozczulenia. Głos jej zaszeleścił:

— Ach, jakaż piękna, jaka piękna! Co za feta prześliczna!... jak za moich czasów.

— Pani tak uprzejma... proszę siadać. O... może tu przy księżnej...

— Zaraz usiądę... a czy będą Granowscy?

— Właśnie wchodzą... muszę ich przywitać.

Granowscy weszli wesoło. Pani, cała różowa i biała od stóp aż do kwiatów we włosach, on poprawny, jak zwykle.

— Jak się masz, Henryku?... jak się masz, Elizo?

Stanęli obok pani domu, niby pomagając jej w przyjmowaniu gości. Nawet oko Odęckiej nie zdołało uchwycić pozoru nieporozumienia między Granowskimi, a Kostkami.

Fred Zbarazki wszedł ze starą ciotką, siostrą ojca, bardzo już posuniętą w lata i słabości. Ponieważ jednak chciała zobaczyć początek balu, Fred

ofiarował jej swe usługi i prowadził staruszkę poważnie, z dworskością, należną jej i swemu nazwisku; ten wielki urwis występował tu bowiem, jakby w uroczystości familijnej. Porównałem tę jego sylwetkę z tamtą w Ustroniu i ledwom się wstrzymał od śmiechu. Trudno mu nie przyznać, że umie się znaleźć.

Nie spostrzegłem nawet, jak wszedł Podfilipski. Widać, ze względu na tlum, wszedł bez efektu. A tak przyzwyczajony byłem do jego wejść okazałych, żem się zdziwił, gdym nagle zobaczył go już obok siebie w zwartej grupie czarnych fraków.

Zajrzałem do sali balowej, jeszcze prawie pustej. Tylko orkiestra stroiła instrumenty. Było tu znacznie zimniej, niż w pierwszych salonach; zapach kwiatów nie był jeszcze pomieszany z innemi woniami. Kilku fachowych tancerzy oglądało salę, dyskutowało nad ustawieniem krzeseł przy mazurze. Był zapewne między nimi prowadzący tańce.

Nagle w drzwiach przeciwległych ujrzałem twarz tak tu niespodziewaną, jak istoty jakiejś mitologicznej, a przecie ożywionej. Długa, capia broda, kościste policzki, świdrujące oczy. Skąd ja znam — i to dobrze znam — tę fizjognomję? Czyżby Kołczanowicz, ów *turbator chori* jubileuszowy? On tutaj?

Poszukałem natychmiast Kostki, który już się był trochę, uwolnił od swych obowiązków po przyjściu wszystkich oczekiwanych dygnitarzy. Nim go znalazłem i doprowadziłem do drzwi, rozpoczęto

walca, sala napełniła się i nie odrazu mogłem wskazać Henrykowi Kołczanowicza.

— Jakim sposobem wziął się u was w salonie ten cap?

— Jaki cap? i jak ja mogę wiedzieć, skąd się ludzie u mnie wzięli? Myślisz, że ja znam wszystkich?

— Ale znasz... takiego się nie zapomina. O patrz! schował się teraz, jak faun, między azalje i patrzy dzikim okiem na tańce.

— Ach, ta broda?... to mój nowy kasjer.

— Kołczanowicz?

— Tak. A skądże ty go znasz?

— Z jednej awantury, zadługiej do opisania.

— A to jakaś bestja wojownicza — rzekł Kostka — bo także z powodu awantury stracił miejsce na kolei. Lecz ponieważ przyszedł do mnie z bardzo poważnemi rekomendacjami, przyjąłem go za kasjera.

— Więc powiadasz, że stracił miejsce z powodu awantury?... Kiedy?

— Około Bożego Narodzenia.

— Nie wiesz, z kim była ta awantura?

— Nie pamiętam. Gdzieś się to działo pomiędzy literatami.

Dłużej nie mogłem rozmawiać z Kostką z powodu jego obowiązków gospodarza. Wyciągnąłem Podfilipskiego z tłumu i, przyprowadziwszy go na miejsce skąd widać było Kołczanowicza, pod azalją, wskazałem mu go:

— Czy poznaje pan pod tym kwiatkiem naszego oponenta, co to Delickiego chciał *przekuć* na swój sposób?

Widok ten nie podziałał Podfilipskiemu na wesołość. Otworzył szeroko oczy:

— Co to jest?! jak on wlazł tutaj?

— Został kasjerem u Kostki.

Pan Zygmunt skrzywił się i aż pobladł z gniewu:

— Niech sobie będzie kasjerem u samego djabła!

— Ale stracił miejsce na kolei... wie pan? — zapytałem.

— Naturalnie — rzekł Podfilipski, opanowawszy już niewłaściwy na balu wybuch złego humoru — kasjer kolejowy musiał przecie zdać kasę przed pojedynkiem.

— Więc strzelali się?

— Nie... potem się znowu nie strzelali. To cała historja. Dajmy jej tutaj pokój, dobrze?

Tańce szły wybornie; prowadziło je dwóch wytrawnych kierowników, postacią nie różniących się zdaleka od typu przejezdnego młodzieńca, ale swobodniejszych, nie skrojonych na model żadnego z zagranicznych, ani miejscowych wzorów. Komendę ich ledwo było słychać, mieli całą armję wyćwiczoną, podwładną, ustawioną w vis à vis, w czwórki i w kwadraty. Armia ta, po ciężkiej tegorocznej

kampanji, nabrała doświadczenia, działała pewnie i walecznie. Zwolnione w ostatnich dniach marsze podnosiły też ducha weteranów wielkiego sezonu. Ci weterani mieli od dwudziestu do trzydziestu lat, ale lata wojny liczą się podwójnie. Wiek nie stanowi o randze w tej broni, owszem, jest poniekąd przeszkodą. Kilku zamieszanych w szeregi podżyłych kawalerów i żonatych działało wprawdzie z wielką gorliwością, ale zasługa ich nie była tak szczerze ceniona, ani nagradzana przez damy, zwłaszcza, że bal ten był duży i tańcowała przeważna liczba panien, które przedewszystkiem z młodszych i dobrych tancerzy pragnęły sobie wybrać dozgonnego adjutanta.

Ja umieściłem się w korpusie inwalidów, nie mogłem się jednak skarżyć na towarzyszów broni, bo byli tam oboje państwo Kostkowie, Podfilipski i wielu innych. Żałowałem tylko, że nie widzę pani Elizy tańczącej — bo jest to prawdziwie estetyczna przyjemność patrzeć na nią w tańcu: płynie i wzoruje się, jak posąg, daje wrażenie ożywionego marmuru.

Póki szły walce i kadryle, ogólny widok sali, choć pięknej i przystrojonych kobiecemi sukniami, nie miał charakteru. Był to barwny, pachnący, ale pospolity tłum — *saltans caterva.* Dopiero hasło do mazura zmieniło pozór sali. Powstał najprzód zgiełk i walka o krzesła, wyrzucanie za drzwi nietańczących, i tym podobne manewra wstępne, nie odznaczające

się efektem, tak, jak zwijanie obozu przed walną bitwą. A potrzeba, chociaż nie krwawa, była ważna, ostatnia. Czuli to wszyscy, dzielne serca rwały się. Najbardziej zatańczony młodzieniec przyjezdny dobywał, co mógł, ze swej postawy. Wodzowie, krążąc, przemawiali do wiary. Między nimi znalazł się teraz i Fred Zbarazki.

Zarwał, zaśpiewał, zadudniał huczny mazur. Wszystkie pary! — atak ogólny, trochę zamieszania, opanowanego natychmiast przez wodzów — rozsypanie się na miejsca. Dopiero teraz: pierwsza czwórka! — szarża kawalerji. Dalej wiara!

Mawiał mi mój nauczyciel tańca, baletmistrz Popiel, który lekcje swe lubił przeplatać wywodami teorji, że „mazur jest tańcem, przeniesionym z karczmy do salonu, musi zatem zachować te oba swoje charaktery: nie zatracić oryginalności i wzbić się do wyżyn elegancji“. Nieżyjący już klasyczny tancerz miałby pociechę tutaj z pierwszej czwórki: co tylko można było wprowadzić zamaszystego wdzięku parobczaka do rasowej postawy i szlachetności ruchów młodego pana, — czynił to Fred Zbarazki, a pani Granowska, choć ubrana w jedwab i koronki, choć we włosach niosła pęk nicejskich kwiatów migdału, ale cała różowa, świeża, jak czereśnia, mogła być porównana do jakiej pięknej, czarnobrewej Jagny; nie wydawała się z odmiennej gliny.

Cały dobór pierwszych par był prawie na tej

wysokości, na której taniec czyni naprawdę wrażenie sztuki, gra nietylko na zmysłowych, ale na estetycznych strunach. Dlatego też Henryk, kładąc mi rękę na ramieniu, rzekł w narzeczu estetyczno-sportowem:

— Mazur jest po „Zagłobie“ z „Terpsychory“ — nieprawdaż?

Ma on swe takie lapidarne wyrażenia, do których trzeba dodawać komentarz.

Potem zamieszało się trochę w sali, następne pary nie tak już były pokaźne; znowu ochota rosła, ćmiło się w oczach od przelotów i obrotów, grzmiała muzyka, zrobiło się bardzo gorąco. Z sali balowej szedł teraz do innych pokojów szeroki wiew, jakby afrykański, nasycony woniami kwiatów, piżma, ciał — i upałem.

HAUTE SAISON.

(Ciąg dalszy.)

Cofając się pośpiesznie do bocznego salonu przed jakąś figurą mazura, przelatującą przez wszystkie pokoje, spostrzegłem panią Elizę, siedzącą nieopodal ode drzwi sali, ale usuniętą w cień. Przysiadła trochę, aby odpocząć od obowiązków pani domu. Za jej fotelem siedział Podfilipski. Lew udawał domowego kota: łasił się. Pani Eliza z konieczności odpowiadała mu przez ramię ze swobodnym uśmiechem. Oparła ciężkie, jasne włosy przeplecione brylantami, o ciemną materję fotelu i słuchała widocznie jakichś pochwał.

Ponieważ przy takim tłumie można wszędzie podejść niepostrzeżenie i bez niedyskrecji, zbliżyłem się do tej grupy, bardzo zaciekawiony, co też sobie mogą mówić.

...i skrytym wielbicielem — dosłyszałem koniec zdania Podfilipskiego.

Zadziwił mnie jakiś ciepły, nieznany mi ton jego głosu.

— Skrytym? dlaczegóż nie jawnym? — zapytała pani Eliza.

— Skrytym przez pokorę, obawę, niepewność siebie. Stałbym się zawsze jawnym, gdyby się nadarzyła sposobność, czy to wobec pani hrabiny, czy wobec innych...

— Mówi pan, jak rycerz. Widzę pana w zbroi, w piórach na szyszaku — dzida przytroczona u siodła — a pan trzyma gitarę. To wszystko pod oknem w rysunku z „Fliegende Blätter“.

— Byleby pani zgodziła się figurować w oknie, w tym samym numerze... — odciął się pan Zygmunt.

Pani Eliza zaśmiała się bez urazy, a on ciągnął dalej:

— Serjo mówiąc — uwielbienie moje jest pani zapewnione *(mon admiration vous est acquise)*, ale nie o to chodzi; nie potrzebuję występować z tem banalnem wyznaniem, bo jest to oczywiste — pani jest tego pewna. Chcę tylko powiedzić, że od czasu, jak znam Warszawę, — a znam ją niestety dawno, — nie widziałem przykładu, aby kto tak ją podbił, ujarzmił, można także powiedzieć: wywyższył i zbliżył do Europy, jak to pani uczyniła w przeciągu kilku miesięcy.

— Panie! znowu wpadamy w ton „Fliegende Blätter“.

— Bynajmniej — odparł pan Zygmunt, a w głosie jego dźwięczało teraz męskie przekonanie. Po-

trafiła pani zapanować nad towarzystwem i to nie tym zwyczajnym sposobem: — „a! przyjechali hrabiostwo Kostkowie — wielkie nazwisko — wielki majątek — pani bardzo piękna — pan rozumny"... Nie. To jest bardzo dużo, ale nie wszystko. Ujęła nas pani swoim osobistym wdziękiem, czarem... No, już nie wiem, jak mówić, skoro pani bierze wszystko ze strony humorystycznej? — zatem ujęła nas pani swą osobistą wartością.

Kadzidło, chociaż w dozie znacznej, bywa znośne, jeżeli jest wybornego gatunku. Nie podobna było zresztą gniewać się, i pani Eliza odpowiedziała uprzejmie:

— Pochlebia mi, że pan na nas tak łaskaw.

A Podfilipski przybrał teraz ton niby opryskliwy:

— Co to jest: łaskaw? Dlaczego łaskaw? Kiedyż pani przestanie drwić sobie ze mnie i zniechęcać moje najskromniejsze, tłumione przemocą wyznania przyjaźni i podziwu? Wracam do poprzedniego: muszę pozostać *skrytym* wielbicielem, skoro *jawnym* być mi nie wolno.

Kończył się mazur. Pani Eliza wstała z fotelu idąc na dalszą służbę. Powstawszy, obróciła się do Podfilipskiego i zarazem, spostrzegłszy mnie, stojącego za nim, odezwała się do mnie:

— Panie! tu, na tem miejscu, dawałam ucho podszeptom szatana!

I, śmiejąc się, przeszła do sali balowej, aby poprosić starszyznę na kolację.

Pan Zygmunt miał w oku jakby łzę. Rzekł mi:

— Cóż to za miła kobieta!

Ogromnie się przekonał do pani Elizy.

Kolację podano na trzysta osób w całym rzędzie pokojów, przejść, a nawet na przypiętrzach schodów, gdyż sala jadalna pomieścić mogła z trudnością sto nakryć. Wszędzie ściany były przystrojone z wykwintnym smakiem: improwizowane urządzenia z kwiatów, dywanów, makat, były nawet piękniejsze od stałych, które Kostkowie znaleźli w tym pałacu. W nowym widać było kierownictwo ręki Henryka.

Pysznie wyglądała klatka schodowa, ozdobiona całymi klombami wysokich roślin, przeważnie palm. Poręcze pochyłe okryte były torsadą z sitowych makat, a na poziome rzucono gobeliny z herbami Kostków. Było to wspaniałe; — żeby obejrzeć, zeszedłem na dół. Przebiegał koło mnie Henryk, przystanął i, obejmując obraz ruchem ręki, a potem wskazując pod górę, rzekł mi:

— To się udało — patrz: Tiepolo.

Rzeczywiście, na górnem przypiętrzu długi stół, za którym z jednej tylko strony, od ściany, siedziało kilkanaście osób; piękne kobiety, palmy, gobeliny; architektoniczna oprawa i wzniesiona perspektywa

tego obrazu przypominała uczty Paola Veronesa, a jeszcze bardziej — jak mówił Henryk — Tiepola.

Widziałem z jego oczu, że go to cieszy, że chętnie przystanąłby tu sobie dłużej, zamiast krzątać się około podawania kolacji.

Spostrzegłem, że w tym właśnie weneckim obrazie zasiadali między paniami: Zbarazki, Granowski i Podfilipski.

— Wiedzieli, gdzie usiąść! — pomyślałem. — Powietrze było tu wyborne, upajające, a temperatura nie tak wysoka. Kręcąc się koło tego stołu, znalazłem przez protekcję miejsce i dla siebie, bo, ponieważ wszyscy siedzieli nie na krzesłach, ale na długim tapczanie, opartym o ścianę, trzeba było tylko trochę ścisnąć szereg, co też ci państwo, ku wielkiej mojej radości, uczynili.

Pan Zygmunt, jakby po zmowie z panią Elizą był jeszcze rozpędzony w tym samym kierunku, opiewał głośno zasługi Kostków:

— Wiecie co, że dawno nie widziałem w Warszawie takiej „fety“ i takich gospodarzy. Ogólny widok ze wszystkich stron wyborny; tańce idą wyśmienicie, a teraz — dali kolację dla całej Warszawy. Ale oni sami jacy! Już to pani Eliza jest jedną z najmilszych i najwydatniejszych kobiet, jakie widzieliśmy, nietylko tu, ale i w Paryżu. A jaka całość towarzystwa dobra! My wszyscy wyglądamy lepiej, bo lepiej jesteśmy oprawieni. Żeby nie przy-

mieszka wiejskiego towarzystwa (zlustrował najprzód błyskawicznym rzutem oka cały nasz szereg i przekonał się, że nie było nikogo właściwie „ze wsi“), możnaby się czuć w wielkiem centrum elegancji. Ale i tak jest nadzwyczajnie!

Widocznie przedsięwziął panegiryk, bo drugi raz wrócił do niego w połowie kolacji.

— A czy wy uważacie, co wam podają? Pstrągi rzeczne, sterlety — nie tam jakieś majonezy potwornej wielkości, w których nie wiadomo co siedzi wewnątrz, tylko na wierzchu żółto, powtykane kaparki i skorupy od raków naokoło. A szynki jakie! — *des jambonneaux*, jak u Paillarda — i szpinak świeży, i fasolka i młode kartofle na trzysta osób — co? A zauważyliście wy to wino czerwone, którego tu już, niestety, nie widzę, bo Zbarazki wypił półtorej butelki — *un vieux Margaux-Exupéry* tak sobie na stołowe — co?

Zaczepiony Zbarazki opowiedział:

— Dlaczego Filipek nie wziąłby do ręki trąby z taką kwadratową chusteczką, wiszącą u niej, kapelusza szerokiego z piórem na głowę, nie pokazałby nam pończoch i nie stanął tu na schodach w postaci herolda?

— Ale bo to dla was nie warto poprostu się starać, jak się postarali Kostkowie.

— Dlaczego? — odrzekł Fred. — Tańczymy, jemy, pijemy, dobrze nam tu — w głębi serca dzień

ten pozostanie dla nas pamiętnym. Prawda, pani? — dodał, kładąc rękę na sercu i pochylając się ku swej sąsiadce, która zarumieniła się.

Pan Zygmunt postanowił chyba wygłosić odczyt na pochwałę Kostków w tem widocznem i przejściowem miejscu. Zaczął znowu podnosić ich zasługi. Doprawdy już przesolił. Panie, mniej czułe na rozkosze kuchni i na ogólniki, ich nie dotyczące, nie były zadowolone, a najbardziej zżymał się Granowski. Kiedy Podfilipski powiedział jeszcze podstępnie, że nie wie, ktoby w Warszawie potrafił dać taki bal, Granowski odezwał się:

— Już tam mów sobie, Filipku, co chcesz, jak ja wam dam bal podczas letnich wyścigów, to nie będziecie narzekali. Znajdą się i u nas gobeliny, może i lepsze — i piwnica się nie powstydzi, i gości będzie dosyć — i tam już u Granowskich nie znudzą się.

— Nie wątpię, nie wątpię — znamy przecie twą gościnność i talenty. No, ale trzeba będzie coś wymyślić tym razem, żeby zakasować Kostków.

— O zakasowanie wcale mi nie chodzi, ale skoro już mówimy o szczegółach, wszystko to idzie wybornie, tylko nie lubię tej mody, że pani domu nie siada do stołu.

Pan Zygmunt odpowiedział:

— Macie lepszą swoją służbę, a oni są tu przyjezdni i w najętem mieszkaniu.

— Najęte mieszkanie nic niema do służby — rzekł Granowski. — Służbę muszą mieć przecież swoją na wsi, w jednej i drugiej swej instalacji, więc...

Tymczasem do naszego stołu zbliżał się gospodarz domu.

— Henryku! — krzyknął Fred — chodź tu na ratunek! Uspokój Podfilipskiego, który taką robi reklamę twoim gobelinom, kuchni i tobie samemu, że nie daje nam przyjść do słowa.

Kostka skłonił się dość sucho, a potem zapytał wesoło, nie zwracając się do nikogo w szczególności:

— Macie tu wszystko, czego wam potrzeba?

— Ależ pływamy w rozkoszy — odezwał się Granowski.

Twarz rozjaśniła mu się szczerym uśmiechem i rzekł głosem dobrze dźwięczącym.

— No, Henryku! Tak, jak pierwszy po waszem przybyciu wniosłem dla was toast, tak teraz na zakończenie karnawału, piję za twoje i twej żony zdrowie.

Granowski wstał; spojrzeli sobie w oczy i uściskali się. Tajemne niechęci między obu domami zostały zapewne, aż do nowych, obcych zasadzek usunięte.

Koniec kolacji był tem weselszy.

Po kolacji wir tańców doszedł do zawrotowej szybkości, a nawet kadryle stały się skoczniejsze. Trzymano się jednak ściśle przyzwoitości. Fred Zbarazki nie próbował żadnych „angielskich“ ani „francuskich“ sposobów tańczenia szóstej figury.

Tańcował z wielką fantazją, ale używając właściwych każdemu tańcowi kroków.

Jeden tylko jakiś młody chłopiec, zaledwie pod wąsem, podchmielił sobie, bo zaczął tańczyć walca na jedno *pas* ze straszną werwą. Gdy skończył, zbliżył się do niego Kostka i rzekł to, co do wszystkich, tylko z odcieniem wyjątkowej grzeczności:

— Może pan będzie łaskaw pozwolić na dół, gdzie jest kawa i są cygara.

Młodzieniec podziękował, został, ale wytrzeźwiał odrazu.

Ożywienie rosło ciągle. Kotylion ze swą lekką maskaradą, orderami i bukietami, za pomocą których krzyżowały się rozliczne tajne westchnienia, aluzje i nagrody między tancerkami i tancerzami, przelewał po sali swe dźwięki i obroty rytmiczne, senne. Był w nim jakiś pijany niepokój, coś, co przechodziło granice zabawy, a wkraczało w poezję i namiętność. Wszystkie kobiety tańczące miały już w oczach tę specjalną iskrę tańca, która je upiększa, mimo pomiętych strojów i zbytecznych czasem rumieńców, pod koniec balu. Suma tych wszystkich, acz niby skromnych, uścisków, prąd przebiegający przez spojone tyle razy kobiece i męskie ręce, czynią taniec zabawą bardzo zmysłową.

Kotylion przeszedł znowu w mazura. Niektórzy tancerze, jak Fred, byli szczelnie pokryci orderami.

Niektóre panie nosiły ze sobą całe snopy kwiatów, oddając je na przechowanie w zaufane ręce, podczas gdy szły w taniec, bo wydarzały się i kradzieże kwiatów — drobne objawy wielkiej walki o powodzenie.

Już teraz pozostały same wyborowe pary. Brzydsze panny, mniej porywane mężatki, poszły spać. Ale i pozostałych była spora liczba, miejsca do popisów mazurowych mnóstwo — i szedł taniec coraz szaleńszy, coraz bardziej rozmarzony, pochłaniający wszystkie inne pragnienia.

Nareszcie o 6-ej godzinie zrana prowadzący tańce dał orkiestrze znak przerwania. Stanęło kilka par we środku salonu, bo niepodobna było upatrzyć chwili, kiedy nikt nie tańczył.

Państwo Kostkowie prosili wprawdzie, aby nie przerywać; zrozumieli jednak wszyscy, że pora wynosić się. Postąpiłem i ja z kapeluszem w ręku, chcąc się pożegnać, ale pani Eliza zechciała jeszcze mnie zatrzymać.

Kiedy pozostało już tylko dwóch jej młodych kuzynów, zgrabnych chłopców, ale oszołomionych zupełnie przez nadmierną karnawałową pracę, rzekła do nich i do mnie pani Eliza.

— Wypijemy jeszcze filiżankę herbaty, bo jestem tak zmęczona, że nie będę mogła spać.

Siedzieliśmy w małym saloniku. Henryk, zapaliwszy cygaro, rzucił się na kanapę:

— Ja także nie jestem senny, ale nie trzymam się na nogach. Romansujcie sobie, póki nie wypalę cygara, poczem, mimo wszelki respekt, gościom należny...

— Uff! — westchnęła pani Eliza, sadowiąc się w fotelu i wyciągniętą niedbale ręką mieszając herbatę. — Mam tego dosyć!

— Zmęczona pani bardzo?

— Nie — smutna.

— Jakto? po tym prześlicznym, tryumfalnym balu?

— Bal się udał, ale cały nasz pobyt tutaj — nie. Udał się może pod tym względem, żeśmy się poczęści przyczynili do zabawienia towarzystwa, zbierając je u siebie. Ale ja myślałam, że w Warszawie znajduje się więcej pierwiastków, zdatnych do... Czy pan jest bardzo zagorzałym warszawianinem?

— Proszę pani — nie można nie być warszawianinem — to trudna rada, ale słucham...

— Widzi pan. Najprzód razi mnie bardzo dwulicowość tego towarzystwa. Naturalnie każdy spostrzega to najlepiej, gdy chodzi o niego samego. Ja znam dużo przykrych wieści, które i pan zapewne zna — i o innych, i o mnie, i o nas obojgu. A gdy się tych ludzi widzi, — bo przecież mieliśmy dzisiaj u siebie chyba wszystkich — to można myśleć, że gotowiby za nas pójść w ogień? Dlaczego to?

Nic nie odpowiedziałem.

— Żeby to były sobie takie zwyczajne plotki, których wszędzie pełno — ale są to często rzeczy nie do śmiechu, owszem — zjadliwe, podstępne, nieszlachetne. Co się stanie najprostszego w świecie, podpatrzą szczegóły i z tych szczegółów zrobią bajkę potworną, widocznie ułożoną przez ludzi najgorzej usposobionych, bez sumienia i bez czci. A nuż dopiero komu noga się pośliźnie, zdarzy mu się nieszczęście, albo przebywa jakiś dramatyczny okres życia... Ja to znam! Dlaczego właśnie na tych rzucają się wszyscy?

Ciągle milczałem.

— I jeszcze jedno. Z takich stosunków wyradza się nieufność. Kto donosi? kto informuje o wszystkich słowach i ruchach? Ci przecie muszą być tu blizko, między nami. Dajmy więc na to, że będę stroniła od tych ogólnie znanych złych osób, które robią złośliwe plotki i piorunują na innych pod pozorem opinji, ale jak się ustrzedz tych, którzy znoszą materjały, takie naprzykład, że tu siedzimy, pijemy herbatę, Henryk pali cygaro...

Henryk, leżąc na kanapie, miał przymrużone oczy, pociągał od czasu do czasu dymu, i twarz mu drgała małymi, nerwowymi ruchami. Odezwał się wreszcie:

— Gadacie, jak dzieci.

— No to się rusz i wytłómacz — rzekłem.

— Wytłómaczę.

Porwał się z kanapy, zgniótł o talerz niedopalone pół cygara i oczy zaświeciły mu ciemnym błyskiem.

— Nie chodzi tu o plotki, bo to tylko jeden z objawów ogólnej anemji, marności tego zebrania ludzi, które się mieni warszawskiem „towarzystwem“, „światem“, czy jak tam sobie chcecie. Ale wogóle jest zasadą, że zbiór ludzi, nie mających nic razem do roboty, nie połączonych nawet wspólnemi pragnieniami czy koniecznościami, nie jest wcale ciałem społecznem, tylko gromadą, stekiem. Z bezczynności i braku rzeczywistych wspólnych interesów rodzi się marazm. To już dostatecznie objaśnia plotki i nudne tutejsze intrygi.

Czem jest jednak wogóle warszawskie towarzystwo? — to gorsze pytanie. Arystokracją rodową? Wyłączmy kilka domów i kilkanaście przyjezdnych osób, pozostaną Odęccy, Łataccy, Podfilipscy, szlachta, — łagodnie się wyrażając — świeższa [1]). Arystokracją inteligencji, pracy, społecznej zasługi? Nie warto na to odpowiadać. Arystokracją pieniężną? — Tej ja osobiście nie uznaję, a przytem są to ludzie i bogaci, i zupełnie biedni. Czemże więc jest? Może towarzystwem do niesienia sobie wzajemnej pomocy? Tem się właśnie odznacza. Może stowarzyszeniem

[1]) Tu już Kostka trochę się zapędził.

w celu zabawy? Gdyby znowu zamknąć kilka otwartych domów, zabawa wspólna ograniczyłaby się do kółek familijnych. Więc czemże są nareszcie choćby te 350 osób, które przeszły dzisiaj przez ten dywan? Chyba tylko 350 numerami w ogólnym spisie ludności miasta Warszawy.

— Mnie się zdaje — wtrąciłem — że stan obecny powstał stopniowo i decrescendo. To są resztki dawniejszych towarzystw tu istniejących, które dawniej coś znaczyły, miały coś wspólnego ze sobą, jakiś przynajmniej ogólny ton.

— Masz słuszność — rzekł Henryk — to są rozbitki, synowie dawnych pokoleń i remanenty najróżniejszych kół i kółek. Ponieważ jednak ci ludzie nie są skupieni w imię niczego, nie mają nic ze sobą wspólnego, jak tylko plotkę i krój fraka, razem więc są niczem. Jeżeli mówić będziemy wogóle o Warszawie, o całym spisie ludności i wybierać z niego dodatnie typy, a jeszcze pojedziemy na wieś po znajomych — to co innego. Napełnimy nietylko salon, ale i salę obrad i — będziemy wtedy o tych panach i paniach inaczej mówili. Weźmiemy dużo z dzisiejszych gości, nie pominiemy też siebie, nas tu pozostałych, — nieprawdaż?

Odezwałem się:

— To nowe, idealne towarzystwo powinni państwo stworzyć, skupić przynajmniej pierwsze jego zacząłki około siebie.

— Ach, mnie już tak ręce opadły po przyjrzeniu się temu, co jest. Tak mi już pilno stąd wyjechać — rzekła pani Eliza.

— Ale państwo będą na letnich wyścigach.

— Nie sądzę.

— Więc dopiero na jesień, albo na przyszłą zimę?

— I to niepewne.

— Kiedyż zatem zacznie powstawać to przyszłe towarzystwo?

— Mój kochany — rzekł Henryk — tego nie stworzy jeden człowiek, ani jedna para ludzi. Potrzeba wspólnych działań i jeszcze jednego czynnika: miłości — nie wzajemnej adoracji, ale miłości ogólnego celu, ale wzajemnego zaufania ludzi dobrej woli, bez względu na koterje i sfery — potrzeba męskiej zgody.

Na tem wielkiem słowie przerwaliśmy rozmowę.

Był już dzień jasny. Państwo Kostkowie powstali, aby nas pożegnać, wzięli się pod ręce, i pani Eliza oparła się mocno o ramię męża. Ten nie lubił wynurzeń: był zawsze wobec ludzi pozornie zimny, nawet z żoną. Ale przez chwilę spojrzał na nią, na jej cudowne włosy, przybliżone do jego twarzy, spojrzał wzrokiem rozbrojonym, prawie rzewnym.

Musiał się jednak zaraz przed nami wytłómaczyć.

— Wspieramy się, bo każde z osobna nie doszłoby do progu.

Pożegnałem się pośpiesznie; to samo uczynili dwaj młodzi kuzyni, którzy w skupieniu lub przez sen wysłuchali naszej rozmowy — i we trzech zbiegliśmy na dół.

Pozostał mi długo w mózgu odbity obraz tej pięknej pary ludzi, która przez burze i niepospolite przeszkody odnalazła się i dobrała. Dźwięczał mi też w uszach dzielny głos Henryka i rozważałem jego słowa. Zdawało mi się z początku, że teorja Kostki zbliżała się do teorji Podfilipskiego. Ta sama krytyka nieco bezwzględna, to samo wyniesienie się ponad społeczeństwo i dążności reformatorskie. Ale Henryk, mimo, że więcej jeszcze podróżował, niż pan Zygmunt, znacznie mniej był egzotykiem, mniej nawet zachodnim...

W gruncie rzeczy chciał zupełnie czego innego.

Szedłem wolno ulicą, bynajmniej nie senny. Ranek był blado-różowy, mroźny, taki przeźroczysty, że domy i ulice widać było, jakby przez szybę kryształową. Jakaś ogromnie podniecona trzeźwość wiała przez powietrze. I nagle, do słów Kostki, które jeszcze słuchem pamiętałem, domieszał się inny wtór pokrewny. Zadziwiłem się, poznając w tym wtórze głos starego Szreńskiego. Tamten mantyka mówił mi niedawno coś bardzo podobnego. Jakim sposobem zgodzili się ze sobą ci ludzie, tak różni wiekiem, temperamentem, nawet upodobaniami?

OKOŁO WIELKIEJNOCY.

Była Wielka Sobota. Wczoraj jeszcze deszcz, pomieszany ze śniegiem, chłostał po ulicach licznych przechodniów. Mimo niepogody tradycyjne „groby“ musiały być zwiedzone, więc przestrzeń od Św. Krzyża aż do katedry roiła się od mężczyzn skulonych, z podniesionymi kołnierzami i od kobiet, zebranych w sobie pod parasolkami. Ale wielkopiątkowa pogoda ustąpiła dzisiaj wiosennemu słońcu, tłumy jeszcze liczniejsze wyległy na chodniki, stroje zakwitły wiosną i serca wesołością.

Środkiem ulic jechało wiele powozów. Domy, nieodmalowane jeszcze po zimowych przypadkach, mieniły się w słońcu różnemi plamami. Wejścia do kościołów były oblężone zbitą masą ludzi, nad którą chwiały się unoszone w ręku męskie kapelusze, jak czarne bąki, krążące około kwiecisto przystrojonych głów kobiecych. Przez tłum przebiegał czasem chłopiec od cukiernika z tacą na głowie, mignął biały baranek z chorągiewką, stojący na pstrokatym mazurku

i zaleciała woń smakowita tłustego pieczywa. Radosna pobożność falowała przez ulice.

— Pójdziemy dalej piechotą — powiedział mi pan Zygmunt, którego spotkałem przy jednym z kwestarskich stolików u św. Krzyża — tu mamy same blizkie kościoły, a powietrze jest przyjemne.

Porzucając słońce, zagłębialiśmy się w ciemne wnętrza kościelne, pachnące kadzidłem.

Jak wszędzie, tak i tutaj podziwiałem układność Podfilipskiego. Wszedł do kościoła poważnie, z wzrokiem utkwionym w wielki ołtarz, jak gdyby trochę wzruszony, co mu dało sposobność ominąć dwa pierwsze stoły: przy jednym siedziała pojedyńczo starsza pani, znajoma, dzwoniąc rozpaczliwie miedziakiem w tacę; przy drugim matka z paru córkami, ale osoba, którą można było pominąć. Dopiero przy trzecim stoliku spostrzegł Podfilipski przypadkiem księżnę *** i panią Granowską w rozpiętym sobolowym kubraczku. Cicho podszedł i, dyskretnie złożywszy na tacy kilka sztuk złota, przysiadł na pustem krześle koło pań.

Opowiedział parę nowin, poprosił panią Granowską o obrazek, na co mu odpowiedziała, szukając niby po stole.

— Szukam dla pana obrazka z dobrym łotrem.

Pan Zygmunt pohamował śmiech ze względu na powagę miejsca. I wyszedł równie poważnie,

jak wyszedł, tylko z głową nieco pochyloną, skupiony w myślach.

Kiedyśmy już byli poza kościołem zwrócił się do mnie z uśmiechem swym filozoficznym:

— Lubię to wesołe pogaństwo.

— Gdzież je pan widzi?

— Tu, wszędzie, naokoło nas. Czyż ma co wspólnego z chrześcijaństwem ten salonowy sport kwestarski, uprawiany przez wyższe klasy, albo ta przechadzka po wystrojonych grobach i oczekiwanie święconego, przeznaczone dla ludu?

— To są objawy zewnętrzne — wtrąciłem.

— Dobrze, ale czego? Objawy zupełnie świeckie, objawy tego pragnienia, które każda istota ludzka nosi w piersi: użyć świata. Ja cieszę się, gdy to widzę — nie przez miłość bliźniego, pojęcie zupełnie fałszywie sformułowane, — ale dlatego, że rozkosz życia jest zaraźliwa i nawet z tym tłumem, z którym tak mało rzeczy mnie łączy, mam jakieś wspólne wesołe dreszcze.

— Nie dał mi pan wytłómaczyć się — odrzekłem. — Mówiąc o objawach religji, myślałem o jej praktykowaniu. Ma ona swe praktyki smutne, jak umartwienia, ale i wesołe, jak pamiątki dni uroczystych, tryumfów swych, zwycięstw nad światem. Te praktyki wesołe zgadzają się zupełnie z naturą ludzką i jej skłonnościami, poniekąd epikurejskiemi; ujmują nawet te skłonności w pewne niebolesne karby,

nadają im kierunek. Więc tłum świąteczny i te panie kwestujące i ci, którzy chodzą „po grobach“, mają zapewne dużo świeckich myśli w głowie, jednak „praktykują“, czyli składają religji hołd uszanowania i posłuszeństwa.

— Co pan nazywa religją?

Tak zagadnięty, zanim zdołałem sformułować jako tako odpowiedź, już mi przerwał Podfilipski.

— O ile znam wogóle teorje religji, jest ona zawsze myślą o życiu zagrobowem, — przynajmniej tak ja rozumiem tę abstrakcję. Otóż, wszelkie jej praktyki wypływają z tej myśli, jak umartwienia, poświęcenia, powstrzymywania naturalnych popędów, są smutne i przeciwne naturze ludzkiej. Praktyki zaś wesołe, przez pana wspomniane, wypływają z zupełnie innych źródeł i nie są czem innem, jak cennymi zabytkami pogaństwa, które jest kultem życia, a nie śmierci. Czy pan sądzi, że komu na tej ulicy, albo w tych pięciu kościołach przemknęła choćby przez głowę myśl o śmierci? O jutrzejszem święconem, o wiośnie, o wizytach, o konjunkturach, kto przyjdzie z datkiem, ile pieniędzy mają przy tamtym stole — tak — nawet o pacierzu za powodzenie jakichś świeckich zamiarów i o odpuście grzechów, aby mieć miejsce na nowe — ale o religji nikt nie pomyślał.

— Odpowiada pan trochę abitralnie za innych — wtrąciłem znowu — są ludzie, przekonani o potrzebie religji i przywiązani do jej praktyk.

— Że są, o tem nie wątpię — rzekł Podfilipski. — Nawet jest ich przeważna liczba. Powiem jeszcze rzecz, która może pana zdziwi: ja sam przekonany jestem o potrzebie Kościoła. Wprawdzie to zupełnie co innego. Religja jest ideą filozoficzną, zdaniem mojem, fałszywie pojmowaną i tak różnorodną, że każdy ma prawie inną swoją odmianę tego pojęcia. Kościół zas chrześcijański jest instytucją bardzo mądrą, skoro tak długo potrafiła dyktować światu swe kodeksy moralne — i najzupełniej potrzebną dla mas. Jest to jeden z tych hamulców dla tłumu, jeden z tych wielkich wynalazków dla zawiązania oczu słabszym i grubszym naturom, jeden z tych wielkich systemów klatek, trzymających na uwięzi menażerję Bożą, którąby bez tego dawno wzajemnie się porozdzierała.

— Tak, to się wiąże z teorją pana o wieczystej walce egoizmów — nadmieniłem.

— Naturalnie, że się wiąże — wszystko się u mnie wiąże tu.

Wskazał na czoło.

— Jednak — rzekłem — nawet ze swego stanowiska robi pan Kościołowi dużą reklamę. To chyba nadludzka siła potrafi świat trzymać na uwięzi przez dziewiętnaście wieków.

— No — dziewiętnaście wieków! — o tem możnaby jeszcze długo mówić. To już inna materja. Nie będę ja Husem, ani Lutrem; przechodzi

to nawet zakres moich ambicji. Ja zawsze zgadzam się w takich rzeczach z systemem istniejącym, prawie każdy bowiem jest dobry, gdy go przyznaje nad sobą wielka masa ludzi, albo gdy go toleruje w braku lepszego. Ale brniemy w historjozofję, w socjologję, tymczasem religja nasza czeka na nas. Mamy jeszcze niezbędne trzy stoliki kwestarskie, a te są, niestety, w trzech oddalonych kościołach.

Siedliśmy do dorożki. Niby bryła lodu ciężyła mi na mózgu zimna logika pana Zygmunta. Po długiem milczeniu odezwałem się:

— Jednak ludzie, którzy naprawdę wierzą i życie ułożyli stosownie do swej wiary i mają z religji zadowolenie wewnętrzne i pociechę na smutne dni — muszą być szczęśliwi?

— Nie, panie Jacku. Takie szczęście jest tylko dla umysłów bojaźliwych. Ludzie, którzy noszą całokształt świata w sobie, jak ja naprzykład, wyższe mają zadowolenia. Nie trzeba się bać myśleć, panie.

Weszliśmy znowu w ciche wnętrze kościelne, pachnące kadzidłem.

Około tej Wielkiejnocy byliśmy ożywieni z panem Zygmuntem chęcią do metafizyki i teologji. Pamiętam bowiem inną dyskusję, podobną nieco do poprzedniej, która wynikła nazajutrz przy obchodzeniu „święconych“. Skarżyłem się na wizyty,

na urzędowe święcone, mówiąc, że święta są dla mnie z tego powodu najnudniejszą porą.

— Trudno — odpowiedział pan Zygmunt — to obowiązek.

— Chyba obowiązek towarzyski, od którego zresztą można się wykpić lub wykupić.

— Wszystkich obowiązków można się pozbyć tak samo.

— Jakto? — pytałem. — Za cóż tedy pan ma obowiązek.

— Za to, czem jest — za przepisy prawne, moralne, policyjne, towarzyskie, ulegające zmianom i przekształceniom, stosownie do czasu, miejsc i osób. Szanować je należy, oczywiście, bo są to paragrafy kontraktu społecznego, który i mnie przysługuje: przysparza mi korzyści, a wkłada na mnie ciężary. Te ciężary znoszę, póki opłacają mi je sowicie korzyści; gdy bilans wypada na moją niekorzyść, zrywam kontrakt. Naturalnie, że zrywam go dyskretnie, nie całkowicie i ostrożnie. Skandal jest głupstwem i niezgrabstwem. Ale gdybym miał wymienić, co uważam za swój stały, jak to mówią, święty obowiązek, doprawdy, nie umiałbym odpowiedzieć... Chyba pracę nad rozwojem własnego indywiduum — chociaż i to instynkt wrodzony, a nie jakiś gwałt zadawany sobie dla zadośćuczynienia urojonej konieczności posłuszeństwa komu lub czemukolwiek.

— Panie! ależ to teorja zupełnie przewrotowa,

przeciwna pojęciom nietylko władzy, powagi, ale nawet ładu i składu społeczeństwa.

— To też nie trzeba tego mówić głośno.

Wchodziliśmy właśnie na święcone do mieszkania państwa Szreńskich i zastaliśmy tam zebranie liczne, ale dość ciche, przytłumione przez powagę człowieka i domu. Pan Zygmunt swą filozofię zostawił w przedpokoju — gdzie tam! — na ulicy. Pocałowawszy w ramię gospodarza domu, wysłuchał z widocznym szacunkiem kilku jego uprzejmych słów przywitania, usiadł na uboczu, i wmieszał się do rozmowy dopiero wtedy, gdy go zagadnięto, czy czytał nową encyklikę Ojca Świętego.

Czytał ją, był nawet bardzo dobrze z nią obznajmiony, chwalił ją wymownie — wywarł korzystne wrażenie.

Gdyśmy wychodzili, spoglądałem na niego z ukosa, a on, przewidując wahanie mojej myśli, rzekł z uśmiechem:

— Ma mnie pan za hypokrytę?

Coś odmruknąłem.

— Bo to widzi pan: u mnie znaleźć można na stole i encyklikę, i Renana, i „Vie Parisienne“ — mam nawet starą książkę do nabożeństwa. Może to dziwaczne, a może świadczy o pewnem... bogactwie myśli. Mówiłem zresztą panu, że zgadzam się z systemem panującym. A co do tego, że nie wy-

głaszam poufnych poglądów tam, gdzie mnie nie zrozumieją, to jest prosty *savoir vivre*.

— Nie przeczę, ale poco wygłaszać przeciwne swoim zasady?

— Żeby ludzi pocieszać. Poco ich martwić?

— Dobrze, nie mówię o dniu dzisiejszym, ale wogóle...

— Wogóle niema prawie nic, wszystko jest w szczególe. I teraz chodź pan ze mną na obiad, który zarządziłem dla wybranych moich, albowiem powiedziano jest: wogóle spożywać będziesz święcone w pocie czoła twego, a w szczególe znajdziesz colmary w hotelu Brühlowskim i Falbankę, która powróciła wczoraj z Cisowa. Tylko to sekret!

U BRÜHLA.

Do restauracji hotelu Brühlowskiego weszliśmy drzwiami, prowadzącemi bezpośrednio do gabinetów, które otwarto specjalnie dla pana Zygmunta w ten dzień świąteczny. Przyszedł Fred Zbarazki i Dudar, malarz koni, protegowany przez Podfilipskiego, znany za granicą, a głównie w Ameryce, pod pseudonimem „Edmond d'Oudard". Nie oczekiwano już nikogo więcej, oprócz Falbanki.

Pan Zygmunt miał do nas orację wstępną:

— Tylko słuchajcie, panowie! O obiedzie dzisiejszym nie powinien nikt, oprócz nas, wiedzieć, ze względu na Falbankę, która tu przyjdzie. Falbanka wstępuje teraz na drogę pracy i ascetyzmu: poświęciła się zawodowi pedagogicznemu, na wsi.

— Co ty mówisz! — zawołał Fred — ja myślałem, że była gdzieś za granicą i powróciła.

— Szkoda jej — rzekł Dudar — kobieta jest z wielkim ruchem i umie się ubierać. Na wsi może

zardzewieć i taki był inteligentny jej salonik; wprawdzie to zasługa naszego amfitryona.

Mówił miękko i pieszczotliwie, akcentem zagranicznym; ubrany był oryginalnie: koszulę miał z niekrochmalonym gorsem w zakładki, smoking ciemnobronzowy, dużo breloków. Twarz nie nosiła na sobie innego piętna, tylko staranne utrzymanie czarnych wąsów i włosów. Mógł mieć około trzydziestu lat.

— Bez żartów, proszę was o to, abyście nie wspominali, że Falbanka tu była. Dzisiaj, jako w dzień świąteczny, ma urlop, wychodzi na miasto, niby do krewnych. Bo ci państwo, u których się znajduje, są także w Warszawie. Gdyby się tam dowiedziano, że zamiast do krewnych poszła „z panami do gabinetu“, byłoby to przykre. Znacie wszyscy ciasnotę pojęć u nas. Ostatecznie, przyjdzie sobie tutaj do starych znajomych, zje obiad i powróci do swoich obowiązków. Ale cóż chcecie! nie darowanoby jej tego: straciłaby zapewne miejsce.

— Ogromnie ciekaw jestem ją zobaczyć — rzekł Fred, zacierając ręce. — Pani Anna guwernantką! *ça vous a un montant...* Poprosimy ją, żeby nam dała próbną lekcję! *Oh! mes enfants...*

Zanucił zwrotkę znanej piosenki z paryskiego *Chien noir.*

— A wiecie — rzekł Podfilipski — że zmieniła uczesanie włosów? nie nosi już tych przyklepanych niobków na uszach, tylko wszystkie włosy czesze

do góry, zwyczajnie. I taka jest z tem młoda, taka młoda, że wygląda na pensjonarkę.

— Brawo! — krzyknął Zbarazki. — Usiadł do fortepianu i począł na nim bębnić jakiegoś marsza, udając głosem flety i trąby.

Obiad był zapowiedziany na wpół do ósmej. Minął już kwadrans po terminie i pan Zygmunt począł się niepokoić; wyszedł nawet na ulicę. Może ona nie zna wejścia do gabinetów? Powoli wszystkich opanowało to uczucie nieprzyjemne, w którem jest już połowa rozczarowania. Jednak może jeszcze przyjść. Kobiety nie wiedzą nigdy, która godzina, suknie zawsze źle leżą w ostatniej chwili, i szpilki od kapelusza wszystkie gdzieś się zapodziewają.

Pocieszaliśmy się temi przypuszczeniami, ale wesołość gasła. Fred przestał grać na fortepianie.

Około ósmej służący hotelowy wprowadził starego posłańca w czerwonej czapce, który oświadczył, że mu kazali „oddać ten list do rąk własnych jaśnie hrabiego Nadfilipskiego“.

— Dawaj ośle! — zawołał pan Zygmunt, wyrywając mu list z rąk.

Rzucił okiem, przygryzł nieznacznie usta i pobladł trochę; potem, przeglądając jeszcze dalsze strony (bo list był długi), mówił do nas głosem już zupełnie uspokojonym:

— Naturalnie, nie może przyjść, jest cierpiąca,

a poprostu boi się, naturalnie, jak raz ugrzęzła w to parafjalne nabożeństwo...

Podniósł potem głowę i rzekł:

— Bardzo was przepraszam. No, nie udało się. Wczoraj mi obiecała, teraz znowu nie. Trudno. Ponieważ nigdzie nie dostaniecie dzisiaj obiadu z powodu zamknięcia restauracji, radzę wam jeść. Colmary tylko co przyszły z Berlina. Ja mam wilczy apetyt.

Wszyscy zaczęli mówić o apetycie i zabierali się do jedzenia z nadmiernemi oznakami zapału, ale zawód był dotkliwy i wesołość podtrzymywano sztucznie. Ten, który musiał czuć zawód najżywiej, Podfilipski, był napozór zupełnie spokojny, wyraz twarzy miał pogodny i nie dawał upaść rozmowie. Tylko Fred, chociaż także nad sobą panował, przełykał z pewną goryczą zupę, colmary i resztę potraw. Falbanki brakowało mu widocznie jak dziecku, któremu obiecano konfitury, a dają kaszkę na mleku.

Z tajonej desperacji wszczęliśmy rozmowę o sztuce; nasunęła ją nam obecność malarza. Dudar, wsadzony na swego konika, stał się wymownym. Artysta ten był zarazem sportsmenem, gdyż malował przeważnie sceny wyścigowe. Studjował potrochu wszędzie, głównie w Wiedniu, obecnie zaś działał w Paryżu. Był on z rodzaju tak zwanych *peintres de chic,* malujących łatwo i bez pedanterji w rysunku. Duży obraz wykańczał nieledwie równie prędko, jak

wierzch na pudełko od cukierków. Podfilipski dawał mu często roboty, znęcony może tą łatwością jego i gotowością do wszystkiego. Czy potrzebował karnetów balowych, czy portretu zwycięzcy takiego to biegu, czy sceny charakterystycznej z wyścigów lub polowań konnych do ozdoby swego albo cudzego mieszkania, udawał się do Dudara. Ten specjalnie dla pana Zygmunta, którego nazywał swym Mecenasem, wykonywał każdy obstalunek dokładnie, w ilości i w rozmiarach wymaganych.

Widywałem często po różnych miejscach jego konia, wyciągniętego długim bokiem do widza, osiodłanego według wszelkich reguł sztuki, ze złotą plamą słońca na zadzie i na liberji żokieja, z głową, trochę zwróconą do widza, i z wielkiem okiem, mówiącem niby: „a co? udałem się?" Pamiętam także ulubiony przez niego typ dojeżdżacza, przesadzającego barjerę wprost na widza: koń wspięty w skrócie, z głowy widać przeważnie nozdrza, jednej nogi pozornie brak od kolana, we środku przyjemna plama czerwonego fraka i złocistej trąby.

Rozmowa zaczęła się od tego, że Dudar w przeciągu minuty naszkicował na obrusie węglem takiego dojeżdżacza.

— Znam ten obrazek — rzekłem — widziałem go u pana Zygmunta.

— Nie. To jest taka sobie fantazja.

Przyglądałem się uważnie szkicowi.

— A jakiż jest tamten?

— Tamten galopuje z innej nogi — o tak.

Starł przód konia i w mgnieniu oka przerobił galop.

— Patrzcie! — rzekł Podfilipski — on jest rzeczywiście zadziwiający. Ile on na to użył czasu? minutę, i macie: jest ruch, skok, trąba, gra — wyborne! No, zrób nam pan tego drugiego konia, co u mnie wisi w przejściu; wie pan?

Dudar uchwycił węgiel, a Podfilipski wziął do ręki zegarek.

— Minuta i dwadzieścia sekund. Teraz zobaczmy... Absolutnie to samo. Jaka łopatka!

Przypomnieli mi się ci dawni kaligrafowie, którzy z rozmachu, bez odrywania pióra od papieru, rysowali wzlatującego orła z żądaną cyfrą w szponach. Ale rzekłem co innego:

— Gdybym ja tak umiał rysować, porobiłbym kilkaset takich kartonów po trzy ruble, większe po pięć, jeszcze większe po dziesięć i puściłbym je w obieg, jako asygnaty.

Dudar nie zasmakował w tym żarcie.

— Idzie to niby łatwo, ale póki się do tego dojdzie! A przytem nie można rysować ani malować codzień, trzeba usposobienia, stanowczo trzeba usposobienia.

— Jednak do tych rzeczy, które się już poniekąd umie na pamięć? — zapytałem.

— Nawet do tych.

Zabrał głos Podfilipski:

— Dzieła pana Dudara należą, mojem zdaniem, do najozdobniejszych, najsmaczniejszych, jakie znamy w malarstwie rodzajowem nowożytnem.

Malarz skłonił się, pan Zygmunt mówił dalej:

— Nie uprawiam ja żadnej sztuki i nie mam, z przeproszeniem audytorjum, sztuki w takiem poszanowaniu, jak naprzykład filozofji, albo umiejętności życia, bo jest to tylko dodatek, przystrojenie, jak naprzykład kwiaty przy obiedzie; mówiąc jednak o ozdobach życia, chciałbym, aby te ozdoby były rzeczywiście ładne, przyjemne, żeby wywierały odrazu wrażenie na każdego, a nietylko na współmalarza, współrzeźbiarza, jednem słowem na ludzi tego samego fachu. Co mi z tego, że ten sławnie rysuje, kiedy nie mogę patrzeć na jego tematy? Co mi z tego, że tamten, jakiś „wibrysta“, wynalazł bardzo silną plamę słoneczną, kiedy ja widzę tylko malachit, jajecznicę i farbkę do prania, zamiast krajobrazu? Dla mnie obraz powinien być tak zgrabny, harmonijny i ozdobny, jak naprzykład zegar ścienny z epoki Ludwika XV. Może to mój gust indywidualny? może nie jestem znawcą? Chociaż wiem, że, jak kiedy co kupię, albo co wynajdę u antykwarjusza, nigdy nie przepłacę i winszują mi nabytku. Oko mam. Na co mi się znać po malarsku na obrazach, po rzeźbiarsku na rzeźbach, po gisersku na bronzach? Czy ja to będę sam robił?

— Jest jednak zadowolenie estetyczne, które podnosi ducha, nietylko zachęca do posiadania pewnego dzieła. Stojąc naprzykład przed Hermesem Praxytelesa... — zacząłem-był mówić, ale przerwał mi Podfilipski:

— Ech, panie, żeby to nie był ów sławny Praxyteles, toby pan sobie tyle nie wyobraził o posągu, i podniesienie ducha byłoby mniej znaczne. Ja lubię sądzić według moich własnych zasobów intelektualnych. Podoba mi się coś — zatem jest piękne. To zasada prawie chłopska, a jednak prawdziwa. Często przez zbytnią spekulację omijamy prawdę, tuż pod ręką leżącą.

— Jednak przyzna mi pan — próbowałem spierać się dalej — że wykształcenie artystyczne pogłębia wrażenia, otrzymywane z dzieł sztuki. W malarstwie trzeba nauczyć się patrzeć, w muzyce — słuchać. Nie chodzi o to, żeby nauczyć się rozróżniać, co jest modne, a co nie, albo co się tak nazywa technicznie, co inaczej, tylko poprostu doskonali się zmysł wzroku, a jednocześnie subtylizują się i pojęcia.

— Czyli, że pan szuka w obrazie rzeczy, których przed dwoma laty nie widział, które zatem wówczas dla pana nie istniały. Teraz istnieją dla pana, ale znów nie istnieją dla innych ludzi, bądź-co-bądź wykształconych i pracujących mózgiem.

Więc co pan wyniósł za korzyść z dwuletniej pracy i obserwacji? Zmienił pan zdanie — tyle tylko.

— Wydoskonaliłem zdanie, to co innego.

— To może zdawać się tylko. A przecież są dzieła sztuki, które odczuwa każdy bez przygotowań technicznych i komentarzy. Są także naprzykład obrazy, idące razem z epoką, dopełniające życie codzienne. Te ja lubię, i dlatego lubię malowidła pana Dudara.

— Czyż ja mówiłem, że ich nie cenię?

Malarz tymczasem, oglądając wypolerowane paznogcie, odezwał się, skromnie spuszczając oczy:

— Pozwolą szanowni panowie, że do dyskusji dodam parę słów czysto technicznej natury. Są różne rodzaje malarstwa. Rodzaj, który sobie obrałem, nie mówiąc o temacie, jest może śmiały, może nie uznany ogólnie, w każdym jednak razie ma swe prawo istnienia. Obraz nie składa się jedynie z rysunku, koloru i światła. Jest w nim jeszcze pewien nastrój, duch obrazu, że tak powiem, wynikający z kombinacji rysunku, koloru i światła. Tego ducha spotęgować, wydobyć go na wierzch kosztem nawet prawdy realnej — jest mojem skromnem zadaniem.

— Znam tę teorję, panie — odpowiedziałem — ale co to ma do naszej dyskusji?

— Jest to moje artystyczne „credo".

— Jak je pan, naprzykład, stosuje?

— Ocena mojej działalności nie należy do mnie.

— Ależ ja nie krytykuję, tylko proszę o objaśnienie.

Trudno było zagłębiać się z Dudarem w rozmowę o sztuce. Sprowadzał ją ciągle do swoich dwóch koni. I Podfilipski był dzisiaj kwaśny w dyskusji. Zbarazki nudził się już na potęgę. Wogóle obiad nie udał się.

Rozeszliśmy się wcześnie. Przed pożegnaniem zapytałem Podfilipskiego na uboczu, co tam było w liście Falbanki?

— Nie gadajmy dziś o niej. Nigdy lotną nie była, ale w tym Cisowie doprawdy ostatecznie... Widziałem ją na chwilę i zaproponowałem, żeby się gdzie zobaczyć. Dobrze. Urządzam obiad, proszę was, a ta nie przychodzi, bo... bo, nie wiem co? Nie zrozumiała, nie może nadal narażać się i t. d. Sprawia mi istotną nieprzyjemność, nie wierzy, memu doświadczeniu i ostrożności... To jest wdzięczność kobiet. Mówię panu, że dla kobiety nigdy nic zrobić nie warto; trzeba ją mieć dla siebie i trzymać w rygorze. Falbanka teraz zostanie w Warszawie; już ja to potrafię...

Wykonał zaciśniętą pięścią szybki ruch, jakby coś skręcał i łamał.

MIŁOSIERDZIE.

Na trzeci dopiero dzień poszedłem do państwa Tomaszów Podfilipskich, przybyłych do Warszawy z dziećmi i panią Darnowską. Zastałem w hotelu tylko Tomasza, a przynajmniej tylko on do mnie wyszedł. Sprowadził mnie do restauracji. Miał minę tak ponurą, że odrazu zapytałem, co mu jest? Odpowiedział:

— Wypijmy butelkę wina, bo jestem od wczoraj tak zgryziony, że sobie rady dać nie mogę, i wiele rzeczy nie mieści mi się w mózgu. Wyobraź sobie — oddalamy Darnowską.

— Jakto? w czem zawiniła?

— Tyle zawiniła, że w ciągu kilku miesięcy jej u nas pobytu przywiązaliśmy się do niej, a ona do nos. Nie można wymarzyć łatwiejszego charakteru: ze wszystkiego zadowolona, za wszystko dziękuje; dzieci przepadają za nią, a ona za niemi; Mania już od biedy papla po francusku. A przytem, chociaż taka ładna, nigdy nie zauważyliśmy cienia nieprzyzwoitej zalotności do kogokolwiek.

Było przecie u nas kilkanaście osób, i pokazujemy ją wszystkim, bo jest zupełnie dobrze wychowana, zupełnie osoba dobrego towarzystwa.

— No więc cóż się stało?

— Przyjechaliśmy tutaj — trochę interesów — dentysta, porada lekarska dla Jadwini; jednem słowem — zebrała się paczka drobnych spraw, które na święta wygnały nas do Warszawy. Alinka chciała odwiedzić kilkanaście osób znajomych i wybrała się wczoraj z wizytami. Wraca z miasta blada i zmieniona, aż mnie coś ścisnęło w piersi.

— Wiesz — mówi — com się dowiedziała o Darnowskiej? Że żyła w Warszawie przez parę lat z księciem Alfredem Zbarazkim.

— Co to jest?! — pytam — skąd ta nowina?

— Od pani Odęckiej.

— Któż takim piekielnicom wierzy — mówię — i poco wogóle do niej chodzisz?

— Trudno — poszłam; znam ją od mego dzieciństwa. Opowiedziała mi mnóstwo szczegółów. Jeżeli dziesiąta część tego jest prawdą, nie możemy u siebie trzymać pani Darnowskiej.

Ta jędza twierdzi stanowczo, że może się powołać na jakie chcemy świadectwa. Opowiada też niestworzone rzeczy o jakimś głośnym skandalu w Ustroniu, który miał się zdarzyć przeszłej jesieni.

— To ja znam dokładnie. Daję ci słowo, że nie było tam pani Darnowskiej.

— Więc widzisz! - może i reszta kłamstwo?— zawołał Tomasz, na chwilę rozpromieniony. — Więc nieprawda, że przyjechała brekiem z wyścigów ze Zbarazkim?

— Nie przyjechała do Ustronia.

— Więc gdzieindziej?... Ufam, że nie zechcesz naszym kosztem osłaniać pani Darnowskiej?

Ruchliwa jego twarz od promiennego wyrazu nadziei przeszła znowu do wielkiej goryczy.

— Mój Tomaszu kochany — rzekłem, biorąc go za rękę — stary kolega cię nie zdradzi, ani podejdzie.

Opowiedziałem mu ze wszystkimi szczegółami historję obiadu w Ustroniu i uboczną rolę, którą grała tam pani Darnowska.

— Tak — ale jeździła ze Zbarazkim — wszędzie ten Zbarazki! Ach, mówią i o innych, tylko mi ich Alinka już nie chciała wymienić. Proszę cię — dodał, biorąc mnie za obie ręce — powiedz mi, co wiesz o tej kobiecie.

— Wiem, że ma dobrą naturę — to mogłem zauważyć nawet osobiście, chociaż mało ją znam. Tak samo mogę prawie zapewnić, że Zbarazki nie miał przy niej tej roli, którą mu przypisują. Zapewnić cię o jej bezwzględnej uczciwości — rozumiesz, że nie jestem w stanie. Widywałem ją od czasu do czasu u niej. Przyjmowała samych mężczyzn. Kiedym się dowiedział, że brat ci ją przysłał na nauczycielkę, zadziwiłem się. Więcej nie mogę ci nic powiedzieć.

— Tak, ale i tego dosyć, aby zniechęcić Alinkę. Tymczasem zaczerpnęła ona innych informacyj, nietylko Odęckiej — i niestety — zgadzają się co do treści. Pojmujesz, że ja... ja zamknąłbym może oczy na niektóre przewinienia, bo mam przekonanie, że to jest kobieta dobra i z natury uczciwa. Jej nieszczęścia, brak oparcia, położenie bez wyjścia żony, opuszczonej przez męża — mogły ją doprowadzić do pewnych ustępstw, jeżeli wogóle ją doprowadziły. Ale cóż? — taka kobieta, jak Alinka, w której głowie nie powstała nigdy myśl nieczysta, ani przypuszczenie, że można dla rozkoszy poświęcić obowiązek — taki kryształ, jak ta kobieta — nie może ustąpić nic ze swych zasad, które nosi wysoko, bo ma do tego prawo. Jej moralność, to nie poza, przybrana dla ukrycia podłych instynktów, to nie płaszczyk, ale sztandar. To także nie moralność nasza okolicznościowa i paktująca ze słabostkami. Jabym jej nawet nie śmiał powiedzieć: zamknij oczy, przebacz, ludzie są słabi. Tak — ludzie, ale nie ona.

Mimo, że byliśmy w restauracji, wstał i chodził, rozprawiając gorąco. Na szczęście, w dużej sali, oprócz dwóch osób w przeciwległym końcu, nie było nikogo. Pomilczał przez chwilę, pogrążony w myślach, potem znów mówił z wyrazem tkliwego zakłopotania:

— Teraz znowu pytanie, kto jej ma wymówić miejsce i pod jakim pozorem?

— A więc pani Darnowska jeszcze nic nie wie?

— Jeszcze nic. Alinka mówi, że jej strasznie przykro, i prosi mnie, żebym się tego podjął... Jakże ja mogę? Co jej powiem? „Czy pani żyła z księciem Zbarazkim?“ — to przecie niepodobieństwo. Więc wymyślę jakich kilka łgarstw, a ona wytrzeszczy na mnie te swoje zaufane oczy i zapyta: dlaczego? — albo jeszcze się rozbeczy... Nie, ja tego nigdy nie potrafię. Wiesz co? ty ją znasz, możebyś ty...

— Ależ, mój Tomaszu!

— Nie — głupstwo.

Sam się roześmiał na chwilę i chodził dalej po pokoju nieszczęśliwy, przybity. Dbał zapewne o panią Annę, jednak się w niej ani trochę nie kochał (onby kochał inną, niż Alinę!). Zatrzymanie pani Darnowskiej w Cisowie nie było wyraźną dla niego korzyścią, bo równie dobrą nauczycielkę do drobnych dzieci mógł łatwo znaleźć. Poprostu ten człowiek miękkiego serca cierpiał na myśl pewnego okrucieństwa, połączonego zwykle z wymiarem sprawiedliwości; ten estetyk wzdrygał się przed zduszeniem ładnej, bezbronnej ptaszyny.

Nie mogąc tu nic poradzić, zostawiłem go w tym stanie i poszedłem odrazu do pana Zygmunta. Jest on i zręczny i wymowę ma przekonywującą: rozwikła to położenie, które ostatecznie sam zaplątał. Pokładałem w nim nadzieję.

Ale mieszkanie jego było szczelnie zamknięte. Z przykrością dowiedziałem się od stróża, że pan

Zygmunt wyjechał ze strzelcem swym Hansem na kilka dni do Berlina. Musiał być wezwany pilną depeszą, bo przedwczoraj jeszcze nic mi o tym wyjeździe nie mówił.

Zrobić coś dla pani Darnowskiej nie było w mojej mocy; — nie czułem nawet prawa do tego. Czyż ja znam ostatecznie jej życie? Czy mogę działać na jej korzyść, a na niekorzyść Tomaszów? Wydawała mi się tylko bardzo biedną istotą, więc mi jej los stał na myśli przez cały dzień, tak dalece, że wróciłem późnym wieczorem do hotelu, gdzie mieszkali Tomaszowie, ażeby się czegoś dowiedzieć. Wywołałem Tomasza z numeru przez służącego oczekując go w gabinecie przy restauracji z butelką wina, które lubił. Niech się biedak przynajmniej napije na pociechę.

Wchodząc, zadziwił mnie nowym wyrazem twarzy, którego odrazu nie zgadłem. Siadł i głosem poważnym, dźwięcznym, rzekł mi:

— Zaszły ogromne zmiany,

— Jakie? na korzyść pani Darnowskiej! .

— Słuchaj. Podczas, gdyśmy gadali tu popołudniu, Alinka wyszła jeszcze raz na miasto i bawiła z półtorej godziny. Nie pytałem jej, dokąd chodziła. Twarz jej była tak cicha, natchniona sprawiedliwością i słodyczą. Rzekła mi:

— Teraz rozmówię się z panią Anną.

Znajmujemy trzy pokoje. Wziąłem dzieci do jednego, te panie zaś poszły do trzeciego, aby odgrodzić się od nas salonikiem. Rozmowa trwała może trzy kwadranse, może tylko pół godziny, ale wydała mi się długą. A musiałem przytem zająć dziewczynki czemkolwiek, żeby odwrócić ich uwagę. Przez kilka minut było spokojnie, — gdy nagle usłyszałem płacz kobiecy, — ale, mówię ci, płacz taki rzewny i pełen nieszczęścia, taki ostateczny jakiś i straszny, jakby zabijanego dziecka. Gdybym sobie nie powtórzył niemal głośno, że to Alinka rozmawia z Darnowską, rzuciłbym się do tych drzwi i wyłamał je. A trwał zaledwie kilka sekund. Słychać było, że usta płaczącej oparły się o coś miękkiego, i ciało jakieś uderzyło o podłogę. Raz jeszcze wybuchnął ten krzyk rozdzierający i uwiązł znowu w tej przeszkodzie, — powoli przeszedł w gorące, równe łkanie — i posłyszałem przez chwilę podniesiony głos Alinki:

— No, nie płacz już, dziecko...

Była dla mnie męka, bo dziewczynki poczęły mnie pytać, coraz bardziej odymając twarzyczki.

— Dlaczego płaczą, papo, dlaczego płaczą?...

A ja odpowiadałem byle co:

— Nie mogą dzieci wszystkiego wiedzieć starsi mają smutki.

I łkanie trwało ciągle, trochę cichsze — potem milczenie zaległo — i znowu czekałem. Aż otworzyły

się drzwi od salonu, do którego wywołała mnie Alinka. Miała także mokre rzęsy, i rzekła trochę drżącym głosem:

— Jutro wracamy do Cisowa — pani Darnowska powróci z nami...

Ja zapytałem Tomasza...

— No, ale co? cóż się okazało?

— Okazało się — rzekł Tomasz poważnie — że pomiędzy oszczerstwami była i jakaś drobna część prawdy. Z kim? kiedy? Alinka nie powiedziała mi, i nie ciekawy jestem wiedzieć. Biedna kobieta rzuciła jej się do nóg i wyznała coś, odparła resztę, a to z takim szalonym żalem i skruchą, że spowiedź jej uważać należy za ostatecznie objaśniającą całą sprawę. Tak mówi sama Alinka. Poznała tę biedną duszę — mówi — poznała winę, ale nie zepsucie, ufa, że ją poprowadzi, wie, że opuszczenie jej przez nas mogłoby być jej zgubą — no i bierze ją w opiekę.

— Ale nie pozostaje w Cisowie przy dzieciach? — zapytałem.

— Nie — to niepodobieństwo. Alinka nie może na to zezwolić. Skoro jednak ona kogo wzięła w opiekę, to znaczy dużo. Tymczasem zabieramy panią Annę do Cisowa; następnie ma dla niej różne przeznaczenia. Zobaczymy. — Darnowska zostanie jednak pod osobistą opieką Alinki. Błaga o to, nie chce pod żadnym pozorem wracać do Warszawy.

— Słyszałem jednak, że pani Darnowska nie ma już prawie majątku? Zatem będzie dla was ciężarem.

— Dla nas nie — odparł Tomasz — lecz dla samej Alinki, bo majątek nasz cały do niej przecie należy.

— Dobrą masz żonę, Tomaszu — rzekłem.

Nie przyszło mi do głowy pić za jej zdrowie. Coś z tego uwielbienia, które Tomasz miał dla pani Aliny, przeniknęło we mnie, i obaj, milcząc przez kilka minut, rozmyślaliśmy nad tą samą kobietą.

Chociaż Tomaszowie wyjeżdżali nazajutrz o 9-tej rano, postanowiłem odprowadzić ich na kolej. Pogoda była nieznośna — marcowy deszcz ze śniegiem chłostał niemiłosiernie. Po drodze na dworzec kolejowy, mijałem ich hotel i widząc, że omnibus naładowany kuframi jeszcze nie ruszył, wstąpiłem do hotelu.

Tomasz, gotów już do drogi, przechadzał się po saloniku. Dziewczynki wyglądały, jak dzwonki z różowemi na wierzchu gałeczkami w formie twarzy.

— Czy mama już pojechała? — niepokoiła się młodsza Jadwinia, wytężając cienki głos, bo główkę miała obwiniętą włóczkową chustką i sądziła, że inni także gorzej dzisiaj słyszą.

— Głupiutka jesteś — napominała ją Mania, równie podniesionym głosem — mama nie może bez nas pojechać.

— Dlaczego? — pytała znów młodsza, która zmysł dialektyczny wspólny ma ze stryjem Zygmuntem.

Tomasz spojrzał na zegarek.

— Już tylko pół godziny do odejścia pociągu, a jest dużo kufrów i ten mały bagaż (wskazał na dzieci). Alinka wyszła z panią Anną i spóźnia się. Zapakuję najprzód dzieciarnię do omnibusu.

Dokonał tego z pomocą panny służącej, którą przy dzieciach zostawił, poczem wrócił na górę, coraz bardziej zaniepokojony. Rzeczywiście było już tylko dwadzieścia minut czasu.

W tej chwili ujrzeliśmy w głębi korytarza dwie ciemne postacie kobiece, zbliżające się do nas szybko, prawie biegiem. Była to pani Tomaszowa i pani Darnowska. Ubrane obie szaro, niemal jednakowo, z chustkami obwiązanemi na kapeluszach, zarumienione od pośpiechu; wyglądały zdaleka, jak kobiety z ludu. W ręku niosły książki do nabożeństwa.

— Czy już nie mamy czasu trochę się przebrać? — spytała pani Tomaszowa, wpadając do pokoju.

— Ależ moja Alinko! — rzekł Tomasz z ładną wymówką w głosie — nie wiem, czy zdążymy dojechać do dworca.

— No, to jedźmy!

Pani Alina zdjęła chustkę z kapelusza, obwinęła w nią książkę do nabożeństwa i jako tako sprostowała kapelusz, bez lustra.

— Bardzo cię przepraszamy, Tomaszu.

Wszystkie ruchy pani Aliny powtórzyła z pedantyczną dokładnością pani Darnowska. Poczem ruszono kłusem do omnibusu.

Pozostawszy trochę za niemi, spostrzegłem ciemny, z rudym odbłyskiem kędziorek włosów pani Anny, spadający z tyłu na szarą solopkę i wspomniawszy niedawną przeszłość, zadziwiłem się:

— Więc to jest Falbanka!

Lekka moja doróżka wyprzedziła odrazu omnibus. Stanąłem na dworcu pierwszy i przygotowałem, co mogłem, do przyśpieszenia ekspedycji osób i kufrów.

Był to zgiełk, popłoch, przenoszenie dzieci przez błoto, nawoływania — nic z tej powagi i angielskiego spokoju, którym odznaczały się naprzykład podróże pana Zygmunta ze strzelcem Hansem. Przyznam się nawet, że w tym rozgardjaszu ja sam zapomniałem o świeżym dramacie, o mych entuzjazmach do pani Aliny. Wszystko zalane zostało przez szarą, mieszczańską pospolitość.

Bo może dla pani Tomaszowej wczorajsze przejścia, choć były wzruszeniem, nie wchodziły wcale w zakres czynów hohaterskich? Przeszła nad niemi do dziennego porządku cichego życia. Kiedy bowiem po szczęśliwem zapakowaniu kufrów, worków, dzieci i osób, pani Alina ukazała mi się uśmiechnięta w oknie wagonu drugiej klasy, nie wyglądała ani na bohaterkę, ani na bardzo wielką panią.

I ucieszyłem się, że jej wtedy nie widział pan Zygmunt.

DZIEŁO PODFILIPSKIEGO.

Pan Zygmunt był na wyjezdnem; kończył rachunki i likwidację swych interesów w kraju. Widywałem często czoło jego zamyślone, nawet pochmurne. Może niepokoiła go choroba Tomasza, który w parę tygodni po wyjeździe Zygmunta żyć przestał? Wtedy jednak nie można było spodziewać się tak nagłego końca; inne zatem troski nurtowały duszę Podfilipskiego. Może zerwanie z Falbanką? Obrót tej sprawy mógł mu pozostawić pewien niesmak. Może przeczuwał, że po raz ostatni ogląda kraj rodzinny? Może wreszcie czuł, że go nie dosyć oceniają i rozumieją w kraju? Ten ostatni domysł potwierdza mi wspomnienie jednego wieczoru, spędzonego sam na sam z Podfilipskim, na parę dni przed wyjazdem naszym za granicę.

Było to w jego mieszkaniu. Któż nie pamięta tych wielkich pokojów, w których powietrze samo zdawało się importowane z zachodu, gdzie cały obraz tego człowieka był jakby oprawny we właściwą mu wspaniałą ramę. Nie mówiąc już o meblach

sprowadzonych z Anglji, ani o pysznych kordubańskich skórach z herbami Podfilipskich, które zdobiły gabinet, ani o norymberskiej sali jadalnej, — każdy pokój był jakby poświęcony innemu bożyszczu domowemu, innym Penatom, uczczonym przez stosowne upiększenie ścian i półek dziełami sztuki. Więc gabinet był poświęcony koniowi, sala jadalna — „martwej naturze" a pokój sypialny — kobiecie.

Tu i owdzie spotykałeś też karykatury, sceny z wyścigów, artystyczne bronzy i porcelany, — także kilkanaście fotografji wybitniejszych przyjaciół. Całość była wspaniała.

Na specjalną wzmiankę zasługuje ubieralnia, którą pan Zygmunt pokazywał nawet z upodobaniem, jako najlepiej wykończoną z całego mieszkania. Był to duży pokój, obstawiony szczelnie szafami, jak bibljoteka; w szafach, w idealnym porządku, były rozpięte ubrania na stalugach i buty na prawidłach; szafy zamknięte stanowiły wyborną kombinację zwierciadeł, w których można się było przejrzeć ze wszystkich stron. Jedna ściana była ruchoma; odsunięcie jej odsłaniało łazienkę, urządzoną do wszystkich rodzajów kąpieli: wanny, prysznicu, a nawet ruskiej łaźni. W tym celu były zbudowane w głębi szerokie stopnie majolikowe, sięgające prawie sufitu.

Widziałem raz pierwszą godzinę dnia pana Zygmunta i podziwiałem jej rozkoszną estetykę. Z sypialnego pokoju, pełnego portretów kobiet już to mitolo-

gicznych, już to znajomych, przechodziło się przez małe drzwiczki do ubieralni, gdzie czekał Hans z propozycją wyboru ubrania, butów, bielizny, — rozłożonych na osobnym do tego tapczanie. Osobny był stół z przyrządami toaletowymi, osobny stolik do herbaty i gazet, osobne półki do perfum i znakomita kanapa do wypoczynku po kąpieli. Rozstrzygano kwestję wyboru kąpieli stosownie do pory roku i usposobienia. W tem wytwornem i pachnącem wnętrzu pan Zygmunt, ubrany w długi płaszcz biały, wyglądał niemal posągowo. Czułeś, gdyś go widział, że o takiej elegancji XIX wieku w przyszłości pisać będą książki.

W chwili, o której mówię, mieszkanie wyglądało smutnie. Pan Zygmunt opuszczał je na czas nieokreślony. Zapalono wiele lamp bez zwykłych dyskretnych efektów światła; potrzeba było dzisiaj tylko banalnej jasności, bo pakowano meble i obrazy. Hans majestatycznie dowodził tragarzami i służbą podrzędną, pan Zygmunt zaś siedział w gabinecie przy biurku i przebierał papiery.

Przyszedłem ułożyć się z nim o dzień i godzinę naszego wyjazdu. Podfilipski miał wyraz twarzy szyderczy. Z pomiędzy papierów wyjął niewielki zeszyt i zaprosił mnie na herbatę. Przeszliśmy do sali jadalnej, z której nic nie ruszono, bo malowidła tam były oprawne w drewniane ozdoby ścian. Były to „martwe natury“, zakupione na licytacji w „hôtel Drouot“. Jak zwykle więc patrzyła na mnie z ponad drzwi

ogromna kapusta między holenderskim rondlem i zabitym zającem. Ucieszyłem się niemal, że tę znaną mi jarzynę widzę jeszcze na swem miejscu.

Odezwał się Podfilipski, kiwając głową:

— Jak u nas gadać z ludźmi? poco gadać? Myślałem, że jest choć kilkudziesięciu, choć kilkunastu...

— Na kogoż pan tak narzeka? — zapytałem.

— Nie, bo to ostatecznie można stracić cierpliwość i może się odechcieć wszelkiego działania w kraju! Pokazałem dzisiaj komuś ten zeszyt. Komuś takiemu, o którym miałem wyobrażenie, że umie myśleć. No — i nietylko nie zrozumiał, ale mi powiedział, że bez bliższych objaśnień wygląda to na... Zresztą mało mnie obchodzi, co on myśli, dość, że nie zrozumiał. Zadziwi się pan, gdy powiem, że w tym małym zeszycie jest naszkicowana teorja życiowa człowieka, którego pan nie ma tak znowu za nic sobie...

— Niechże mi pan to pokaże — prosiłem zaciekawiony.

Oddał mi zeszyt do rąk. Na pierwszej stronie przeczytałem tytuł:

LE FRANC-PARLER D'UN GENTILHOMME

i motto:

De omni re scribili —

(Pic de la Mirandole).

Kiedym się wahał, czy dalej czytać, czy prosić o bliższe objaśnienia, Podfilipski mierzył mnie wzrokiem coraz pogodniejszym, nareszcie rzekł:

— To moje dzieło.

— Pan... także pisze?

— Tak, chciałem pisać i oto właśnie szkic mego dzieła, owoc długoletniego namysłu. Czy to kiedy napiszę? — nie wiem. Może nigdy. Nie jestem i nie chcę być literatem, — ale jak inaczej przekazać trwale światu rezultaty swych myśli i doświadczeń.

Przerzuciłem kajet i widząc, że zawiera kilka tylko stron, zapytałem, czy niema nic więcej?

— Dotąd gotowego tekstu niema nic, oprócz przedmowy. Są notatki i dokumenta. Ale samo zestawienie przedmiotów powinnoby już, mojem zdaniem, zelektryzować umysł filozoficzny, mogłoby nawet czegoś nauczyć. Niech pan to sobie przeczyta. Znajdzie tam pan bardzo wiele treści — tyle, ile można jej znaleźć w niewielkim szkicu: znajdzie pan wspomnienia naszych rozmów, a nawet wzmiankę o sobie. Tylko proszę mi oddać zeszyt, bo to jedyny cgzemplarz.

Obiecałem i zaniósłszy do domu, skopiowałem tegoż wieczora cały rękopis. Zachowanie kopji daje mi dzisiaj możność podzielenia się z czytelnikiem tym ciekawym szkicem. Dzieło skończone stałoby się zapewne ozdobą naszej literatury, chociaż, jak sam szkic byłoby napisane po francusku. Ale nawet ten plan,

czy fragment, jest cennym przyczynkiem do charakterystyki autora; zdumiewa też obojętnością swą filozoficzną.

LE FRANC-PARLER D'UN GENTILHOMME

De omni re scribili —

(Pic de la Mirandole).

WSTĘP.

Mimo znacznych zdobyczy wiedzy i doświadczeń starego świata, życie nasze składa się z przesądów i z konwencjonalnych urządzeń. Ponieważ składało się z nich zawsze, przeto wnosić należy, że i nadal składać się z nich będzie. Jest to porządek rzeczy nieodmienny. Nie zwali go siła pojedynczego, choćby największego genjuszu. Urodzi się jeszcze jeden Darwin, jeszcze jeden Szopenhauer, a wynalazki ich i teorje przebrzmią, zalane nieśmiertelną falą głupoty ludzkiej. Ta jedna jest wieczna i tej pragnę poświęcić moje studjum, nie w celu, aby głupotę rozpowszechnić i utrwalić jej panowanie (do tego przyłożą się inni), ale żeby wyciągnąć z niej korzyść dla tej małej liczby wtajemniczonych w sztukę życia *(les initiés à l'art de la vie)*, żeby podzielić się doświadczeniem z bratnimi umysłami *(mes compagnons du penser)*. Prawdziwy wynalazca to ten, który potrafi opanować istniejący porządek rzeczy i wyzyskać go dla rozkoszy i ozdoby własnego życia. Pochlebiam sobie, żem tego dopiął w pewnych granicach. Jeżeli dzisiaj teorję swą chcę

sformułować i uczynić ją, pod pewnym względem, własnością wielu osób, nie czynię tego przez miłość bliźniego, pojęcie anty-filozoficzne, ale przez naturalną sympatję dla osób mojego świata i moich przekonań, dla ludzi miłych mi i potrzebnych. Mój altruizm jest tylko rozszerzonym egoizmem. Jednak ponieważ niema w życiu pojęć absolutnych, mój egoizm rozszerza się aż do życzenia, aby poglądy me zyskały jak największą liczbę adeptów tak w kraju, który mi jest rodzinnym, jako też w wielkiej ojczyźnie wszechświata. Nie obawiam się, aby teorja moja stała się powszechną, a przez to samo niemożliwą. Gmin mnie nie zrozumie, ani za mną podąży. Ale może słowa moje powiększą w kraju zastęp cywilizatorów, tę gromadkę inteligentną *(cette cohorte des initiés)*, ten wybór, który postawi się naczelnie i poprowadzi współrodaków do swoich celów.

Założenie to praktyczne, nie jest mi wszelako bodźcem do sformułowania mej mądrości życiowej. Kieruje mną inna siła: przekonanie, chęć ogłoszenia tych rezultatów myślowych, które filozoficznie i doświadczalnie wydały mi się niechybnymi *(infaillibles)*, a także ta poniekąd uzasadniona duma, aby myśl moja przetrwała moje doczesne istnienie.

Ta książka pisze o wszystkiem. Niech to nie dziwi panów dziennikarzy, bibljotekarzy i jeszcze drobniejszych pracowników. W każdem dziele, jeżeli ma na celu jakiś pożytek, a nie tylko problematyczne

zadanie „sztuki dla sztuki“, zawiera się jedna szczypta mądrości, dla której autor buduje książkę, jeden mniej lub więcej cenny rezultat filozoficzny. Moja książka składa się z samych rezultatów. Nie przeceniam ich wartości, ale wypraszam się od zdania o mnie gazet i fachowych krytyków. Pisząc dla towarzyszów, dla ludzi moich *(de mon bord)*, ich jedynie sądowi polecam moją pracę.

I. Historja głupoty ludzkiej (Stendhal). Typy urządzeń społecznych: królestwo Izraelskie — Ateny — państwo Rzymskie — cesarstwo Niemieckie — rzeczpospolita Francuska (Renan, Taine i Larousse). Wspólne cechy klas rządzących i rządzonych (moje notatki z Hiszpanji).

II. Rozwój instynktów przyrodzonych. Modyfikacje ras przez zmiany klimatu i otoczenia. Złagodzenie obyczajów przez ułatwienie rozkoszy. Przyczynki do teorji Darwina (moja rozmowa z Drem Evansem w Paryżu).

III. Na czem zależy szczęście człowieka? Progresja tego pojęcia przez wieki. Progresja tegoż przez sfery. Szczęście jednych może tylko wzrastać kosztem nieszczęścia drugich. W interesie postępu leży szczęście klas wyższych. Prawo przyrodzone silnych do rozkoszy (Bismark i moje notatki z Hiszpanji).

IV. Formy rozkoszy. Panowanie bezpośrednie nad wielką ilością osób. Charakterystyka Napoleona I-go. Ile z Napoleona jest w każdym z nas? Moje aspiracje młodzieńcze. Stanowisko naczelne moralne może dać równą dozę rozkoszy, jak stanowisko władzcy świata. Teorja Epikura (Larousse i inni).

V. Formy rozkoszy. Stół. Wygoda. Wytworność form. Sport. Sztuka, jako ozdoba życia. Przykłady ze starożytności: Lukullus — Petroniusz — Gry olimpijskie. Przykłady z nowszych czasów (Montegazza i Larousse).

VI. Formy rozkoszy. Kobieta (mój zbiór listów).

VII. Rozkoszy nie osiąga się bez walki. Walka egoizmów jest stanem normalnym społeczeństw (Schopenhauer i moja rozmowa z Ligęzą[1]). Walka treścią nietylko życia pojedynczego człowieka, ale życia społeczeństw i narodów.

VIII. Walka międzynarodowa. Rzut oka na historję wojny od czasu wynalezienia prochu. Przyszła wojna dwóch ras: białej i żółtej. Nowsi pisarze wojenni.

IX. Zbiorowe walki przekonań. Wojny religijne i patrjotyczne. Wszelkie zbrojne i krwawe starcia są atawizmem walki pierwotnej. Zniknąć muszą razem z powodami zaczepnymi: z religjami i ideą narodowości (różni filozofowie i moje notatki z Hiszpanji).

---

[1]) Nie mogę pominąć tej pochlebnej dla mnie wzmianki.

X. Walka o rozkosz bytu. Sposoby uzbrojenia. Taktyka zmienna, stosownie do ideałów i pragnień indywidualnych. Konieczność pozbycia przesądów teoretycznych. *Savoir vivre et savoir faire*. Wybór obozu. Stopniowa zmiana obozów od niższych do wyższych. Ilustracje: Alcybiades — sposób dojścia Leszka I-go do korony — karjera pierwszego Rotschilda.

XI. Sposoby walki. Pieniądze. Istota zysku. Kierowanie pracą tych, którzy stworzeni są do pracy. Kierowanie stratą przeznaczonych dla straty. Teorja gry. Ślepota hazardu w przeciwstawieniu do rachunku prawdopodobieństw. Każdy obrót pieniężny jest grą. Rozum sztuki pięcio-frankowej *(l'esprit d'une pièce de cent sous)* (Jean Baptiste Say?).

XII. Sposoby walk. Zyskanie przywilejów. Przywileje urodzenia i stanu. Szlachectwo i jego ekwiwalenty. Pozycja towarzyska. Używanie uroku swej pozycji do celów praktycznych. *La fascination*.

XIII. Sposoby walki. Działanie przez pogardę. Wyższość, jako sposób walki. Pogarda dla stanowisk niedostępnych, bez tracenia ich z widoku. Ekonomja apetytów. Obojętność. Spokój.

XIV. Filozofja.

XV. Szczegółowy opis urządzenia dnia, roku i sposobu życia hrabiego X, mego przyjaciela (ja).

Koniec.

NACH MONACO!

Tyle rozmaitych wspomnień ciśnie mi się do głowy z powodu Podfilipskiego, tyle z nim i przez niego widziałem, że z reminiscencji ułożyłbym całe nasze szare życie, przeszyte, jak promieniem, jasną myślą pana Zygmunta. Nie mogłem go ani naśladować, ani za nim podążyć, korzystałem jednak prawie bezwiednie z jego światła. Nietylko nauczyłem się wiele od niego bezpośrednio, ale impuls jego słów i czynów podniecał mnie do refleksji, do zadumania się nad nim i nad życiem wogóle. Nawet, gdy go zabrakło na ziemi, myśl jego, wciąż jeszcze żywa, nie opuściła mnie i — jeżeli to pożytek — włożyła mi pióro do ręki. Staram się wyrozumieć, dać do zrozumienia innym wysoką jego teorję życiową, odbijam ją, jak umiem, na tych skromnych kartach.

Widzę znów dzisiaj pana Zygmunta w podróży, w wagonie kolei wiedeńskiej. Jedziemy razem zagranicę przez Wiedeń, Pontebbę, Sanpierdarenę, Ventimiglię — na Rivierę. Przeczuwamy już zapach

pomarańcz, kwiatów zwieszonych z kamiennych tarasów i morza.

Tymczasem jednak mijamy liczne warsztaty kolejowe i kominy fabryczne, domy o nagich, gęsto oknami podziurawionych ścianach, gdzie mieszkać musi być tak źle i smutno, — potem sady czarne i mgłą zasnute w tej porze roku, nieponętne wille podmiejskie — dopiero bowiem wyjechaliśmy z Warszawy.

W przedziale nie jesteśmy sami: naprzeciw nas siedzi jegomość w średnim wieku, skromnie ubrany, i czyta gazety.

Jesteśmy w doskonałych humorach: pasport w porządku, kredytywa jest, trochę francuskiego złota w kieszeni, kilkadziesiąt guldenów austrjackich i bilet włoski na przejazd przez północne Włochy.

— Cóż, panie — rzecze Podfilipski — nie kręci się panu łza w oku na pożegnanie rodzinnej strzechy?

— Wyznaję ze wstydem, że nie.

— Ze wstydem? a to co znowu?

— No tak — tłómaczyłem się — niby wstydzić się niema powodu... żeby tylko ten Bismark nie był nas przeklął swym sławnym „witzem“...

— Wie pan, że mnie to zastanawia. Nie, że Bismark w przystępie złośliwej werwy wyprawił nas do Monaco, — ale jaką potęgę mają nad nami frazesy, te brzmiące hasła, które są tylko literaturą, i to ludową, przeznaczoną dla mas bezmyślnych. Zupełnie, jak pier-

wotne przepisy religijne, o których niedawno mówiliśmy, albo sławetne teorje o altruizmie, które mają — jak każdy idjota — dobrą reputację. Tymczasem świat, jak stał od wieków na egoizmie jednostek, tak i teraz stoi. Jeden czynnik równoważy walkę egoizmów — to właśnie frazes i hasła, czyli działanie wybitnych indywiduów na zacną, gruntowną ciemnotę mas. Bez tego działania walka wróciłaby do pierwotnego stanu bójki na pięści i zęby. Dlatego też hasła potrzebne są bardzo, ale nie obowiązują *nas,* panie!

Jegomość, czytający w kącie, opuścił gazetę i dość bystro spojrzał na Podfilipskiego. Pan Zygmunt nie dawał się jednak łatwo stropić. Rozmawiał dalej po francusku, mówił zaś tym językiem wybornie, znając wszelkie subtelności mowy klasycznej i paryskiej gwary:

— Gdybym trochę więcej dbał o popularność u nas, poddawałbym się pozornie większej ilości tych frazesów i haseł. Ale co u nas zrobić z popularnością, nawet gdyby się ją posiadało? Dać się wybrać na radcę dyrekcji szczegółowej Towarzystwa Kredytowego? — albo zyskać przywilej, że o moich przyjazdach i wyjazdach będą pisali w Kurjerze? ...Pan Z. P., znany nasz... filantrop, udaje się do Nizzy dla poratowania zdrowia. — Co?

Parsknął śmiechem.

— Co innego zyskać sobie potrzebną reputację w pewnym kierunku, być uważanym za powagę, czy

to w salonie czy na giełdzie, czy nawet w pewnej specjalności technicznej albo sportowej. To nie popularność, tylko wyrobienie sobie stanowiska, jako opony do działania. Ale być kochanym, na rękach noszonym, *naszym,* — dziękuję za łaskę.

Nasz towarzysz podróży wyszedł z przedziału. Podfilipski był w wybornem usposobieniu, rzekł mi więc:

— Poskandalizujmny trochę tego pana. Wygląda na jakiegoś łyka warszawskiego. Może fabrykant makaronu i chodzi mu o popularność jego firmy? może jaki szlagon, kandydat na radcę, — a może nawet jaśnie wielmożny sam pan radca? Wszystko jedno. Mamy zdania niezależne i potrafimy je poprzeć. Niech się trochę pozżyma. A kiedy mu złość przejdzie, może co i zapamięta z naszej rozmowy i zapadnie mu w mózg jakie ziarnko... *Ridendo castiga mores!* Czy tak się to mówi, panie, bo już trochę wyszedłem z łaciny? Aha — ma przy sobie jakieś książki i gazety. Zobaczmy... „Gazeta Polska“ z odcinkiem Sienkiewicza. No, to każdy czyta — to nic nie znaczy. „Kurjer Warszawski“ — znowu nic nie wiadomo. „Sprawozdanie z Towarzystwa popierania przemysłu i handlu“. Dobrze. Jakaś książka niemiecka... coś o mące, krochmalu... A co? nie mówiłem? fabrykant makaronu! A to co znowu? — Dziennik posiedzeń Rady Państwa w Wiedniu... W tem także musi być coś o cłach odnośnych do makaronu...

Tymczasem jegomość uchylał już drzwi od przedziału, ale nie śpieszył się; pan Zygmunt miał czas położyć papiery na miejscu i rozpocząć perorę tak, jakby jej nie był przerwał. Mówił teraz po polsku:

— Co innego jeszcze zyskać sobie mir i zaufanie u ludzi swojej sfery: człowiek potrzebuje towarzystwa. Ale co o mnie w głębiach swej duszy myśli taki a taki fabrykant makaronu, albo pan Apolinary z hrubieszowskiego — to mi jest najzupełniej obojętne. Skoro się tych ludzi potrzebuje, wystarczy mój patent należenia do pewnej kategorji towarzyskiej, lub opinja człowieka znającego się na interesach.

Jegomość w szarem ubraniu nie poruszył się już z miejsca. Pan Zygmunt sypał jeszcze przez pewien czas ogólniki, trochę wyzywające i skierowane do mniemanego fabrykanta, ale wkrótce znudziła go zupełnie bierność słuchacza. Poczęliśmy rozmawiać o różnych innych rzeczach i osobach.

— Jestem bardzo zmęczony — mówił Podfilipski — tym długim pobytem w Warszawie, w Cisowie i we wszelkich miejscach, które nasze są. A wie pan, co mnie najbardziej męczy? Obcowanie z ludźmi, którzy są tak fatalnie pod każdym względem wychowani. Nie mówię jednak teraz o formach towarzyskich — i tych wielki brak — ale o innem, wyższem, filozoficzno-społecznem wychowaniu. Przecie u nas niepodobna gadać z ludźmi, nawet skądinąd niegłupimi. Jeden panu wyjedzie z tradycją, już dawno

osądzoną i skazaną przez historję — jak Tomasz naprzykład; drugi całe swe zdolności poświęci archeologji przedhistorycznej; trzeci wystąpi z zasadami takiej przedpotopowej moralności, której nietylko on do siebie, ale nikt w obecnych czasach zastosować nie jest w stanie. W każdym kraju są takie oryginały, u nas zaś jest dziewięćdziesiąt na sto, i to pomiędzy ludźmi wykształconymi, bo gmin poprostu nie żyje, nie myśli, nie istnieje. Jak rzadko spotyka się u nas ten rozpowszechniony gdzieindziej typ człowieka nowożytnego sfer wyższych, który umie żyć, nie kłócąc się z systemem istniejącym, nie szuka rzeczy niepodobnych, a zato z dostępnych układa sobie dzień, rok i przekonania ku swej wygodzie, rozkoszy i wewnętrznemu zadowoleniu.

Te rzeczy słyszałem już od pana Zygmunta, więc nie podtrzymywałem rozmowy, ale on myślał dalej głośno i przez skojarzenie pojęć doszedł od wychowania we właściwem znaczeniu do wychowania młodzieży.

— Jak może być dużo ludzi wyrobionych w tym zapleśniałym kącie świata, skoro młodzież sfer wyższych tak się wychowuje? Jakie skończy kursa szkolne, to jest dużo mniej ważne, niż pytanie, gdzie uczy się żyć. Szczęśliwe kraje, z których nie wyjeżdżając, przebyć można całą serję doświadczeń życiowych, — ale u nas stan jest jeszcze tak smutny, że człowiek, który do lat trzydziestu nie wyjechał

z kraju na czas dłuższy, jest prawie skazany na dozgonną pospolitość. Niepodobna przez pół życia żywić się samymi kartoflami i mieć dobrze wyrobione mięśnie.

Tutaj wystąpiłem z taką wątpliwością:

— Niezaprzeczenie, podróże, odbyte rozumnie, kształcą bardzo umysł, ale przy naszych słabych charakterach istnieje znów niebezpieczeństwo egzotyzmu, albo też moralnej, a nawet rzeczywistej ekspatryacji. Gdyby to się rozmnożyło...

— Niech się rozmnoży — rzekł pan Zygmunt — odnajdziemy się gdzieś zawsze. Ja to ciągle mówię, naprzykład Fredowi, że powinien dłużej posiedzieć zagranicą.

— Boi się rodziców — nadmieniłem.

— To niech przestanie się ich bać — jest już przecie pełnoletni. Oto jest właśnie sytuacja typowa. Młody człowiek bardzo zdolny, mający szczęście do ludzi, rwący się do życia i obdarzony różnymi osobistymi i stanowymi przywilejami, trzymany jest na uwięzi przez starych, którzy reprezentują także pewne dodatnie nasze cechy, ale też i dziwaczne przesądy. Żyć w kraju i dla kraju! — to brzmi niby pięknie, a w samem zdaniu jest prawie *contradictio in adjecto.* Żeby wiedzieć, jak żyć, trzeba już koniecznie wyjrzeć z naszej budy. Można do niej powracać, naprawiać ją na wzór innych, widzianych podczas zewnętrznych wędrówek — ale żyć w niej

bez przerwy znaczy — razem z nią pleśnieć. Wracam do wspomnianego przykładu. Fred kieruje się na wielkiego pana, czyli na człowieka, który powinien być wzorem dla innych. Musi więc znać i salony paryskie, i pola wyścigowe angielskie, i polowania na Śląsku; musi poznać i porówać wyższe sfery wszystkich krajów, nabrać ich przeciętnych pozorów i przekonań, musi znać *la grande vie* i różne jej gorączkowe komplikacje — co mu nie przeszkadza bywać po uniwersytetach, uczyć się socjologji, prawa, czego chce. Ale nie uniwersytet jest szkołą życia, tylko obracanie się w najgorętszych wirach cywilizacji, picie u źródeł jej najwyższych wyskoków. Ja nie żartuję, panie, ja mówię prawdę. — Przez bulwary paryskie płynie nauka szersza, mądrzejsza i bardziej przenikająca, niż z katedr Sorbony, albo uniwersytetu w Berlinie. Nie walczę ja przeciw nauce ścisłej i formularnej, tej jednak nabyć można wszędzie; ale doświadczać, uczyć się empirycznie i z prawdziwą korzyścią można tylko tam...

Wskazał palcem kierunek, w którym biegł nasz pociąg.

Wyraziłem znowu niektóre wątpliwości:

— Ten sposob wychowania dla bardzo małej liczby jest dostępny. Jest zaś inna strona wychowania, nawet szerszego, o którem pan mówi — poznać potrzeby własnego kraju. A tego młody człowiek zagranicą nie nauczy się.

— Nauczy się ogólnych potrzeb, wymagań i wykończeń życia — to więcej znaczy.

— Może dla jego osobistej przyjemności, ale nie dla pożytku, któryby mógł przynieść na miejscu, gdzie mu przeznaczono żyć.

Pan Zygmunt spojrzał na mnie z nieopisanym wdziękiem: w uśmiechu jego twarde przekonanie walczyło z przyjazną pobłażliwością. Rzekł mi:

— Nawrócę pana chyba dopiero zagranicą. A tymczasem zbliżamy się do niej i troska o te wszystkie drobne sprawy miejscowe będzie dla nas wkrótce czemś oddalonem, zapomnianem. Jutro będzie pan ze mną w raju.

Zauważyłem dopiero teraz, że nasz towarzysz podróży przestał czytać i zasunięty w kąt wagonu, wpatrywał się dość pilnie w Podfilipskiego.

Na stacjach pogranicznych poddaliśmy się nudnym formalnościom pasportowym i rewizyjnym. Pomimo tych zajęć, zwróciły uwagę naszą niektóre oznaki uszanowania, oddawane nieznajomemu, którego mieliśmy przez cały czas za niemego świadka rozmowy.

— Kto to może być taki? — pytał Podfilipski.
— Dowiemy się przy oddawaniu pasportów.

Ale pasport zwrócono mu bez wymienienia nazwiska, za to z wojskowym ukłonem. Po rewizji w Szczakowej znaleźliśmy się znowu w jednym przedziale z nieznajomym.

Teraz chodziło na dobre Podfilipskiemu o wiadomość, kto to taki; postanowił więc przerwać kilkugodzinne milczenie naszego towarzysza i grzecznie zaproponował mu, jeżeli jedzie do Wiednia, abyśmy wzięli we trzech duży przedział sypialnego wagonu.

— Dziękuję panu — odrzekł nieznajomy — zmieniam pociąg w Trzebini.

— To pan jest mieszkańcem Galicji?

— Przepędzam tu pewną część roku. Wolnoż mi się w zamian spytać, czy pan jest Polakiem? — równie uprzejmie zapytał nieznajomy.

Zdziwiony Podfilipski odpowiedział:

— Naturalnie...

A tamten pan kiwnął parę razy głową, jakby się dowiedział wszystkiego, co wiedzieć pragnął; wyprostował się i znowu zapadł w swą nieruchomość. Ani słowa więcej nie usłyszeliśmy od niego.

W Trzebini, opuszczając nas, dotknął zlekka czapki, milcząc. Przesiedliśmy się do sypialnego wagonu, ale Podfilipskiego nurtowała nieprzeparta już chęć dowiedzenia się, kim jest nasz zagadkowy towarzysz. Spostrzegłszy go raz jeszcze na peronie i widząc, że szwajcar nizko mu się kłania, zawołał natychmiast tego szwajcara:

— Mój przyjacielu — kto to jest ten pan, który tam idzie?

— Ten w szarym płaszczu? To książę Janusz Zbarazki z Waru.

— O! psiakrew... — zwrócił się do mnie Podfilipski ze znacznem na twarzy rozczarowaniem.

Przez chwilę nawet nic nie mówił i oddawał się nieprzyjemnym przypomnieniom: wreszcie rzekł:

— Omyliłem się. Ale bo też i wygląda... Powiedziało się trochę rzeczy niepotrzebnych. Już ten dziennik posiedzeń Reichsratu powinien był mnie ostrzedz... Zdaje mi się, że jest tam posłem... no i stryjem Freda. Tak — pomyliłem się. Jak to nigdy nie można być dosyć ostrożnym!

Jedyny to, zdaje się, raz stwierdziłem *lapsus*, który się zdarzył panu Zygmuntowi. Przytaczam go tutaj dla prawdy historycznej moich wspomnień, dla interesującej zasadniczej rozmowy, a także dla podniesienia taktu pana Zygmunta.

Niech mnie czytelnik źle nie rozumie i nie poczyta mi za ironię, że wobec pomyłki towarzyskiej mówię o takcie. Trzeba było widzieć szczere jego zmartwienie i szczere przyznanie się do winy. Pośliźnięcie się na tej ścieżce *savoir vivre'u,* po której tak pewno stąpał, bolało pana Zygmunta, jak wielkiego chirurga boli szkodliwe drgnięcie ręki, raz jeden w przeciągu całej karjery wydarzone.

Dbał przytem o księcia Zbarazkiego, choć go nie znał: człowiek ten należał do ulubionych przez niego,

a nawet istotnie do najwyższych pod każdym względem sfer. Jakkolwiek Podfilipski mało co sobie robił z opinji publicznej, chciał mieć uznanie „u swoich“. Martwiło go też niewłaściwe zastosowanie teorji do słuchacza.

— Teorje moje nie są nigdy absolutne — mawiał.

„MIĘDZY KOLUMNY NA NIEBIE SIĘ KREŚLĄC...“

Ostatnia to była moja podróż z panem Zygmuntem i ostatni raz wtedy przeżyłem z nim kilkanaście szczytnych dni zagranicą. Był to niby sen. Podfilipski, wolny od swej misji cywilizacyjnej, wciągał jednak pełną piersią cywilizację i oddychał nią razem z upajającym zapachem słonecznych okolic Montecarlo. W jego rozmowie rzadko pojawiał się gryzący pierwiastek krytyki, tak cenny i potrzebny u nas, pozostała głównie czysta, niezamącona przeciwieństwami życia teorja i rozkoszna, pozbawiona hamulców, praktyka. Postawą, oczyma, głosem mówił ciągle: Tak się żyje! — Nie znaczy to jednak, by mnie gnębił żmudnym wykładem, albo oprowadzał po krajach tych, jak *cicerone*. W blasku jego twarzy, w pogodzie ducha odbijała się cudowna Riviera, jak w mądrem zwierciedle czarnoksiężnika, które obrazów nie powtarza, ale je tłómaczy.

Podczas naszego tam pobytu, chmury nie zebrały się ani razu nad morzem, nie przewiały szczytów szaremi mgławicami i nie obległy nigdy czoła pana Zygmunta. Był pogodny, jak to niebo uśmiechnięte błękitem, słowa jego brzęczały, jak złoto, przelewające się przez ten kraj szczęśliwy — i tak panował moralnie nad otoczeniem swem, jak kopuły wielkiego Kasyna panują nad spiętrzonym w tarasy wyniosłym brzegiem morza, gdzie afrykańska roślinność, przywalona i ujęta kamiennymi schodami, zdaje się walczyć z tryumfem dzieł ludzkich i skłaniać przed nim swe palmowe czoła.

Poniewolnie wpadam w liryzm — bo też trzeba było widzieć Podfilipskiego w tej ramie i na tym piedestale.

Pamiętam nasz przyjazd. Już od Genui mieliśmy za towarzyszów pachnący upał i morze. Wrażenie to jest zawsze ogromne. Kiedy po zimie, spędzonej w północnym klimacie, po raz pierwszy zobaczysz Śródziemne morze w pogodny dzień, gdy zaśmieje się błękitna, drobna fala i zaiskrzy nieujętemi setnemi skrami, jak namiętne oczy kobiece, odrazu tracisz pamięć przeszłych dni, trosk i obowiązków. A zapach ten! Ile razy przystanie pociąg i możesz wyskoczyć z wagonu, wciągasz płucami jakby wino bardzo subtelne i czujesz, jak ci ten napój przechodzi w żyły, w krew. Nie wiem, co tam pachnie głównie? pomarańcze, róże, żywica cedrów, podwodne algi i mchy morskie?... zapewne — ale cały świat pachnie.

Przez te zapachy i kolory pędził nasz pociąg roziskrzonym rankiem, chowając się co chwila w tunele. Po każdem wyjściu z pod ziemi, uderzał nas nowy rysunek wysokich skał wybrzeża, których nagość żółto-czerwona gdzieniegdzie przebijała przez szatę z bogatych ogrodów i jasnych willi. Zatoki wyglądają aż sztucznie i nieprawdopodobnie; każda ma inne światło, inny sens malowniczy.

Jedyny to może dojazd do celu podróży, gdzie nie pilno podróżnemu dojechać. Widok bowiem, nawet z okien wagonu, jest tak piękny, tak coraz piękniejszy, że przez parę godzin masz uczucie zapadania w miły sen albo w rozkosz upojenia winem.

Nareszcie nad zatoką jeszcze błękitniejszą, na dwóch skałach jeszcze wspanialszych, ukazały nam się złociste dachy kasyna w Montecarlo i zamek książęcy w Monaco. Zadudniał jeszcze pociąg w paru tunelach i osadził się z całego prawie rozpędu przed dworcem.

— Montecarlo! — zabrzmiał kilkakrotnie okrzyk konduktorów.

— Czy uważa pan, jak konduktorowie krzyczą tu głośniej, niż na innych stacjach? Cieszą się nawet oni — rzekł pan Zygmunt.

Zatelegrafował już z Medjolanu o swym przyjeździe; czekał więc na nas portjer z Grandhotelu i powitał Podfilipskiego niskim ukłonem:

— Pan hrabia tego roku później do nas zjechał.

— A później. Jak się masz, mój stary?

— Dziękuję panu hrabiemu — trzymam się. A zdrowie pana hrabiego, czy jest na wysokości jego pięknego pozoru?

— Jak widzisz, mój przyjacielu.

— To wybornie. Luigi! bagaż tych panów!

Mówił prędko, swobodnie i dworsko zarazem, jak człowiek otrzaskany z największym światem.

Wsiedliśmy na stacji do windy osobowej, jeszcze parę razy ukłoniono się Podfilipskiemu, i po chwili stanęliśmy naprzeciw kasyna.

Pan Zygmunt, z umiarkowanym ruchem ręki i z uśmiechem, rzekł mi:

— Jesteśmy w domu.

Po dobrej godzinie, użytej na kąpiel i przebranie się, spotkałem pana Zygmunta na śniadaniu, które zjadłszy pośpiesznie, poszliśmy piechotą na główny plac przed domem gry.

Podfilipski już był ubrany, jak wszyscy, to jest jak najwytworniejsi z przechodniów: miał jasne flanelowe spodnie, trzewiki żółte z trzema żółtymi guzikami, kapelusz miękki z dużym brzegiem i jasny parasol od słońca. Mnie brakowało dużo do takiego kompletu, ale pan Zygmunt zaraz mi podał adresy i pożyczył nawet drugiego parasola.

Parasol był potrzebny, bo kwietniowe słońce prażyło, jak w lipcu. Jednak zieloność palm, mirtów i innych wielkich krzewów była świeża, cień jeszcze

wiosenny, więc chłodzący, a od morza szedł leciutki powiew, głaszcząc niby wonnym puchem po twarzy.

Minąwszy dom gry, stanęliśmy na granicy tarasu, skąd widać ogród spadający ku morzu, szafirową zatokę i ogromną skałę Monaco, rzucającą gorący cień na fale.

Jeżeli sztuka wogóle ma być „zakątkiem świata, widzianym przez temperament“, krajobraz jest tem napewno. Ten najpiękniejszy chyba widok w Europie Podfilipski odczuwał także przez swój temperament i, jak zazwyczaj, oryginalnie. Nie był on marzycielem, ani artystą — był filozofem i dialektykiem: obraz ten oceniał przez porównanie.

— Co, panie — mówił — pyszne morze? Jak ładnie się mieni tam daleko, a tu znów ma po sobie zielone i rude plamy. To warto malować. To nie „Wisełka szara“, o której śpiewają nasze katarynki i którą bazgrzą pańscy malarze. A ta roślinność, te zbite ciemne masy liści, te szlachetne kształty palm i agaw — to nie nasze chude krzewy i monotonne drzewa!

— Jednak drzewa oliwne bardzo podobne do wierzb, a znowu nasze lasy mają swój urok, który temu nic nie uwłacza — odrzekłem.

— Co to za porównanie! Ale może pana to gorszy?

— Dlaczego ma mnie gorszyć? Ja ten krajobraz

także kocham, bo jest piękny — co mi nie przeszkadza kochać i tamten.

Podfilipski przeszedł zaraz do wywodów ogólniejszych:

— Kiedy przebyłem dłuższy czas w Warszawie i na naszej prowincji, a potem przyjeżdżam tak nagle, bez przejść, do najpiękniejszych widoków i klimatów, mimowolnie cisną się do głowy porównania. Może to nawet być bolesne, ale tak jest. Nie dziw, że w tych uprzywilejowanych krajach skupia się i rozrasta cywilizacja. Czego tu brak? — niczego zgoła. Życie, najwytworniej urządzone, z całem bogactwem swych naturalnych wdzięków, buja tutaj, jak ta roślinność, mieni się, jak to morze, piętrzy się, jak te skały. U nas zaś — trudno tego wymagać wobec marnych warunków klimatycznych i t. d. Chociaż i my sami winni, bo mogłoby być lepiej. Dlatego to ja zawsze nawołuję.

Mówiąc to, zamyślił się i wzrok jego poleciał daleko na morze, jakby ku niewidzialnym wybrzeżom Afryki. I tam są ludy, potrzebujące cywilizacji...

Ocknął się i rzekł:

— Chodźmy zagrać w *trente et quarante*.

Wprowadził mnie do kasyna nawet bez karty wejścia. Wszyscy urzędnicy go znali, wszyscy witali radośnie lub z uszanowaniem. Ja wszedłem na jego odpowiedzialność.

Zaraz po przejściu progu sali gry doleciał nas szmer lekki, ponętny, który rozlega się tu wśród uroczystej ciszy — brzęk płaconego metalu.

Pan Zygmunt przystanął, podniósł palec do ucha i, nasłuchując, jak brzęczy złoto, szepnął do mnie:

— Słyszy pan ten ciągły puls? — To tętni krew świata.

Sezon był jeszcze w pełni i trzynaście stołów gry funkcjonowało od południa do północy.

W sali było gorąco, zapach piżma przeważał nad innemi licznemi woniami. W tłumie międzynarodowym, otaczającym stoły, poznałem odrazu kilkanaście mniej i lepiej znajomych twarzy. Były między niemi rozradowane i nerwowo ściągnięte, wszystkie zaś skupione, opanowane przez bezowocne i niepodobne do rozstrzygnięcia pytanie: jaki kolor lub jaki numer wyjdzie?

Działy się ciągle rzeczy nadzwyczajne: tu numer 5 wyszedł na rulecie trzy razy z rzędu przeciw wszelkim rachunkom prawdopodobieństwa; tam cała talja *trente et quarante* była czarną z wyjątkiem środkowej jednej karty... Opowiadano to sobie cicho po kątach w różnych językach, z zaiskrzonemi oczyma, albo ze zniechęconym ruchem ręki i przekleństwem.

A złoto brzęczało ciągle i monotonny, podniesiony głos „krupierów“ zachęcał do stawiania, albo ogłaszał wynik gry.

Do sal, oświetlonych z góry, wchodziło światło, jak do pracowni malarskiej. Rysy grających były przez to podkreślone ostrymi cieniami, stawały się wymowniejsze. Na niektórych twarzach starych kobiet wyraz chciwości dochodził do tragicznego natężenia. Niektóre ręce, ściągające złoto, miały pozór szponów. Stoły, otoczone podwójnym wiankiem graczów, siedzących i stojących, wyglądały jak wielkie podłużne owoce, które obsiadły różnokolorowe owady: grube czarne żuki i pstre motyle. Poza nimi krążyły jeszcze tęczowe panny, od jednej zwartej kupy do drugiej. Gdy który żuk odpadł od kupy, obładowany łupem, otaczały go panny jedwabnym szelestem.

Przyciszone szmery rosną gdzieniegdzie w krótki hałas. Jakiś ogromny murzyn w kraciastem ubraniu i jaskrawej koszuli, stara się wytłumaczyć angielsko-francuską gwarą, że mu krupier zabrał wygrane pieniądze; przechyla się przez szereg grających, cięży na ramieniu jakiegoś wytwornego pana, gniecie kapelusz jakiejś pani i czarną łapą wskazuje na stole miejsce, gdzie położył stawkę. Wytworny pan jest księciem krwi z domu panującego; skrzywił się, strzepnął rękaw od surduta i rzekł dwa słowa do krupiera, który natychmiast wypłacił murzynowi żądaną sumę.

Znowu ciszę przerywa tylko brzęk złota i monotonny głos krupierów.

Przypadkowo opróżniło się przedemną krzesło

przy stole. Usiadłem i zacząłem grać. Widziałem jeszcze długo przed sobą rozmaite twarze; przechodzili znajomi z najrozmaitszych światów. Podfilipskiego straciłem już dawno z oczu. Powoli opanował i mnie ten rodzaj chwilowego obłędu, czy wyjdzie czarna, czy czerwona? Krążyły mi w głowie wypróbowane i niewypróbowane systemy. Z pokłutego szpilką biletu mego sąsiada, który znaczył serje czarne na lewo, czerwone na prawo, starałem się odgadnąć „ducha talji" i, gdy rzeczywiście udało mi się wygrać kilka razy z rzędu, myślałem, żem tego „ducha" odgadł. Jednak za piątym razem przegrałem cały zysk poprzedni. Grałem dalej z rozmaitem powodzeniem. Twarze migały mi już tylko w oczach. Brzęk złota, szepty, głos krupiera, zlały się w jeden szmer, przygrywający idjotycznemu wysiłkowi myśli: czarna czy czerwona?

Poczułem na ramieniu silną dłoń czyjąś. Stał za mną pan Zygmunt i pytał po polsku:

— Czy pan wygrał, czy przegrał?

Nie wiedziałem dokładnie, przeliczyłem sztuki złota i okazało się, że mam tyle tylko, ile wyjąłem z kieszeni.

— To wyjdźmy stąd — rzekł Podfilipski. — Jeżeli, grając przez dwie godziny, nic pan nie wygrał, niech pan wstanie i będzie zadowolony, że nie przegrał. Nie trzeba nigdy grać tutaj długo.

Zbyt rzadko słuchałem cennych rad Podfilipskiego. Tym razem jednak wyszedłem z nim z sali,

a nawet z kasyna. Pan Zygmunt wypowiedział jeszcze parę uwag o grze:

— Gra w Montecarlo jest bardzo ciężką pracą. Jest tutaj wprawdzie wyborny poniter, bank, który trzyma do znacznego maximum i ciągle, ale jest znów szansa banku, czyli gruby podatek, płacony przez nas, mniej więcej półtora procent od każdej stawki. To daje bankowi corocznie kilkadziesiąt miljonów i tej szansy przeciwko sobie gracz znieść nie może przez dłuższy czas, nawet przy wielkiej „wenie". Wypróbowałem mniej więcej wszystkie racjonalne sposoby (nie *systemy gry,* bo te są dla idjotów), ale sposoby rachowania swoich pieniędzy, to, co się nazywa *la tenue au jeu.* Jedyny możliwy jest następujący, notabene przy dłuższym pobycie: Wprowadzić do swego codziennego budżetu niewielką kwotę *na przegraną,* tak, jak się przewiduje codzień obiad, hotel albo teatr. Być bezwarunkowo na to przygotowanym, że się codzień tę kwotę przegra. Naprzykład grać dziesięć dni po sto franków na dzień — uczyni to tysiąc franków na cały pobyt. Te sto franków codzień stawiać byle jak, wszystko jedno; tylko nigdy nie postawić ani pięciu franków więcej. Zwykle tę drobną sumę pan przegra; nie można nawet długo się nią bawić. Ale raz na dziesięć razy może pan wpaść w wenę i wygrać kilka tysięcy. Jeżeli się to zdarzy, odłożyć połowę wygranej już jako kapitał nietykalny, a do końca pobytu można resztę wygranej dodać do dziennych

stawek. Tylko broń Boże, nie grać nazajutrz całą wygraną sumą. Tu trzeba mieć zasady twarde. Gra się z machiną, trzeba się stać machiną.

Przechodziliśmy nad morzem, cicho układającem się do wieczornego snu. Oddech jego był trochę świeższy, niż za dnia; oddalenia poczęły barwić się metalicznie.

— Tym rachunkiem (nie systemem) — ciągnął dalej Podfilipski — udało mi się raz w przeciągu miesiąca, z ryzykiem maximum sześciu tysięcy franków, wygrać ośmdziesiąt cztery tysiące. To już jest coś — pozycja w rocznym budżecie, nawet w majątku. Ale wogóle gra tutaj jest tylko niebezpieczną i kosztowną zabawą. Zupełnie co innego gra w klubach, z indywiduami znajomemi i po większej części — słabszemi.

— Słabszemi w technice gry? — zapytałem.

— Nie. I to się zdarza, ale na to trudno nawet liczyć. Mówię zresztą o prawdziwej grze, o hazardowej, której każdy nauczy się w przeciągu godziny. „Słabszemi“ nazywam indywidua mniejszej siły woli. Do gry trzeba mieć żelazną, nieubłaganą wolę, prawdziwy charakter.

Zamilkł. Jedyny to raz w życiu mówiłem z nim dłużej o teorji gry.

— A dzisiaj, jak panu poszło? — zapytałem.

Machnął ręką:

— Ech, klepałem przez godzinę, stojąc na miejscu. Wygrałem tam coś: podróż, pierwszy dzień pobytu — i nasze dwa parasole. Pozwoli pan sobie ofiarować, ten, który pan nosi.

Dotychczas chowam tę pamiątkę. Przypomina mi słońce z Montecarlo, a symbolicznie i pana Zygmunta, który miał zawsze coś wspólnego z słońcem.

— Pójdziemy teraz na obiad — już blizko ósma.

Wróciliśmy do naszego hotelu, gdzie jest słynna na cały świat kuchnia panów Noël et Pattard.

W restauracji było tak rojno, że nie znajdywaliśmy wolnego miejsca. Ale sam pan Noël (czy też Pattard?), spostrzegłszy Podfilipskiego, powitał go uroczyście i wskazał osobny stolik na cztery osoby, ubrany kwiatami, zarezerwowany dla stałego i dostojnego gościa.

— Kogóż nam pan jeszcze przeznacza za towarzyszów? Są cztery nakrycia.

— Ba! — odrzekł pan Noël (czy też Pattard?) z jednym z tych francuskich giestów, nie dających ująć się w słowa, — myślałem, że panowie nie zechcą jeść sami; chciałem przewidzieć wszystkie zachcianki *(j'ai voulu tout prévoir jusqu'à vos fantaisies).*

— Jest pan najuprzejmiejszy z gospodarzy.

— Panie hrabio! wykształciłem się, usługując Polakom...

Służący, świadek tych względów, okazywanych Podfilipskiemu przez pryncypała, ułożył chytrą swą i wytartą twarz w słodki uśmiech i polecał nam, jak znawca, niektóre potrawy i wina.

Zanim podano obiad, Podfilipski rzekł mi:

— On ma słuszność: dlaczego mamy jeść sami? Poczekaj pan. Widziałem w sali gry jedną starą przyjaciółkę, aktorkę z „*Folies dramatiques*“. Chodzi ze śliczną osóbką, której nie znam, ale która, jako typ, kogoś przypomina — zobaczy pan. Jeżeli tylko jedzą obiad same...

Zakręcił się po salach, ukłonił się kilka razy, poczem znikł na chwilę i ujrzałem go wchodzącego innem wejściem w towarzystwie dwóch kobiet.

Przedstawił mnie i rzekł do mnie po polsku:

— Siądźmy tyłem do sali, bo są tam znajome panie z Warszawy, którym kiedyś (oby jak najpóźniej!) będziemy musieli złożyć uszanowanie. Zresztą mnie wszystko jedno. Tu jesteśmy na prawach europejskich, a zobaczy pan, jakie interesujące kobiety.

— O, njé po polsku! — rzekła starsza.

Zaczem rozmawialiśmy po francusku. Starsza, już przejrzała, ale pięknej postawy i rysów, wyglądała na to, czem była: na sprytną aktorkę. Młodsza, zwłaszcza zdaleka, przypominała rzeczywiście trochę Falbankę. Ten sam wzrost i kibić, to samo uczesanie i kolor włosów; ale była bez porównania śmielsza, wygadana i nie patrzyła, jak tamta, prosto w oczy.

Ażeby ułatwić rozmowę, i ażeby każdy miał mniej więcej wyobrażenie, z kim je obiad, Podfilipski przedstawił mnie, jako „poetę“, a aktorka powiedziała, że „jej młoda przyjaciółka studjuje życie przed oddaniem się zawodowi artystycznemu“. Były to już takieś informacje.

Gdyby nie pewna śmiałość form i wyrażeń, obie je panie mogłyby ujść za osoby dobrego towarzystwa. W każdym zaś razie starsza była bardzo wykształcona w kierunku literacko-artystycznym i na gruncie francuskiej literatury ledwo jej mogłem dotrzymać placu. Znała też Heinego, Dickensa, Tołstoja, Ibsena, Sudermana — Bóg wie kogo! W dyskusji trzeba ją było brać na serjo, bo mówiła rzeczy dobrze pomyślane i z przekonaniem. Młodszej brakowało tej erudycji, ale brakowało też i lat; utrzymywała się jednak, nie ziewając, przy rozmowie. Przy kawie, obie panie wpadły w doskonały humor, i literatura poszła w kąt. Po obiedzie te panie poszły grać, niby za nas, bo naszymi kilku luidorami. Najęliśmy je więc grzecznie na rozmowę przy obiedzie.

— Widzi pan — rzekł Podfilipski, nalewając sobie ostatni kieliszek koniaku — naumyślnie dla pana zaprosiłem te dwie, żeby panu pokazać „gatunek“. Czy to nie są kobiety kompletne? Ładne, dobrych form, wesołe, oczytane, nawet rozumne — o ile kobieta rozumną być może. Przecie pan ledwo nie skapitulował, jak zaczęła dowodzić, że Teofil Gautier,

a nie Baudelaire był pierwszym dekadentem... A nawet w gruncie to dobra kobieta — taka sobie przyjaciółka, kolega; nie okpi cię, nie wyzyska, da chwilę rozrywki. Ja tam nie widzę żadnych wewnętrznych różnic między temi, a „damami ze świata". Są różnice zewnętrzne: urodzenie, pozycja dziedziczna lub nabyta, czyli poprostu — wena. Powiem nawet panu, że kto lubi kobietę, to jest: kogo zajmuje to ładne stworzenie ze wszelkimi wdziękami i narowami, więcej się nauczy z dzisiejszej naszej rozmowy, niż z psychologicznych bzdurstw, uprawianych po warszawskich buduarach. A żeby pan tę słyszał, jak się rozgada w innym kierunku, to niczem „*Vie parisienne*". A! i jeszcze ma talent: rysuje karykatury — i jeszcze drugi: świszcze wybornie. No widzi pan! — żeby jej tylko dodać powierzchowność młodszej — byłaby idealna. Z czego wynika, że z dwóch kobiet półświatowych można złożyć jedną światową, czyli że pierwsze są od drugich o połowę mniej warte. Robię dla pana to ustępstwo.

Przez cały nasz dwutygodniowy pobyt pan Zygmunt był w równie doskonałym humorze. Nawet teorja jego stawała się lżejszą, mniej kategoryczną. Nawet śpiżowa jego filozofia roztańczyła się po miękkim kobiercu, rozesłanym wszędzie w tych krajach przepychu.

Tylko wobec gry stał twardo przy zasadach. Te jego zasady nie tańczyły, lecz zbite w szereg szły

codzień do krótkiej utarczki z potworem, ziejącym złotem — i wychodziły zwycięsko. Raz tylko jeden, pod koniec mego pobytu, powiedział mi:

— Dzisiaj pierwszy raz przegrałem.

— Ile?

— Jak zawsze — dzienną stawkę.

— A ileż ona teraz wynosi?

— Dwa tysiące trzysta sześćdziesiąt franków.

Z tego wniosłem, że pan Zygmunt grubo wygrał, bo wiem, że zaczął od pięciuset franków dziennie.

Życie mijało łagodnie, ślizgało się aksamitnie. Późny ranek wdzierał się do naszych sypialni z zapachem ziemi i morza; przez otwarte okno spoglądało się, mrużąc oczy, na piękny, rozjaśniony świat. Potem dzień był zawsze czemś okraszony — czy weną w ruletę, czy powodzeniem w strzelnicy gołębi, czy wesołością obiadu, czy pięknością jakiegoś zachodu, a stale — niezrównaną kompanią pana Zygmunta.

Dzień mego wyjazdu zbliżył się tak szybko, że miałem wrażenie wieczoru, zapadającego po jednym, długim dniu. Wyjeżdżałem na noc do Paryża.

Pamiętam ostatni wieczór.

Gdy mówię: ostatni, nie jest to tylko zakończenie opisu mojej wycieczki, ale i wspomnień osobistych o Zygmuncie Podfilipskim. Żył jeszcze

dwa lata potem, ale nie wrócił do kraju i ja go już nie spotkałem.

Po obiedzie, zjedzonym we dwójkę z nim, wyszliśmy na plac przed kasynem. Ja byłem milczący i on niewiele mówił. Chodziliśmy naokoło dywanów kwiatowych, oświetlonych z trzech stron snopami światła. W restauracjach było pełno, u drzwi kasyna także tłum i na placu wielu przechodniów.

Dwie równoległe aleje z palm, idące w górę, aż do białego gmachu „Crédit Lyonnais“, na którym spoczywało pełne światło księżyca, były pogrążone w przeźroczystym cieniu.

Poszliśmy wolno w górę jedną z tych palmowych alei.

— Tak — rzekł Podfilipski — tu życie doszło do wspaniałego rozrostu. I moraliści, którzy sarkają na to piękne miejsce świata, są poprostu śmieszni nietylko dla tych, którzy ich mają sobie za bajbardzo, ale dla filozofa. Jakto? mnie ma być zakazany podniosły epikureizm, albo innym chociażby niższy sybarytyzm? Co to jest najprzód *zakazany?* Pytam przez kogo i w jakim celu? Pomijam pytanie: przez kogo? bo słucham tylko powagi obowiązującego prawa, inne zaś prawa sam sobie dyktuję. Więc w jakim celu?

Przecie każdy myślący człowiek rozumie, że jesteśmy przeznaczeni do użycia rozkoszy świata,

nie do zaparcia się jej. Tylko pierwotne, ponure filozofje uciśnionych narodów, jak pierwszych chrześcijan, wymyśliły sobie na pociechę umartwienie ciała i to jeszcze w oczekiwaniu szczęśliwej wieczności, dla osiągnięcia tejże. Wychodzi więc na to: przecierpię tu i poczekam trochę, aby mi było potem długo dobrze. Każdy pragnie, aby mu dobrze było i skoro tylko gdzie dorwie się do kieliszka wina, pije, a kielichy goryczy oddala od siebie. Tak już człowiek jest stworzony, czyli jego wewnętrzna istota tak jest zbudowana. To rzecz oczywista.

Zdaje się więc, że wino płynie tu, że można go się napić, że dla rozkoszy ciała nie brak niczego?

Ale nie wyłączam ja wcale potrzeb duchowych, a także nie twierdzę, żeby Montecarlo było uniwersytetem, akademią, albo szkołą życia dla niedorosłych. Jednak dla myśliciela ile tu nauki! Patrz pan...

Stanęliśmy blisko gmachu Crédit Lyonnais, na górze. Długa perspektywa między palmami spadała od nas prosto po kobiercach kwiatów na wielkie drzwi kasyna, na plac zalany światłem i tłumem.

— Patrz pan! — W tym złotym domu wre ciągle, przez cały rok, walka o rozkosz życiową, walka otwarta, namiętna, ze wszystkimi odcieniami charakterów, temperamentów i fluktuacjami szczęścia; — walka ostrzejsza, wyrazistsza, niż gdziekolwiek, międzynarodowa, krwawa i przepyszna. Czy to nie studjum? A te wszyst-

kie ostatnie zdobycze praktyczności, dobrobytu, zastosowania technicznego intelektu do rozkoszy życia — czy to nie nauka? A te koncerty wyborowe i teatry, a ta architektura tytaniczna czasów nowożytnych, krzesząca skały na tarasy, budująca miasta w jednym roku, miażdżąca naturę młotem i prochami ku naszej uciesze — czy to nie sztuka?

Był jakby natchniony. Jego długi cień padał między dwa cienie palm, a postać wzorowała się silnie na jasnem tle „Crédit Lyonnais“. Odstąpiłem od niego parę kroków i przyglądałem się, jakby przeczuwając, że po raz ostatni go widzę.

— Ja lubię zdawać sobie szczerze sprawę z rzeczy — ciągnął dalej — i tu lubię tę wszędzie rozlaną szczerość. Ci ludzie *naprawdę* się bawią a nawet przegrani nie zajmują się tutaj, jakby kto mógł sądzić z korespondencyj naszych gazet, strzelaniem sobie w łeb. Czy pan kiedy słyszał w Montecarlo inny wystrzał, jak do gołębi? Ci Anglicy, albo inni, są *naprawdę* bogaci, nie tak, jak nasi posiadacze pięciuset włók, na których jest miljon długu. Ci panowie są *naprawdę* panami — te kobiety są *naprawdę* kobietami, choćby towarzyszki naszego pierwszego obiadu. To nie jest nasze marne, trwożliwe życie, przykryte kilku płaszczykami, łatanymi z frazesów, nie jest nasza dwulicowa maleńka cnota, ani są nasze zgryźliwe zasady, — to jest pełne, gorące, rozpędzone życie nowożytne, jak kurjer, złożony z sa-

mych wagonów pierwszej klasy, którym pan za pół godziny pojedzie do Paryża.

Jakby słuchał ech swej ognistej przemowy, oparł się oburącz o laskę i podniósł oczy na księżyc.

Światło niby bladego dnia przesycało powietrze, na białych murach błękitne, na piasku alei zielonawe, a szare na ogrodach oliwnych, spływających po stokach gór. Ciężki, prawie płynny zapach eukaliptusów wlewał się nam do piersi. W oddaleniu nad nami buchało ognisko kasyna, a jeszcze dalej, na granicach świata, leżało senne morze.

W tej chwili pan Zygmunt wydał mi się tak lirycznie usposobionym, że zacząłem mówić wiersze:

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado, jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą...

Ale on nie lubił czuć ani myśleć cudzemi słowami, więc zanim jeszcze dokończyłem:

Między kolumny na niebie się kreśląc,
Staliśmy jak dwa sny...

przerwał mi, chociaż przyznał, że dobry wiersz.

Zeszliśmy milcząc z naszego księżycowego stanowiska.

Na dworzec kolejowy schodzi się aż do podnóża skały, do morza. Pan Zygmunt nie odprowadzał

nigdy nikogo na kolej, uważając to dla obu stron za pozbawione wdzięku.

Pożegnaliśmy się więc na placu: on na schodach wielkiego kasyna, pogrążał się coraz wyżej w światło, ja zstępowałem w cień.

I duch jego wtedy odszedł odemnie.

Tu kończą się wspomnienia moje o Zygmuncie Podfilipskim.

Czy go kto znał, czy nie znał — lubił, czy nie lubił — musi go cenić. Nie czyny jego głośne, nie aureola pojedyńczej jakiejś, dla wielu często wątpliwej, zasługi — narzuca go społeczeństwu naszemu, jako bohatera dni przebrzmiałych. Podfilipski przez to samo, że *żył*, zasłużył sie społeczeństwu. Nie mógł się bowiem ruszyć, ani ust otworzyć bez przyniesienia jakiegoś pożytku. Komu? — zapyta czytelnik — Jeżeli można odpowiadać tak ogólnie, rzekłbym: sensowi życia.

Zasługi jego realne, które sam wymieniał, jak wprowadzenie do kraju obcych kapitałów, udział w rozwinięciu sportu, a nawet misja jego cywilizacyjna, wyrażona w błyszczących aforyzmach i stosownych do chwili przemowach — są niczem w porównaniu do jego zasługi głównej i niespożytej — przykładu. Ten jego pożytek jest tak obfity w plony, że choć Podfilipski żyć przestał docześnie, cień jego błądzi i unosi się ponad nami.

Nie wiem, czy myśmy go w siebie wchłonęli, czy on wiekuistym podszeptem kładzie nam w uszy swe namowy — dość, że żyje między nami, w nas — i to jest właśnie nieśmiertelność, ta ciągłość myśli między zgasłym człowiekiem, a światłością, która go przeżyła.

Ile razy zobaczę człowieka, który po wielorakich tajemniczych doświadczeniach wybił się z ciemności i stanął na widnem miejscu, równy wszystkim, ba, nawet wyższy od wszystkich, —

Ile razy dostrzegę powodzenie tej umiejętności życia, zasadzającej się na przytomnym obrocie ręki w danej chwili, na giętkości przekonań moralnych i społecznych, —

Ile razy między nasz tłum szary zamiesza się zesłaniec, otoczony blaskami Zachodu i zadumany problematycznie nad naszą nędzą, —

Ile razy spotkam niepodległego rycerza cywilizacji, walczącego z gminnemi uczuciami przyjaźni, miłości, altruizmu, — a na czole jego wyczytam szczytny indywidualizm, —

Ile razy wreszcie stwierdzę uzasadnioną pogardę dla naszych barbarzyńskich zwyczajów, nierozumniej tradycji i wszelkich rzeczy, które jego nie są, —

Przypomina mi się Podfilipski.

Tak jest — żyje, krąży jeszcze ponad nami. Nie sądze, aby się kiedy wcielił tak doskonale w jedną

osobę, jak w postać ś. p. Zygmunta, ale z wielu ludzi dałby się jeszcze odtworzyć, — nie przepadł.

Jednak ten człowiek składany, sztuczny i fikcyjny nie zastąpi tamtego, który żyć przestał. Pomyślmy jeszcze o tamtym.

Taki żal zdejmuje po jego śmierci, tak go brak na wszelkich polach życia krajowego!

Kto go bowiem zastąpi w tej ozdobności szat, układu i giestu, w tej wytwornej harmonji form towarzyskich, którą możnaby przeciwstawić starożytnej *elegantiae?*

Kto go zastąpi w wpływie na okrasy życia, jak sport, literatura i sztuka, na których to polach, radą i wymową, zasiał ziarna przyszłych rozwojów?

Kto nam da przykład tej siły woli, skierowanej ku gromadzeniu środków materjalnych, którymi kraj zbogacał?

Kiedy będziemy mieli takiego przedstawiciela naszych wyższych sfer za granicą, który, surowy dla nas, niósł przecie do obcych świadectwo o nas przez sam urok swej postaci fizycznej i moralnej?

Jaki księgozbiór, jaki uniwersytet zdoła zastąpić tę żywą szkołę życia, którą on darmo otwierał dla otoczenia swego? — tę lekką pozornie filozofję, zastosowaną do najdrobniejszych i najszczytniejszych jego, a przeto i naszych potrzeb?

Ile smutnych zasadniczych rozmyślań!

Ale innym trybem poszła moja praca o nim. I nawet lepiej, żem go nie ujął w martwy system, któryby nigdy nie zdołał wyczerpać jego wartości, jeżeli nie utylitarnej, to filozoficznej. Skromne moje opowiadania posłużą może przyszłym poetom, historykom i filozofom. Może ten Sokrates znajdzie swego Platona, ten Odysseus swojego Homera.

Ja nie wystawiłem mu pomnika. Nie łudzę się nawet, żem to uczynił. Zaledwie poniosłem na grób jego równiankę, ze wspomnień uwitą.

ANNEXA

MATERJAŁY BIOGRAFICZNE.

Muszę się przyznać czytelnikowi do zbytecznego pośpiechu w układzie niniejszej książki o Zygmuncie Podfilipskim. Spisałem najprzód osobiste moje wspomnienia, połączone z tą zajmującą postacią współczesną, chciałem ją dać poznać w ruchu i na tle epoki. Jego czyny, myśli i poglądy związać pragnąłem z życiem samem, oświetlić te ostatnie światłem, zapożyczonem od mego... bohatera. Pominąłem zaś studja źródłowe, archiwalne, sądząc, że o archiwach myśleć trudno, pisząc dzieje znakomitej, ale jednak nie historycznej osoby.

Otóż omyliłem się poniekąd.

Już po napisaniu mych wspomnień, otrzymałem ogromną przesyłkę papierów z Paryża razem z listem od wykonawcy testamentu Zygmunta Podfilipskiego. W tym ostatnim akcie znajduję taki legat dla siebie:

...„W razie mojej śmierci proszę oddać panu Jackowi Ligęzie papiery pamiątkowe osobiste. Może je zużytkuje, chociażby do mego nekrologu.“

Wykonawca testamentu, Francuz, donosi mi zaś co następuje:

Że zmarły nie zdążył uporządkować tych papierów, że długo namyślano się, o jakich papierach mowa i postanowiono wreszcie przesłać mi wszystkie nie posiadające wartości, ani tyczące się spraw pieniężnych. Wybieranie ich zajęło dużo czasu, bo musiano wezwać ekspertów i tłómaczów.

Tym sposobem doszedłem do zbiorów licznych dokumentów osobistych, odnoszących się do życia Zygmunta Podfilipskiego. Przejrzawszy je, zadałem sobie pytanie, czy nie przerobić mej książki, już zakończonej. Ale myśl tę odrzucam z następujących powodów:

Naprzód — nie jestem z powołania biografem. Nie potrafiłbym ująć w znośną książkę tych wszystkich nominacji na członka klubów i towarzystw, patentów na ordery, listów od znakomitych osób i t. p. Spadło to na mnie, jak rzecz obca, o której mało miałem dotychczas pojęcia, z którą nie dałbym sobie rady.

Sygnalizuję zatem istnienie w mojem ręku tych materjałów biograficznych i zamierzam nawet zrzec się tej części moralnego spadku po Zygmuncie Podfilipskim.

Powtóre — chodziło mi o narysowanie nie oficjalnej, ale wewnętrznej postaci pana Zygmunta. Do tego użytku posłużyćby mogły liczne listy kobiet,

znalezione w otrzymanych papierach. Nie czuję się jednak uprawnionym do ogłoszenia ich wszystkich, zwłaszcza, że listy te pochodzą od kobiet najróżniejszych światów i przekonań, pomieszane tu przypadkowo, a nie mające ze sobą wspólnego nic, oprócz adresu. Na niektórych ręką Podfilipskiego położone są podpisy, jakby krótkie oceny, w takim rodzaju: „wdzięczność kobiet; próżność, przewrotność kobiet“..., albo nawet charakterystyki autorek. Możnaby sądzić, że pan Zygmunt przygotowywał jakieś doświadczalne studjum o kobiecie. Z materjału tego korzystać wypadałoby z największą ostrożnością, gdyż (prawdopodobnie z powodu pośmiertnego zamieszania) znaleźć tu można obok grzecznego i nic nie znaczącego listu Elizy hrabiny Kostkowej z zaproszeniem na obiad — odezwy jakiejś panny z Halli paryskich.

Z kategorji listów kobiecych widzę się jednak zmuszonym ogłosić kilka, które przypadkowo oświetlają lub nawet prostują moje uprzednie opowiadanie.

LISTY FALBANKI [1]).

1.

z Warszawy, czerwiec.

Po naszej rozmowie w ogrodzie nie spodziewałam się, że pan nazajutrz do mnie przyjdzie. Pan

---

[1]) Wybieram ze sporej paczki tylko kilka listów, objaśniających pewne epoki uczucia i trochę faktów.

taki mądry, taki zajęty, czyżby naprawdę poświęcił coś dla mnie, opuścił jaką sprawę, pomyślał o małej znajomej? Czy pan naprawdę, oprócz swych wielkich cnót i zalet, byłby jeszcze dobry? Od czasu, jak wyznałam panu swoje kłopoty i cierpienia, lżej mi w życiu. Jeszcze niedawno myślałam, że wierzyć nie można mężczyznom, ale panu znów wierzę i tak łatwo, tak słodko! Jakby pan przybywał z innego świata i ciągnął mnie w ten świat za sobą samą pięknością i wyższością słów swoich. Ja nie wiem, dokąd idę, ale ufam panu, ufam, że to, co pan chce, jest dobre, że tam, gdzie pan jest, to wyższe krainy od znanych mi krain.

Tak chciałabym umieć mówić i pisać, żeby wytłómaczyć dobrze, co się we mnie dzieje, i żeby pan, nazywając mnie dzieckiem, nie dodał w myśli: głupie dziecko. Wiem, że nie jestem mądra, ale nie chciałabym być zanadto pospolita, bo w panu zgasłby może ten opiekuńczy ognik zajęcia się mną, — a ten ognik, to całe moje życie.

Sądziłam długo, że pomimo moich nieszczęść mam pewne obowiązki nawet względem tego, który mi zadał tyle bolesnych ciosów, że moje smutki — to jakaś kara, albo próba, przez pana Boga zesłana. Ale mi pan mówi, że obowiązki moje ustały, że przebrała się ich miara — i chcę panu wierzyć.

Czy pan tak dobrze, jak ja, pamięta ogród i zapach tych bzów o zmroku? Czy panu także było żal, że

już zachodzi słońce? Wie pan, że choć mineło pięć dni, ja jeszcze jakbym czuła zapach tamtych bzów naokoło siebie. Prawda, że mam wszędzie bez w pokojach... Zgaduję, że pan śmiać się będzie ze mnie, z mojego marzenia „nieopanowanego przez intellekt“. Będę znowu wesoła, skoro pan przyjedzie i już marzyć nie będę miała powodu, mając wszystko, o czem marzę, przy sobie — bo przecie pan zaraz do mnie przyjdzie po powrocie? To dopiero za tydzień!

Posyłam na spotkanie pana wszystkie swoje uśmiechy, takie, jakie pan lubi, i suknię bronzową i całą duszę „Falbanki“.

A. D.

P. S. Proszę mi nie przywozić takich dużych kosztownych pudełek, jak ostatnim razem, ani przysyłać koszów z kwiatami! Mnie każdy drobny kwiatek od pana zrobi taką samą, a może większą przyjemność, — największą zaś uderzenie dzwonka podwójne, które mi oznajmi, że pan powrócił do mnie.

2.

z Warszawy — październik tegoż roku.

Proszę przyjść zaraz po przyjeździe, bo mi ogromnie smutno i tęskno. Gdy Cię nie widzę, już i nie rozumiem zupełnie naszej wzajemnej pozycji. Czy miałeś już odpowiedź od pana D? czy nie bę-

dzie stawiał ze swej strony przeszkód? To przecie takie ważne, takie ważne! Ach, trzeba było to już dawniej urządzić! Jeżeli on tylko się zgodzi, jest wiele przyczyn do rozwodu, — mówił mi to nawet jeden mądry ksiądz, do którego poszłam. Więc chodzi tylko o jego zgodę, a on przecie nie dba o mnie, nawet nie może liczyć na mój majątek, bo znasz nasze urządzenie przedślubne. A gdy to nastąpi, mój drogi, jaki to będzie raj dla mnie, jacy będziemy szczęśliwi oboje! Bo mam pewność, że i Ty nie możesz stać się przezemnie mniej szczęśliwym; zabiorę Ci tylko tyle miejsca w życiu, ile mi go ustąpisz. Lubisz przecie swoją Falbankę i zobaczysz, że się stanie godną Ciebie, pozbędzie się nawet swoich roztargnień i marzycielstwa, będzie dość śmiała i dość rezolutna, aby się pokazać przy twoim boku i wstydu Ci nie uczynić. Rozumiem, że tylko dobroć twoja mogła Cię skłonić do tych upragnionych naszych zamiarów. Rozumiem, chociaż mi tego nie mówiłeś, że mógłbyś pojąć za żonę osobę bogatszą odemnie, ze sławniejszej rodziny, piękniejszą. Jednak muszę się trochę pochwalić. Piękniejszą nie będę, ale przecie lubisz mnie taką, jaką jestem. O pieniądze nie dbasz. Dbasz o nazwisko swoje, o „dobrą krew“ i o „wiele pokoleń cywilizowanych“. Ja nie jestem z twojej sfery, ale czy wiesz, mój drogi, że my mamy dokumenta rodzinne od r. 1300 w Lubece, Bremie i Gdańsku? Mój ojciec pokazywał mi naszą

genealogję: są w niej burmistrze i doktorowie praw i uczeni. Jeden z nich był na dworze Karola V-go. Jeden napisał jakieś bardzo rzadkie dzieło, bo je spalono na rynku w Gdańsku, ale to był dobry człowiek i syn jego wrócił znowu do Gdańska. Nawet podobno moglibyśmy mieć szlachectwo, tylko ojciec mawiał, że świeży szlachcic nie wart starych Falbów z Lubeki. Ja wiem, że to wszystko niema porównania do twojej rodziny i tytułów, ale i ja nie pochodzę z gminu, bośmy nigdy nie byli biedni, ani zupełnie ciemni. Piszę Ci to wszystko, bo powiedziećbym nie umiała.

Nic stąd ciekawego nie mam do doniesienia. Jesień jest smutna, nie widuję prawie nikogo. Było u mnie paru twoich przyjaciół; przyjęłam tylko Freda, o którego dbasz więcej i częściej go do mnie zapraszasz. Ten mi opowiadał różne historje, zapraszał na różne wyprawy, na które nie poszłam. Naturalnie, że nic mu z naszych drogich projektów nie wyjawiłam.

Mój ukochany, moje szczęście! Przyjeżdżaj jak najprędzej — oby z temi upragnionemi wiadomościami, których oczekuję prawie tak, jak Ciebie. Nie — Ciebie jednak więcej.

A.

P. S. Spal ten głupi list po przeczytaniu.

3.

z Biarritz — maj roku następnego.

Chociaż mi nie wolno być romantyczną, muszę czasami. Pozwól raz jeszcze. Jaki to był piękny sen — nasz krótki pobyt tutaj — zakrótki — i ta prześliczna wycieczka do Hiszpanji! Czy Ty czułeś tę prostą a tak silną rozkosz dzielenia ze sobą wszystkich wrażeń i zajęć, tych wschodów i zachodów, tych śniadań i obiadów, tej rannej kawy w naszej kochanej lodżjecie, pachnącej dziwnymi kwiatami, z widokiem na morze? Ale teraz, kiedyś odjechał, cały kraj się zasłonił czemś czarnem. A przecie pogoda jest cudowna i kwiaty pachną tak samo!

Mój drogi, mój mistrzu! Ja nie mogę być sama i daleko od Ciebie. Chociaż wiem, że się wkrótce zobaczymy, już przez te kilka dni rozłączenia nie daję sobie rady z własnem sercem i sumieniem. Że mi przeznaczono być twoją — to czuję w głębiach serca — ale, czy to dobrze? tego nie mogę zrozumieć. I trwoga mnie bierze, gdy się tylko oddalisz. Mam nadzieję, że już wkrótce, że jeszcze tego lata wszystko będzie urządzone i nie będę się rumieniła, przechodząc przed tą tablicą — wiesz! — gdzie zapisana jestem pod twem nazwiskiem.

Twój umysł, wolny od przesądów, podtrzymuje mnie. Kiedy mówisz, że wspólna nasza wola jest największem prawem, wierzę Ci. Ale gdy Cię niema,

moja słaba głowa nie wystarcza mi do uspokojenia. I nawet tu, gdzie nikt nas nie zna, dlaczego kryliśmy się z wielu rzeczami? Tu przecie jest Europa i, jak sam mówisz, ludzie dawno przestali troszczyć się o cudze metryki ślubne. A jednak unikaliśmy większych zebrań, możliwych spotkań...

Za dziesięć dni, jak kazałeś, będę w Paryżu. Ponieważ mówisz, że tamto moje mieszkanie ma podobną zewnętrzną lodżjetę na Pola Elizejskie, jak nasza tutejsza, kupiłam wszystkie meble z tej naszej, nawet klatkę z papugą i serwis do kawy i wszystkie graty. Zdarli mnie trochę za to, ale myślę, na co przyjemniejszego mogłabym wydać swoje pieniądze? Zresztą, jeżeli będziemy mogli już oficjalnie zamieszkać w Paryżu na zimę, wszystko to się przyda. Proszę Cię jeszcze o jedną rzecz bardzo, bardzo: *nie kupuj nic* do mego mieszkania. Gdy zupełnie uregulujemy naszą pozycję, wtedy. Może to przesąd, ale już pozwól, że przy nim pozostanę.

Posyłam Ci cały mój światek serdecznych myśli, które musisz czuć czasami naokoło siebie, bo chodzą za tobą wszędzie.

4.

z Ostendy — jesień tegoż roku.

Mój drogi! nie zostawiaj mnie dłużej w niepewności i smutku! Przecie już niema żadnych między

nami przeszkód, skoro pan D. odpisał mnie samej z Chicago i nawet przysłał potrzebne papiery. Więc ty się wahasz? więc nieszczery byłeś ze mną, a może zmieniłeś już serce dla mnie? Jeżeliś nigdy nie miał stałych postanowień, dlaczegoś to mówił? Dlaczego mi otworzyłeś ten bolesny widok na kraj, w którym nigdy nie będę?! Wiesz, jak twoją jestem i jak Ci szczerze ufałam, jak ufam ciągle jeszcze, bo żyć bym nie mogła inaczej.

Błagam Cię, mów mi przynajmniej poprostu, co myślisz. Należy mi się to. Choćbym miała usłyszeć rzeczy okrutne, wolę, niż nie wiedzieć, wolę, niż wątpić o Tobie. Mój najdroższy, mój kochanku i panie! zrób to dla mnie — odkryj duszę swoją całą. Nie obejmę jej, ani zrozumiem zupełnie, jednak Ci jej nie zasmucę, ani splamię, ani wyzyskam dla Ciebie. Daj mi to wrażenie, że jestem Ci towarzyszką godną zaufania, nie zabawką tylko, nie tylko tem dzieckiem, jak zawsze mnie nazywasz. Ja już nie dziecko — i czuję i kocham i cierpię tak głęboko. Spojrzyj na mnie...[1])

. . . .

[1]) Długa przerwa w korespondencji. Widać z następnych listów, że pani D. znajdowała się prawie ciągle zagranicą z Podfilipskim.

5.

Warszawa — wrzesień 189...

Nie masz prawa tak się ze mną obchodzić. Wolałabym, żebyś mnie uderzył. Poco obiecujesz, że przyjdziesz, kiedy jesteś na obiedzie u tej pani? A dzisiaj widziałam cię sama, na własne oczy, jak jechałeś za rogatki i wiem dokąd — a ta pani była tam, wiem także napewno. Ja o niej nie mówię nic złego, bo jej nie znam, ale wiem, jaki ty możesz mieć wpływ na kobietę. Jedna rzecz należy mi się chyba od ciebie — pewne względy za wszystko, co dla ciebie poświęciłam. Może tego nie cenisz, com poświęciła, ale zrozumiesz chyba, żem nieszczęśliwa oddawna i przez ciebie. Przyjdź do mnie zaraz, chociażby była noc.

6.

Warszawa — dwa dni po poprzednim.

Mój najdroższy! Przebacz mi tę kartkę przedwczorajszą — byłam tak rozżalona i taka samotna i aż mnie serce bolało naprawdę, bolało w piersi. Niesłusznie cię posądzałam, nawet mnie już uspokojono pod tym względem, ale równie mi źle, tylko słabiej jeszcze i smutniej. Nie mam prawa do wymówek, nie będę już nudziła — tylko nie gniewaj się już, przebacz i przyjdź.

Doniesiono mi wieści, krążące o mnie, tak bolesne, że musimy je rozpatrzeć. Ty poradzisz i obronisz mnie — chociaż, niestety, mają prawie rację!

Przyjdź dzisiaj, zaraz. Choćbyś miał jaką robotę albo wizytę, porzuć dzisiaj dla mnie. Wyobraź sobie, że umieram. Przecie rzuciłbyś wszystko, gdybym umierała. A doprawdy, że potrzebuję twej rady i pomocy, jak nigdy jeszcze...

7.

Warszawa — Wielkanoc 189...

Kiedy mi pan napomknął tylko, że chce się ze mną rozmówić gdzieindziej, niż u państwa T., zgodziłam się — miałabym nawet bardzo wiele rzeczy do powiedzenia. Ale kiedy liścik pana dzisiejszy uprzedził mnie, że mam przyjść na obiad do restauracji, odrazu wydało mi się to niemożliwem. Jednak wahałam się i dlatego odpowiadam tak późno. Nie mogę. Udaję się do naszej starej przyjaźni, która nie wygaśnie przecie nigdy — i proszę osądzić, czy ja mogę to zrobić? Choć wiem, że to nie grzech sam przez się, jednak pozory będą takie złe, przypomną dawne czasy... A gdyby pani A. dowiedziała się o tem? Ale to nawet nie główny powód.

Pisze pan, że będą starzy znajomi. Cóżbym ja między nimi robiła? Niema już we mnie nic prawie z dawnej kobiety; zdaje mi się, że jużbym się nawet nie potrafiła ubrać, ani rozmawiać po

dawnemu; nudziłabym was, a dla mnie to przypomnienie byłoby prawie przykre. Pana jednego chcę jeszcze zobaczyć, nawet koniecznie, ale nie w restauracji.

Pan przecie sam mi mówił, że trzeba zmienić dawny tryb życia, choćby tylko dla pozycji mojej towarzyskiej, pan sam wynalazł dla mnie to zajęcie i to kochane towarzystwo swej bratowej. Nie zechce pan, abym narażała swój drogi spokój, o który i tak już drżę czasami. Z całej naszej przeszłości ten jeden dzień, w którym mi pan oznajmił o wynalezieniu dla mnie zajęcia, pozostał mi jasny i błogosławiony. Wspomnienia innych dni zamierzchły trochę i już ich nie rozumiem dobrze. — Jak to panu doniosłam, pani A. jest mi nowym wzorem powołania kobiety; nie śmiem jej nazwać przyjaciółką, bo o tyle wyższa odemnie, choć tak nieskończenie dla mnie dobra. Ta pani — to moje zbawienie, — nietylko pozycji, ale i duszy. Niech się pan nie śmieje ze mnie.

. . . .

8.

Cisów — kwiecień 189...

Panie!

Wie pan, co się stało? Pan to wie i pan to zrobił, żeby mnie w Warszawie znów zatrzymać. Dzisiaj jestem już tego pewna. Czemu pan wyjechał nagle z Warszawy w ten straszny dla mnie dzień?

Dlaczego mnie wtedy nie obronił i dotychczas nawet nie przemówił za mną?

Nie czynię panu wyrzutów, bom sama powodem swoich nieszczęść i sama jestem ciężko winna przed sobą — nie przed panem. O jedną tylko rzecz proszę dzisiaj, o rzecz, która przyjdzie panu łatwo, bo teraz wiem, że pan naprawdę nie ma serca — proszę zapomnieć o mnie na zawsze.

Jeżeliby pańskie sumienie było zafrasowane o mój los, proszę je także uspokoić, bo los mój jest w mojem ręku i Opiekunki, która nie opuści mnie. Jej wierzę. Straciłam jej codzienne towarzystwo, ale zniosę i to, bo jestem już inna, niż ta, którą pan znał — silniejsza.

Żegnam pana, nie mogę go już błogosławić, jak dawniej, ale modlić się za pana będę.

(Na dwóch ostatnich listach nadpisy ręką Podfilipskiego: „Dowody słabości i wdzięczności kobiet").

LIST PANI ALINY.

z Cisowa.

Nie odpowiedziałam na poprzedni list Zygmunta, bo nie umiem pisać o niczem i nie miałam nic do opowiedzenia. Wizytę swoją zapewne Zygmunt zechce odłożyć aż do powrotu Tomasza, to jest do końca miesiąca. Teraz, gdy Zygmunt wspomina o długu na Cisowie, odzywam się, aby raz dokładnie

kreślić tę sytuację. Wiadomo, że suma 75.000 rs., zabezpieczona na Cisowie, była pożyczona Tomaszowi, a nie mnie, ale nasze wszystkie sprawy z Tomaszem są wspólue i dlatego poczuwam się także do tego długu i pilnuję, żeby procent był płacony regularnie. Dbam jednak bardzo o to, żeby ta sprawa była przez nas traktowana jako interes pieniężny, a nie jako dobrodziejstwo, stosujące się do mnie. Rozumiem, że Tomasz jest wdzięczny za pomożenie mu w trudnych czasach i jabym podzielała tę wdzięczność, gdyby jej nie osłabiło zachowanie się Zygmunta.

Nie chcę słyszeć o darowaniu procentów, a także upewniam, że suma całkowita będzie zapłacona w terminie zapisanym w hypotece, to jest za lat pięć, choćby kosztem wielu poświęceń.

Mówi mi Zygmunt, że przyjaźń nasza i szczerość stosunku może wszystko załatwić najkorzystniej i ku zobopólnemu zadowoleniu. Moja szczerość nie jest podejrzana, a przyjaźń braterska ma określone granice, poza które nigdy nie wyjdzie. Ta przyjaźń nie wymaga nawet wymiany uczuć, zwłaszcza w nieobecności mego męża; nie wymaga więc i korespondencji, której proszę zaprzestać.

A teraz życzę Zygmuntowi dobrego zdrowia i przesyłam Mu uczciwe uściśnienie dłoni.

Alina Podfilipska [1])

[1]) Listów pani Aliny jest tylko trzy w zbiorze. Zacytowany tutaj jest ostatni.

LIST PANI ODĘCKIEJ.

Mon cher neveu [2]). ce Samdi.

J'ai votre afère. Pan naczelnik był u mnie i powiedział, że dobrze, że takiego awanturnika nie będzie trzymać dans ces bureaus, bo Kolej nie może być kompromitowana przez burdy, ale nie widzi racji do dymisji, tylko d'un deplassement dans les gouvernements de province, co jemu wszystko jedno, a nam o to chodzi, żeby nie było zgorszenia u nas w mieście od pojedynków. Or donc Kolczykiewicz [3]) ne perdera rien a la chose et nous y ganierons.

Admiruje Twoje dobre serce i charité chrétienne, że chcesz tę awanturę urządzić i ustrzedz bliźnich od grzechu, a może od nieszczęścia. De grand coeur przyczyniłam się do Twoich chrześcijańskich zamiarów, bo coraz rzadziej mężczyzn z religją i z praktyką. Jeżeli jeszcze trzeba będzie Naczelnika, to go zaproszę na obiad, ale myślę que c'est fet.

Nie zapominaj o starej Ciotce i Jej niedzielach. Mille choses affectueuses *Cornélie.*

(Nadpis ręką Podfilipskiego: zużytkowanie nieużytków).

---

[2]) Pani Odęcka była zwykle ciotką. Podfilipski nie wypierał się tego tytułu pokrewieństwa, udzielanego mu na równi z całym szeregiem innych osób jego sfery. W przytoczonym liście zachowuję pisownię oryginalną, charakterystyczną dla pewnej kategorji pań „starej daty".

[3]) Z treści listu widać, że to nazwisko przekręcone Kołczanowicza.

OSTATNIE CHWILE. – TESTAMENT.

Z pewnem zakłopotaniem szperałem od dni kilku w tych dokumentach, gdy mnie zdarzenie jednego z niedawnych ranków oderwało od dalszego przeglądu tych niebezpiecznych materjałów biograficznych i skierowało znów na drogę żywych wspomnień.

Służący wręczył mi kartę wizytową:

Hans Rożek.

Namyśliłem się przez chwilę, kto to taki?... To przecie Hans, nieodstępny Hans pana Zygmunta!

Ten frant zajmował mnie czasem rubaszną, a zarazem przebiegłą fizjognomią i bawił uroczystym tonem przemówień. Pociągnięty różnymi pokostami cywilizacji, o którą się codzień w towarzystwie swego pana i w licznych podróżach ocierał, miał on spostrzeżenia często trafne, wyrażenia udatne i jakiś zdradliwy spryt, który mnie zastanawiał. Podfilipski lubił go i pobłażał wielu jego występom deklamacyjnym, traktował go, jak ulubionego doga. Kazałem go zaraz wprowadzić.

Wszedł poważnie, zamykając wprawnym ruchem drzwi za sobą, ubrany był cały czarno, w długim surducie. Nigdy go nie widziałem w tym stroju; wyglądał jeszcze wyższy, brodę miał wspanialej uczesaną, niż kiedykolwiek; całą postacią wyrażał cywilizację, uroczystość i smutek. Skłonił się ozdobnie.

— Jak się masz, Hans? — zawołałem prawie wesoło.

Wytłumaczył mi, że przybywa prosto z Paryża i, dowiedziawszy się, że ja piszę „historję nieboszczyka hrabiego", zgłasza się do mnie jako jedyny z rodaków świadek ostatnich chwil Podfilipskiego. Tu podniósł do oczu chustkę i schował ją znów w przednią kieszeń surduta, zaokrąglając ramię z prawdziwie aktorską elegancją. Mimo odświeżenia smutnych wspomnień, na śmiech mi się zbierało, bo Hans przypomniał mi Sinobrodego z operetki, opłakującego śmierć szóstej żony.

— Siadaj, Hans — pogadamy o nieboszczyku. Jakże to się stało tak nagle?

Hans usiadł sztywno i założył palec za guzik zapiętego surduta. Chodziło mi o to, aby się rozgadał, bo rzeczywiście nic prawie nie wiedziałem o śmierci pana Zygmunta, oprócz nagiego faktu.

Postaram się odtworzyć jego opowiadanie:

— Już w przeszłym roku miał pan jeden atak u wód w Trouville, a ja radziłem ciągle synapizmy na podeszwy zamiast mądrych lekarstw i drogich

wód, co to się w nich pije tyle wody, ile w zupie, a jest casino i kobiety są i ryby morskie niezdrowe i tyle rzeczy, które niby nic, a rozbiorą nareszcie człowieka, choćby był z żelaza. Ale mnie pan nie słuchał.

Na kilka dni przed śmiercią był bardzo *nerveux* i niespokojny. Siedział dużo w domu i pisał.

Aż kiedy pana hrabiego zajęło o dziesiątej rano, poleciałem po pana Marki [1]), bo to była wielka przyjaźń między nimi. Akurat posłałem po coś mego lokaja, więc przy panu została tylko *la concierge,* baba.

Przylatuję z panem Marki, a tu nasz pan już siny, a *la consierge* krzyczy:

— *Il a passé, il a passé!...*

Gdzie on tam przeszedł? Umarł. Już nam nic nie powiedział.

Pan Marki chodzi po pokoju i woła:

— *Sapristi, sapristi, nom de nom!*

Oni tak mówią, jak już jest bardzo źle. Poleciał po policję, posłał mnie po doktora. Tymczasem ja uporządkowałem swoje rzeczy i wszystko co miałem kosztowniejszego wyniosłem do przyjaciela, żeby mnie o nic nie posądzili. Bo Bóg mi świadkiem, że nigdy nic w pieniądzach nie wziąłem od naszego pana.

Przyszedł doktór i pan Marki z policją. Wiedziałem, że to już na nic, więc tylko kiedy oni odeszli

---

[1]) Le marquis de ***, wykonawca testamentu.

od mego pana, a została baba i ja, posłałem po księdza do *Madeleine* i kazałem pokropić ciało za swoje własne pięć franków.

Tu znów Hans podniósł chustkę do oczu.

— Było potem dużo pieczętowania szaf, niepotrzebne ceregiele, a potem był pogrzeb. Że to wiedziano o dużym majątku, pogrzeb był suty i pan Marki rozesłał dwieście trzydzieści ośm zawiadomień o śmierci. Na Warszawę ja sam pisałem adresy. Ale jak przyszło do eksporty, za karawanem poszedł tylko pan Marki, ja i jeszcze ze sześć osób. ·Aż przykro było patrzeć, że za takim panem idzie tylko sześć osób.

Kiedy znów przyszło do rozpieczętowania, dobrali się do wielkiej szafy żelaznej, a tu nikt nie umie otworzyć, bo i ja nie wiedziałem. I nawet jeden z policji, co to są ze złodziejów, nie mógł otworzyć. Dopiero posłali do fabryki, skąd ta szafa jest, i otworzyli. Jak otworzyli, mało tam było pieniędzy, tylko testament i paczka papierów. Zaczęli rozwijać, czytać. A pan Marki wziął tę małą paczkę do ręki, poważył i powiedział:

— *Il y a des milions là-dedans.*

Niby, że to miljony nie lada.

Potem zaczęli sobie ciskać tę paczkę jeden do drugiego, jakby to było siano, bo nikt nie chciał wziąć. Nareszcie wziął *notaire.* Kiedy doczytali do

końca, pan Marki był *nerveux*, trzasnął mnie po ramieniu, aż mi siniaka nabił i powiedział:

— *Veinard-va!*

To wedle tego zapisu, bo mi nieboszczyk zostawił dziesięć tysięcy franków, świeć Panie nad jego duszą! Chociaż wolałbym, żeby w rublach, bo franki teraz źle stoją.

Tu Hans rozrzewnił się po raz trzeci:

— Niema już mojego pana i takich panów jest mało. Ja sam nie wiem, co ze sobą począć od żalu i niepewności swojego losu... Życie moje jest złamane!

— Znajdziesz przecie łatwo służbę — rzekłem — a wreszcie jesteś kapitalistą i możesz zająć się przedsiębiorstwem.

Twarz Hansa zmieniła się w dawną, chytrą i rubaszną. Mrużąc oczy, jak kot, wynurzył takie życzenie:

— Mówią, że będą zakładali klub polski w Paryżu — to możeby mnie tam przyjęli na starszego służącego od gry. Ja się na tem znam i przecie zawsze byłem wzorowej uczciwości, co i zapis pana hrabiego i wszyscy znajomi mogą zaświadczyć. A to jest dobry chleb! Żeby jaśnie pan raczył za mną przemówić, jak będzie w tym klubie...

Nie obiecałem. Wskazałem mu raczej inną perspektywę: otworzenia w Warszawie restauracji.

Hans spojrzał na mnie przenikliwie — poczem wpadł znowu w ton uroczysty i odezwał się sentencjonalnie:

— Jaśnie pan ma rację — trzeba żyć w kraju.

Pożegnałem go, przechodząc do innego pokoju i przez uchylone drzwi zobaczyłem taką scenkę w przedpokoju:

Mój służący podawał Hansowi paltot z przesadną uniżonością. Hans jeszcze bardziej teatralnie przyjmował tę usługę, włożył cylinder, zadarł głowę do góry i wyciągnął pompatycznie rękę do mojego służącego, dając mu niby na piwo. Ale ten ostatni rękę odtrącił, trzasnął Hansa poufale po ramieniu i gburowatym, przyciszonym głosem mruknął:

— Ech ty! — Podfilipie!

Rozśmieli się obaj i kiwnęli głowami na pożegnanie.

Pozostaje mi zaznajomić czytelnika z treścią testamentu, przewiduję bowiem bardzo naturalne pytanie: co się stało ze znacznym majątkiem Zygmunta Podfilipskiego?

Majątek ten wynosi 2,545.000 franków w papierach i walorach zagranicznych (czytelnik przypomina sobie zapewne, że Podfilipski spieniężył wszystkie nieruchomości w kraju). Oprócz kilku legatów, wynoszących razem 45.000 franków, resztę — pół-

trzecia miljona — testator przeznacza na jeden tylko cel użyteczności publicznej.

Przytaczam odpowiedni ustęp testamentu, tłumacząc go z francuskiego tekstu:

„Roznosić światło było usiłowaniem mojem za życia. Zapaliwszy latarkę swą u wielkiego ogniska Paryża, z tą latarką szedłem przez życie, szedłem do kraju, który mi jest rodzinny, szukając ludzi. To posłannictwo, razem z całym majątkiem, przelewam na mych moralnych spadkobierców, których proszę o przyjęcie tych obowiązków razem z tym upominkiem.“

Następują nazwiska 25 mężczyzn: 13 Polaków i 12 cudzoziemców.

„Ci towarzysze moi, wtajemniczeni w sztukę życia, zechcą złożyć gremium i stać się rozsadnikiem nowego polskiego towarzystwa w myśl naszych rozmów zbiorowych i pojedynczych. Zakupią dom, w którym mieszkałem; lub, w razie niemożliwości tej tranzakcji, zbudują nowy dom w środku miasta na siedlisko instytucji w Paryżu *(d'une oeuvre à Paris)*, którą niniejszym aktem testamentowym powołuję do życia i nazywam *Fakultetem polskim* ... *(la Faculté polonaise de la rue X)*. Nazwa ulicy, zależna od wyboru gmachu, uzupełni ten tytuł...“

Jest to właściwie klub, jak się okazuje z ustawy wzorowanej na „Jockey'u“, omawiającej szczegółowo składki wpisowe i roczne, podatki od kart, od marek do gry, kary za przekroczenie pewnych godzin

nocy. Ustawa dozwala członkom-założycielom przyjmować członków zwyczajnych, bacząc jednak na to, aby należeli wszyscy do dziedzicznej szlachty i aby liczba Polaków przenosiła stale, choćby o jedną liczbę członków innych narodowości.

Członkowie zajmować się mają tem samem, co stanowi treść zajęć innych klubów: grą, sportem, ozdobną dyalektyką. Testator, pokładając wielką ufność w wytrawności członków-założycieli, nie narzuca żadnych działań określonych, doradza tylko pewną odrębność od wszelkich innych stawarzyszeń polskich zagranicą i w kraju, pewną wyższość, która przystoi „zastępowi cywilizatorów“ *(a une cohorte civilisatrice).* Ten zastęp może jednak bawić się i działać, jak zechce. Z programu więc jest tylko sztandar, nieco mgłą przysłonięty, z napisem: *la Faculté polonaise de la rue X...*

Poczuwam się do obowiązku dodać, że akt zapisu nie został złożony u notarjusza; znaleziono go tylko między papierami zmarłego w kopercie z napisem: „Ostatnia moja wola“. Podfilipski pisał go w ostatnich dniach przed śmiercią, zapewne pod wpływem niezwykłego podniecenia nerwów?

Testament nie obejmuje sumy 75.000 rubli, zabezpieczonej na Cisowie, która przez to samo przechodzi do naturalnych spadkobierców i stanowi całość owych „obcych kapitałów“, które Podfilipski wprowadzał do kraju.

Ponieważ jednak akt jest nieurzędowy, może być zaatakowany i zwalony. Gdyby w pani Alinie odżyła na tę okazję jej energiczna matka, cały majątek Zygmunta Podfilipskiego mógłby jeszcze stać się posagiem jego synowic, Mani i Jadwini. A wtedy, choćby nie do Podfilipskich, powróciłby jednak do kraju, w myśl dawniejszej ambicji pana Zygmunta.

Gdybym był zakończył książkę na ostatnich słowach mych wspomnień, wrażenie życiorysu byłoby lepsze. Ogłoszone annexa dopełniają wprawdzie parę drobnych spraw rozpoczętych lub niedokładnie przedstawionych uprzednio, — ale otaczają też pewnym chłodem postać mego bohatera. A to nie było mojem zadaniem. O całej zatem części dodatkowej, ogłoszonej tutaj dla miłości prawdy historycznej i z obawy (przyznam się), aby tych dopełnień kto inny za mnie nie ogłosił, niech czytelnik łaskawie zechce zapomnieć. Są to ostatecznie drobne przyćmienia, modyfikacje, ustępstwa na rzecz niedoskonałości ludzkiej. Na wielkie posągi i gmachy trzeba patrzeć z pewnego oddalenia, więcej w nich bowiem wart styl ogólny, niż wykończenie szczegółów.

Ponieważ usunęło mi się porównanie z dziedziny sztuki, rzucę tu myśl pomnika, któryby można wznieść Podfilipskiemu.

Wybrawszy najbardziej europejski z naszych placów, możnaby na nim postawić odosobnioną kolumnę. Filar ten nie dźwigałby żadnego z naszych gmachów ani kościołów, stałby wyniosły, ozdobny, dźwigając tylko własny kapitel.

Na pomniku położyłbym napis:

UMIAŁ SOBIE ŻYCIE URZĄDZIĆ.

Co znaczyła przed wiekami ta kolumna? — spieraliby się może uczeni za tysiąc lat. Nie jest ze zwalisk, bo niema na niej szczerby, ani rany od walących się architrawów i dachów; kapitel jej nietknięty uśmiecha się wytwornie do słońca. Nie nosiła na sobie ciężarów, bo ma zbyt słabe podstawy. Nie stała w szeregu, bo niema koło niej śladu kolumn współrzędnych. Czy ją skąd przywieziono? — jest jednak z miejscowego piaskowca... Co znaczył więc ten filar w owym barbarzyńskim wieku XIX-ym nad Wisłą — a jest ze schyłku XIX-go wieku, poznajemy. — Jak wyrósł? czemu sterczał? Czy miał znaczenie osobliwości, czy był przedmiotem czci, albo podziwu?

A wtedy jeden z uczonych, obejrzawszy uważnie dokoła kolumnę, wynalazłby napis:

UMIAŁ SOBIE ŻYCIE URZĄDZIĆ.

I pogodziłby wszystkie zdania.

Tak — filar ten stał odosobniony, na widnym Nplacu. ie miał żadnego znaczenia utylitarnego, istniał

sam dla siebie, jako okaz stylowy. Ponieważ nie zgadza się co do stylu z resztą znalezionych tu zabytków, musiał być w poszanowaniu u niewielkiej liczby mieszkanców tej ziemi, może miał powodzenie tylko przejściowe?

Może też, w owym wieku grubego symbolizmu, był pomnikiem nie osoby, lecz pojęcia? Może znaczył, jak żyć trzeba? A że jest dziwaczny i pozbawiony użyteczności, przedstawiał może, jak żyć nie warto?...

Zbliżą się bardzo do prawdy ci uczeni, ale nie zgadną, że kolumna ta symbolizowała za naszych czasów pana Zygmunta Podfilipskiego.

KONIEC.

SPIS RZECZY.



